

JAKUB CWIEK
KŁAŚCĄ
BÓG MARNOTRAWNY



fabryka słów
www.fabrykaslow.pl

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Książki Jakuba Ćwieka

Dedykacja

Jak On mnie posłał...

Okazja

Korona stworzenia

Odległość Anioła

...tak i ja was posyłam

Idźcie, jesteście posłani

Słudzy Metatrona

Bóg marnotrawny

Autor

Karta redakcyjna

Okładka



JAKUB ǪWIEK
KŁAMCA
BǪG MARNOTRAWNY

Zlecenia anielskiego cyngla:

- **Kłamca 1 •**
- **Kłamca 2. Bóg marnotrawny •**
- **Kłamca 3. Ochłap sztandaru •**
- **Kłamca 4. Kill'em all •**

fabryka słów

Lublin 2012

Książki Jakuba Ćwieka

wydane nakładem naszego wydawnictwa:

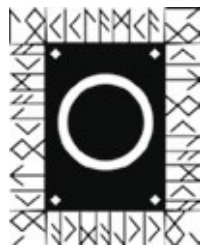
1. Kłamca 1
2. Kłamca 2. Bóg marnotrawny
3. Liżąc ostrze
4. Ciemność płonie
5. Kłamca 3. Ochłap sztandaru
6. Gotuj z papieżem
7. Kłamca 4. Kill'em all

*PFUJ-om
(i kilku Zuziom też... troszkę)*

Jak On mnie posłał...

Okazja

Nowy Jork



Okazja czyni złodzieja, tak zawsze mawiał jego ojciec. I choć sam nigdy niczego sobie nie przywłaszczył, nie potrafił zrozumieć, dlaczego niektórzy mają pretensje, że zostali okradzeni. W końcu ktoś, kto na przykład zostawia kluczyki w stacyjce mercedesa albo wkłada portfel do koszyka podczas robienia zakupów, sam jest sobie winien.

Thomas Watt, jeszcze niedawno Tomasz Wawrzycki, całkowicie zgadzał się z poglądami rodzica, tyle że w przeciwieństwie do niego lubił łączyć teorię z praktyką. I kto wie, może to właśnie dlatego, a nie z braku innych ofert, wybrał pracę na lotnisku Kennedy'ego w sortowni bagaży. Bo tam okazje rodziły się co minuta i aż szkoda je było marnować.

Oczywiście Thomas nie był głupi i ani myślał ryzykować dla walizki pełnej równo poskładanych koszulek i gaci. Jego zielona karta wciąż jeszcze wisiała na włosku, a w rodzinnych stronach nie za bardzo mógł się pokazywać. Mimo że miał dopiero dwadzieścia pięć lat, zdążył już sporo zmajstrować w kraiku nad Wisłą, podpadając wielu osobom. Wśród nich – w dodatku wcale nie na szczycie listy – był niedoszły teść, przed laty mistrz Polski w boksie wagi ciężkiej.

Zawsze jednak zdarzały się nieodebrane bagaże, o które mógł zagrać z kumplami w karty. I na ogół wygrywał wszystko, ponieważ za każdym razem grali tą samą, znaczoną talią. Maleńkie, ledwie widoczne kreski nie były robotą Thomasa, on po prostu pierwszy je dostrzegł, a potem zapamiętał kod.

Przez te dwa lata dorobił się już całkiem ładnego garnituru, paru albumów zdjęciowych, pontonu, kilku skórzanych walizek i całej rzeszy mniejszych i większych życiowych umilaczy. Cały czas jednak uważał, że to, co najważniejsze, jeszcze go czeka. Wszak po całym lotnisku krążyła legenda o jakimś Rusku, który mieszkał na lotnisku kilka miesięcy i wygrał kiedyś ogromną, wypełnioną diamentami rybę. Kumple Thomasa opowiadali wprawdzie, że głupi Rusek dał ją potem jakiemuś Japońcowi, nie wiedząc nawet, co jest w środku, ale dostał swoją szansę i to niezaprzeczalny fakt. Na lotnisku, w sortowni, można było zdobyć fortunę, wystarczyło trafić na okazję. I Wawrzycki czekał, rozglądając się uważnie.



– Co z tobą, Wong? – zapytał Steve, niski, barczysty Murzyn w przyciasnym mundurze ochrony lotniska.

Zagadnięty, łysy jak kolano Chińczyk ubrany w pomarańczowy uniform służb technicznych, uśmiechnął się krzywo, podnosząc głowę znad gazety.

– Nic – odparł, wzruszając ramionami. – Tylko czasem nie potrafię się nadziwić ludzkiej głupocie.

Podniósł gazetę do góry, pokazując czytany artykuł.

Murzyn przechylił głowę jak sroka i wytężając wzrok, przeczytał:

– *Zbiorowe samobójstwo czcicieli szatana? Blisko sto dwadzieścia ciał.* Nieźle. – Pokiwał głową z uznaniem. – Gdzie to?

– W Południowej Afryce – odparł Wong. – Piszą, że wygląda to tak, jak gdyby zaczęli walczyć ze sobą. Poprzebijali się nawzajem mieczami.

– Pewnie coś przyćpali i mieli zwidy.

Łysy skinął głową.

– A najlepsze jest to – dodał – że gdy już się wszyscy powybijali, ktoś przyszedł i obrobił sejf sekty, gdzie podobno było kilka milionów dolców w obligacjach, takich na okaziciela. Coś jak gotówka, tyle że w ogromniastych nominałach.

Steve gwizdnął pod nosem.

– Farciarz – stwierdził.
– Nie – rozległo się gdzieś z tyłu i po chwili zza pasa transmisyjnego wyszedł Thomas. – To, mój drogi, nie fart, tylko okazja.
Murzyn wyszczerzył zęby w uśmiechu.
– Właśnie ciebie nam tu brakowało, magister – stwierdził, ostentacyjnie mrugając do Chińczyka. – Ty jesteś spec od kultury. Może powiesz nam, nieukom, czego ci szaleńcy się zatłukli?
Thomas wzruszył ramionami. Poprawił jadącą pasem torbę i przysiadł koło Wonga.
– Pojęcia nie mam. Może się nie lubili?
Chińczyk prychnął.
– Tyle to wiemy i bez ciebie, magister. Tylko że... Ej, popatrzcie na tamtą walizkę, robi już drugie kółko.
Wszyscy równocześnie spojrzeli we wskazanym kierunku. Drugie okrążenie nie znaczyło jeszcze co prawda, że nikt już tego bagażu nie odbierze, ale i tak dawało jakąś szansę, że wieczorny poker nie będzie grą na zapalki.
Leżąca na pasie walizka nie wyglądała wcale na najwykwintniejszą w świecie, ale nie należała też do tych najtańszych. Mogła budzić całkiem zrozumiałe nadzieje na elektryczną golarkę czy aparat fotograficzny. I może jakieś fajne dzinsy na dodatek.
– Skąd leci? – zapytał Thomas, przyczesując włosy.
– Z Afryki – odparł Steve.
Polak i Chińczyk spojrzeli na niego niemal równocześnie.
– Z Południowej? – zapytał Wong, nawet nie próbując ukryć nadziei w głosie.
Murzyn pokręcił głową.
– Z Kairu, niestety, a to jest w Egipcie albo zaraz... w Maroku! W Maroku, nie, magister?
Tomasz kiwnął głową, w ogóle nie słuchając swego czarnoskórego kumpla. Nie mógł oderwać wzroku od walizki. Miał przecucie.



To, co wydarzyło się potem, mógł określić tylko jednym słowem: OKAZJA. Fakt, że właśnie ta walizka zaklinowała się w miejscu, do którego on z racji wieku i wrodzonej zręczności z pewnością dotrze najszybciej, nie mógł być niczym innym.

– Ja się nią zajmę! – zawołał, widząc, że Steve rusza ku drabince.
Murzyn wzruszył ramionami. *Jak sobie chcesz* – mówił ten gest. – *Mnie nie zależy*.
Thomas błyskawicznie wszedł na najbliższy pas, złapał wspornik drugiego i podciągnął się rękami. Po chwili balansował już na górnej taśmie. Przejechał na niej kilka metrów, po czym zeskoczył, łapiąc za pręt rusztowania. Potem wystarczyło już tylko puścić się jedną ręką, złapać krawędzi właściwego koryta, podciągnąć się i już był przy swojej zdobyczy.
Gdzieś tam na dole Wong krzychał coś o małpach i proponował mu banana, ale Thomas nie słuchał. Gwałtownie rozpiął paski i szarpnął za zamek. Jego oczom ukazał się szary pluszowy miś o wielkich czarnych oczach. Pod nim zaś...

Wawrzycki poczuł, że robi mu się potwornie gorąco. Błyskawicznie zamknął walizkę.



– Co ten popapraniec robi? – zaniepokoił się Wong, widząc, jak Thomas podnosi walizkę i staje obiema nogami na taśmie, pozwalając, by niosła go ku wyjściu. Chińczyk przyłożył dłoń do ust, układając je na kształt tuby. – Ej, zostaw ją, to dopiero drugie okrążenie, ktoś się może po nią zgłosić!

Steve, również mocno zaniepokojony, odruchowo złapał za krótkofalówkę, ale Wong go powstrzymał.

– No co ty? Narobisz mu kłopotów, zaraz tu zejdziesz.

Jednak Wawrzycki ani myślał schodzić. Tuż przed samym wyjściem przykleknął, pochylił głowę i w

takiej pozie, jakby trwał pogrążony w głębokiej i żarliwej modlitwie, wjechał w tunel. Zamocowane u wylotu pasy gumy pogładziły go po plecach i na moment pogrążył się w ciemności. Gdzieś za jego plecami Chińczyk ponownie coś krzyknął, ale dla Thomasa sortownia już nie istniała. Jakby była innym, obcym światem.

Kolejny dotyk gumowych palców i już był w lotniskowej hali. Ludzie zgromadzeni przy taśmie patrzyli na niego ze zdumieniem i nie kryjąc rozbawienia. Zwłaszcza gdy poderwał się z klęczek, spojrzął wokół siebie, po czym nerwowo krzyknął:

– Hej, proszę pana! Pańska walizka.

Jakiś starszy mężczyzna stojący właśnie przy samych drzwiach obejrzał się z zaciekawieniem i ku niemu właśnie ruszył Thomas. Wiedział, że wszyscy dalej patrzą, nie spuszczał więc oczu ze starszego jegomościa i uśmiechał się przy tym głupkowato. Jednocześnie z każdym krokiem coraz bardziej przyspieszał.

Kątem oka dostrzegł nagle poruszenie wśród ochrony lotniska i to, że kilku funkcjonariuszy zmierza w jego stronę, ale nie dał się ponieść nerwom. Podszedł do mężczyzny i nie bacząc na jego zdumienie, podał mu walizkę. Tak jak przewidział, zdeorientowany staruszek odruchowo wyciągnął rękę. To wystarczyło. Thomas wcisnął mu bagaż i odwrócił się w stronę nadciągających ochroniarzy. Posłał im głupkowaty uśmieszek i jak gdyby nigdy nic z rękami w kieszeniach ruszył w stronę wejścia na sortownię.

Ochrona niemal z miejsca przestała się nim interesować. Któryś z funkcjonariuszy nadał coś przez radio i po chwili wszyscy byli z powrotem na stanowiskach.

Dopiero teraz Thomas ostrożnie zerknął przez ramię. Uznał, że mógłby przybić piątkę z Orfeuszem. Gdy on wychodził z piekła i prowadził za sobą Eurydykę, też wiedział, że jedno spojrzenie wszystko popsuje, ale nie mógł się powstrzymać.

Wawrzycki był dumny, że wciąż przychodziły mu do głowy takie porównania. Umacniały w nim przeświadczenie, że czymś się wyróżnia na tle fali emigrantów – stanowił wzorowy przykład praktycznego inteligenta.

A co, jeśli staruszek zabrał walizkę, uznając wydarzenie za znak z niebios? Prawdziwą okazję? Co, jeśli... – myślał gorączkowo.

Jednak dziadek stał nadal w tym samym miejscu, ze zdumieniem wpatrując się we wręczony mu bagaż. *Dzięki ci, Panie – szepnął w duchu Thomas – za tego staruszka i jego demencję... a także za japońskie wycieczki!*

Rzeczywiście miał powody, by dziękować również za żółtków, gdyż zmierzająca ku wyjściu grupa Japońców – wszyscy w identycznych bluzach z emblematem wielkiego jabłka i każdy z aparatem fotograficznym w gotowości bojowej – szła wprost na niego. Wawrzycki poczekał, aż znajdzie się w środku grupy, po czym ugiął nogi w kolanach i ruszył ze skośnookimi.

Tuż przy drzwiach wycieczka wchłonęła również staruszka. Tylko na chwilę, ale wystarczająco długą, by Thomas wyrwał mu walizkę. Dziadek tak samo jak wcześniej nie oponował. Wydawał się być nawet zadowolony, że nie musi już wytężać głowy, czy z jego pamięcią nie jest dużo gorzej, niż myślał.

Tymczasem Thomas był już na zewnątrz. Szedł szybkim krokiem w stronę parkingu, zastanawiając się, co zrobi z zawartością zdobytego bagażu. Bo że uda mu się z nim uciec, tego był pewien. Dziś bowiem nastał jego dzień. Dzień okazji.



– Jak to zgubiliście moją walizkę?! – wycedził mężczyzna.

Roger O’Neal, menadżer lotniska, nerwowo otarł czoło chusteczką i uśmiechnął się przepaszająco.

Był przysadzistym mężczyzną o wiecznie rozbieganych oczkach i stanowczo za wysokim czole. Z wyglądu przypominał nieco Dany’ego de Vito, nie miał w sobie jednak nawet odrobiny uroku i wdzięku aktora. Ci, którzy choć trochę znali O’Neala, unikali go jak ognia, był on bowiem typem wyjątkowo antypatycznym, pamiętliwym i chętnie wykorzystującym swe rozliczne znajomości. Człowiekiem, który bez skrupułów rozprawia się ze składającymi reklamację na jego lotnisko.

Teraz jednak, patrząc w oczy młodego, długowłosego mężczyzny o twarzy jak z obrazka z Chrystusem, odczuwał strach. I modlił się w duchu, by ta pieprzona walizka się znalazła. I to jak najprędzej.

Ktoś zastukał delikatnie w szybę drzwi i po chwili do środka wszedł Steve, a zaraz za nim Wong. Obaj wyglądali na mocno przestraszonych, a stary Chińczyk miał na dodatek minę, jakby ktoś narobił mu w portki.

– Panie O’Neal – wyjąkał, miętosząc w rękę czapkę. – my odnośnie tej walizki. Ona nie zaginęła... została skradziona.



Thomas pędził międzystanówką, co chwila zerkając na zajmującą siedzenie pasażera walizkę. Wprost nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Jednego dnia martwi się, że nie ma na czynsz, a drugiego dostaje kilka milionów. Tak na dobry początek.

Nie uważał swojego postępuku za coś złego. Owszem, ukradł tę walizkę, ale – był tego pewien pewnością ludzi chcących za wszelką cenę uspić sumienie – zabrał ją temu afrykańskiemu złodziejowi, więc wszystko się wyrównało. Złodziej został okradziony, a temu, który prosił, zostało dane. Jakby prosto z kart Ewangelii.

Uśmiechnął się i podgłośnił radio. Dziwnym zbiegiem okoliczności Mark Knopfler snuł właśnie swą muzyczną opowieść o pieniądzach za nic i darmowych panienkach. Thomas docisnął pedał gazu i zaczął śpiewać wraz z radiem.



– Thomas Watt – przeczytał siedzący przy monitorze policjant. – Poprzednie nazwisko Tomasz Waw... Wawrzycki. – W jego ustach brzmiało to raczej jak *Łalszesky*. – Polak. Od dwóch i pół roku w USA, ma pozwolenie na pracę i stara się o obywatelstwo. Wykształcenie wyższe. Niekarany. Mamy jego adres i numery rejestracyjne wozu. To zielony dodge rocznik osiemdziesiąty drugi.

Policjant skończył czytać i przeniósł wzrok na O’Neala. Widząc jego zmizerowane oblicze, zapewnił, że złapią drania łada moment. Menadżer skinął głową.

– Wiem, oficerze. – Spróbował się uśmiechnąć, ale tylko nienaturalnie wyszczerzył zęby. – Wiem... i dziękuję.

Zerknął ukradkiem na stojącego pod ścianą mężczyznę o chrystusowym obliczu. Spozregł, że jego twarz nie jest już wściekła, a tylko skupiona. Uznał, że to dobry znak. Poprawił się na krześle i nacisnął przycisk interkomu. Zamówił trzy kawy.

– Napije się pan, panie Liefather? – zapytał właściciela walizki.

Ten jednak zignorował go i zwrócił się do policjanta:

– Mógłby pan jeszcze raz opisać ten samochód? I samego złodzieja – poprosił.

Policjant oczywiście mógł i zrobił to bez dodatkowych pytań. Pokazał nawet zdjęcie Thomasa. Gdy skończył, mężczyzna podziękował mu i wyszedł, nie obdarzając O’Neala nawet przelotnym spojrzeniem. Wyraźnie się spieszył.



Thomas wracał do samochodu z wypchanymi torbami w rękach i zanosił się śmiechem. Nie wiedzieć czemu fakt, że miał w samochodzie miliony dolarów, a w sklepie na stacji benzynowej zabrakło mu kilku centów do drobnych zakupów, wydawał mu się teraz najzabawniejszą rzeczą pod słońcem. Może był naprawdę szczęśliwy, a takim niewiele potrzeba do radości?

Tylko walizki pełnej obligacji – pomyślał, znowu parszcząc śmiechem. Paczka solonych chipsów wysliznęła się z jednej z toreb i upadła tuż obok samochodu. Przykucnął, by ją podnieść, a zarazem odruchowo zerknął na przednie siedzenie.

– Chryste, nie! – krzyknął, rzucając zakupy na ziemię i sięgając po kluczyki. Ręce trzęsły mu się jak przy febrze, dopiero przy trzeciej próbie trafił do zamka. Gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi.

Nie zdawało mu się. Walizka rzeczywiście była rozpięta, a ze szczeliny wystawały głowa i łapki misia. Pluszak wyglądał, jakby próbował wydostać się z niej. Lub wejść z powrotem...

Thomas gwałtownie podniósł klapę... i odetchnął z ulgą. Papiery były na swoim miejscu. Dla pewności wyciągnął pierwszy lepszy plik i sprawdził, czy nikt nie podmienił obligacji na pocięte gazety. Przyszła mu do głowy bajka o Kopciuszku, w szczególności zaś karoca, która o północy na powrót miała stać się dynią. Wszystko było w porządku. Pochylił się, by pozbierać zakupy, myśląc gorączkowo, czy mógł sam zaglądać do walizki, a później o tym zapomnieć. Doszedł do wniosku, że tak. Był przecież tak podekscytowany!

Na wszelki wypadek postanowił, że następnym razem weźmie bagaż ze sobą. I nie będzie się przejmował tym, że może dziwnie wyglądać, chodząc wszędzie z walizką. Był w końcu bogaty i jako taki miał prawo do dziwactw. Wszyscy bogacze byli dziwni. A raczej... ekscentryczni.

Uśmiechnął się pod nosem, wrzucił zakupy na tylne siedzenie i wskoczył za kierownicę. Ruszył z piskiem opon.



– Przyszedł raz do mnie pewien zamożny człowiek – grmiało radio głosem jakiegoś kaznodziei. – Dumny jak paw i obnoszący się swym bogactwem. Drogi garnitur szyty na miarę, wspaniałe płaszcz i pierścienie na wszystkich palcach. Każdy z was widział pewnie kiedyś kogoś takiego. Jeden z tych, co mijają żebraka na ulicy, nawet nań nie spoglądając. Wydaje im się, że są panami świata! Bogami! I ten mężczyzna, stojąc pod krzyżem Chrystusa, wyciągnął z kieszeni kopertę z datkiem. A ja go zapytałem, skąd są te pieniądze. I on odpowiedział. Mówił: *Wie wielebny, jak to jest, pierwszy milion trzeba ukraść, a reszta sama przyjdzie.* Tak mówił właśnie! To jego słowa! A ja spojrzałem na zafrasowane oblicze Pana Naszego i zobaczyłem łzy w jego oczach! Tak, łzy! Bo Chrystus płacze nad wami, grzesznicy! To przez was zawisł na krzyżu! Wy obłudnicy, kłamcy. Złodzieje! Mówię wam tak, jak powiedziałem temu bogaczowi: *Nie minie was kara! Bo prędzej wielbłąd...*

Thomas westchnął ciężko i wcisnął automatyczne szukanie stacji. Nigdy nie lubił tych telewizyjnych i radiowych klechów. Handlarze fałszywych cudów, oto czym byli. Ich konta tak obrosły w zera, że liczby pewnie nie mieściłyby się już na czeku, a oni mieli jeszcze czelność nazywać innych złodziejami.

Podli oszuści!

Z głośnika popłynęły kojące dźwięki którejś z piosenek Stinga i Wawrzycki odruchowo zerknął na częstotliwość stacji. Zawsze tak robił; zwykle udawało mu się je zapamiętywać, toteż zdumiało go niezmiernie, że wybrana stacja miała tę samą częstotliwość co poprzednia. Nie znał się na tym specjalnie, ale nie trzeba geniusza, by wiedzieć, że to niemożliwe. Czyżby więc radio samo się przestroiliło? A może niechcący nacisnął jakiś przycisk i to sprawiło, że przypadkowo wysłuchał kazania o kradzieży. Tylko czy aby na pewno przypadkowo? Odruchowo zerknął na walizkę. Pluszowy miś nie wystawał już z łapkami, widać było tylko główkę. Czarne paciorkowe oczka patrzyły z politowaniem...

– Przestań bredzić – Thomas skarcił się na głos. – Jesteś po prostu zmęczony. A pluszowe misie nie patrzą.

Pewnie, że nie – potwierdził głos w jego głowie. Odzywał się zawsze, gdy Wawrzycki był zdenerwowany. I zawsze brzmiał tak, jakby świetnie się bawił. – *Niemożliwe również, by misie same wydostawały się z toreb i przestrajały radio. Pluszowe misie nie znajdują się na takich rzeczach, prawda, panie magistrze?*

– Och, zamknij się! – prawie krzyknął Thomas, po czym podgłośnił radio. Ale nawet Metallica nie była w stanie zagłuszyć zdania huczącego mu w głowie:

Nie minie was kara!



Długowłosa nie wyglądał na głinę, ale też nie sprawiał wrażenia człowieka, z którym warto zadzierać. Dlatego też Harvey Stocker, dumny właściciel plakietki z napisem WITAMY NA STACJI SHELL, nie powiedział tym razem nonszalancko: *To ile lać?*, tylko:

– Czym możemy służyć?

Nie zażyczył sobie również pokazania odznaki czy licencji, żeby spisać numer, tylko grzecznie wyśpiewał odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Tak, proszę pana – mówił, uśmiechając się jak uczeń, mimo że długowłosa nie mógł być od niego dużo starszy. – Tankował u nas zielony dodge, a kierowca był, o ile dobrze kojarzę, podobny do tego opisanego przez pana. Zatankował i zrobił małe zakupy. Pamiętam, bo był pierwszym klientem na mojej zmianie. O ile dobrze kojarzę, zabrakło mu drobnych. A potem pojechał dalej na zachód. To było jakieś cztery – pięć godzin temu. Tyle wiem.

Patrzył, jak długowłosa odwraca się i wychodzi, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Mimo to Harvey wcale nie czuł się urażony. Wcale a wcale. Czuł za to, że musi pilnie iść do toalety.



W tym samym momencie czterysta kilometrów dalej Thomas zastanawiał się, czy nie wyrzucić miśka za okno. Działał mu na nerwy. Co na niego zerknął, pluszak znajdował się w nieco innej pozycji, cały czas jednak wlepił w niego te swoje czarne, szkliste oczka, a przyjacielski uśmiech nie zniknął z rozdziawionego pyszczka. Poza tym po każdym postoju radio samo przestawiało się na kanał kaznodziejów, skąd grzmiały przestrogi o nadchodzącej karze.

– Słowo daję, że cię wywalę. – Wawrzycki sam nie wierzył, że rozmawia z pluszowym miśkiem. Naprawdę zaczęło mu odbijać... – Jeśli jeszcze raz dotkniesz mojego radia, poznasz, jak ciężkie jest życie autostopowicza.

Zaśmiał się nerwowo i zerknął na zegarek. Tak, powinien zacząć szukać jakiegoś miejsca do spania. Ale najpierw przydałoby się zamienić kilka obligacji na gotówkę. Nie miał już ani grosza.

– Myślisz, że znajdę tu jakiś bank otwarty o tej porze? – zapytał miśka, prawą ręką wyciągając spięty banderolą plik. – Ile było do najbliższego miasteczka?

Pluszak oczywiście nie odpowiedział. Kilka minut później minęli drogowskaz z informacją, że za dziesięć mil będzie Heaven.

Thomasa tak rozbawiła ta wiadomość, że śmiejąc się, na moment stracił panowanie nad kierownicą. Samochodem zarzuciło, a otwarta kłapa walizki opadła z cichym PLAP. Miś, dotąd wystający z bagażu do połowy, znalazł się nagle w jego środku. I tam też na razie pozostał.



Loki, połączony *autostradą umysłów* z archaniołem Rafaelem, przez cały czas nastawiony był na odbiór komunikatów o położeniu zielonego dodge'a. Komunikatów pojawiających się niezwykle rzadko. Problem bowiem z Rafałem był taki, że choć obiecał pomoc, jak zwykle zajmował się milionem rzeczy naraz i nie od razu przekazywał Lokiemu wiadomości od stróżów.

Stąd też czasem należało zapytać osobiście, najlepiej ludzi, bo ci wbrew powszechnej opinii widzą więcej niż skupieni na swych podopiecznych aniołowie. Tak jak chociażby ten gość na stacji Shella.

Oczywiście wszystko byłoby prostsze, gdyby ten cały Wawrzycki czy Watt miał swojego stróża, ale opiekun jego rodziny pozostał w Polsce przekonany, że chłopak jest na tyle bystry, by nie robić głupot. Okazało się, że nie był. Okradł wszak Kłamcę. Bez znaczenia, że nie zdawał sobie z tego sprawy!

Prawą ręką Loki namacał zamek schowka na rękawiczki i otworzył go. Lśniący chromem pistolet, który włożył tam zaraz po opuszczeniu samochodowej wypożyczalni, leżał na swoim miejscu. I kusił.

– Spokojnie, stary. – Kłamca uśmiechnął się lekko. – Już niedługo będziesz miał okazję przemówić.



– No i jest – stwierdził z zadowoleniem Thomas, zatrzymując się naprzeciwko niewielkiego oddziału banku stanowego. Zaraz jednak radość ustąpiła miejsca przygnębieniu, gdy okazało się, że bank, jak przystało na szanującą się placówkę, od kilku godzin był już zamknięty.

Czego się spodziewałeś, durniu? – drwił głos w głowie. – *Że znajdziesz bank otwarty o dziewiątej wieczorem?*

No, gdy się zastanowić, taka myśl brzmiała niedorzecznie, ale przecież tyle się wydarzyło tego dnia rzeczy nieprawdopodobnych, że i ta wcale nie byłaby od nich gorsza. Jak to mawiają: *Nie dziwi jednorożec w magicznej krainie*, albo jakoś tak.

– Cóż, misiek – powiedział Wawrzycki do walizki – przyjdzie nam chyba jechać całą noc, aż się zmęcze. Ale może to i lepiej. Im dalej od Nowego Jorku, tym lżej oddychać, co?

Nagle odniósł wrażenie, jakby coś w walizce się poruszyło. Błyskawicznie podniósł klapę. Pluszak leżał rozciągnięty na obligacjach, jedną łapkę trzymając włożoną do bocznej kieszonki. Thomas zerknął do środka i pokręcił głową z niedowierzaniem – znajdował się tam plik dwudziestodolarówek. Jak na życzenie.



Znalezienie motelu nie stanowiło najmniejszego problemu. Heaven okazało się na tyle dużym miasteczkiem, że Thomas mógł nawet przebierać. Wybrał lokum najbliższej drogi, budynek wyglądający trochę jak jedno z zapamiętanych z rodzinnego kraju schronisk górskich. Nie zdziwiło go wcale, że właściciele motelu nazywają się Markowscy; wręcz przeciwnie, uznał to z kolejny znak od Fortuny.

Odpuszczając sobie kolację (nagła fala zmęczenia wyparła głód), poszedł prosto do pokoju i zamknąwszy walizkę w szafie (*żeby nic z niej nie wyszło* – pomyślał i zaśmiał się bez przekonania), bez sił opadł na łóżko. Zasnął natychmiast.



Pamiętając, że ma do czynienia ze śmiertelnikiem, od północy Loki zaczął zwalniać przy każdym motelu i uważnie obserwować parkingi. Nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby przejechać za daleko i dać się tak okpić. I nie chodziło tu już wcale o pieniądze, lecz o boską ambicję... no i oczywiście Kłamczuch. Loki nie przyznałby się do tego nawet przed samym sobą, ale naprawdę brakowało mu jego maskotki.

Omiał nie przegapił kolejnego motelu, tym razem drewnianego, wyglądającego jak góralska chata. Loki zlustrował okolicę. Lokal nie miał parkingu, a wśród stojących pod oknami samochodów nie było żadnego dodge'a.

– Ruszamy więc da... – Nagle w oknie na pierwszym piętrze coś błysnęło. Krótki rozbłysk światła, zupełnie jakby ktoś zapalił zapalniczkę lub zapałkę.

Loki przyjrzał się oknu uważniej i po chwili na jego twarz wypłynął uśmiech. Na parapecie siedział szary pluszowy miś.



Thomas obudził się kwadrans po ósmej rześki i wypoczęty. Przeciągał się właśnie, marząc o pysznym śniadaniu, gdy nagle ktoś odchrząknął.

– Dobrze się bawiłeś? – zapytał ów tajemniczy ktoś siedzący, jak się okazało, w fotelu naprzeciwko łóżka. – Uciekając z moją forszą?

Wawrzycki milczał. Nie wiedział, co ma powiedzieć. Facet w fotelu nie wyglądał na takiego, któremu da się wcisnąć pierwszy lepszy kit, a nic naprawdę dobrego nie przychodziło mu do głowy. Postanowił zaryzykować z prawdą.

– Całkiem nieźle – wypowiedziawszy to zdanie, z miejsca zdał sobie sprawę, że nie zabrzmiało ono zbyt poważnie. I raczej nie poprawiło jego sytuacji. Zaraz więc dodał: – Ale nie dlatego, że to pańska forsa, tylko dlatego, że fajnie jest mieć tyle szmalu.

Mężczyzna w fotelu skinął głową.

– Też tak uważam. Ale to w żaden sposób cię nie usprawiedliwia.

Sięgnął ręką za siebie i z kabury przy pasie wydobyl pistolet. Wymierzył w przerażonego Thomasa.

– Właściwie powinieneś się cieszyć, że tylko tak się to skończy – powiedział całkiem poważnie. – Jeszcze nie tak dawno za taką zniewagę zabijałbym cię przez tydzień, bawiąc się przy tym jak nigdy. A dziś...

Uniósł broń.

– Dziś jest inaczej.

Pociągnął za spust. Rozległ się suchy trzask, po którym w pokoju zapanowała absolutna cisza. Dwóch mężczyzn wpatrywało się w siebie, obydwaj zaskoczeni, choć tylko po jednym z nich było to widać. Drugi powoli opuścił broń i uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że to będzie dla ciebie nauczką. – powiedział, jakby wszystko szło po jego myśli. Wstał, obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

Nagle przystanął w pół kroku i zerknął na pusty parapet. Powiódł wzrokiem po pomieszczeniu. To, czego szukał, leżało na fotelu, na którym przed chwilą siedział. Szary pluszowy miś. Siedział spokojnie i prosto, a obie łapki miał ukryte za plecami.

– Mogłem się domyślić – mruknął do siebie długowłosa mężczyzna.

Podszedł do fotela i podniósł misia. Tak jak się spodziewał, za pluszakiem leżały naboje kaliber dziewięć milimetrów. Zawartość całego magazynka plus jeden. Niedźwiadek znalazł się na rzeczy.



Dopiero jakiś kwadrans po wyjściu mężczyzny Thomas odważył się poruszyć. Przeszedł przez pokój, stawiając ostrożnie krok za krokiem jak jakiś gość świeżo po rehabilitacji. Niewiele zresztą brakowało i do sztywnych kolan, i do sztucznych zębów, a nawet do śmierci. Drżał na całym ciele.

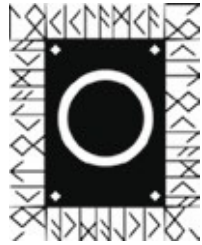
Nie oglądając się za siebie, wyszedł z pokoju, zamknął go i zaniósł klucz do recepcji. Na swoje szczęście rachunek zapłacił z góry, więc zostało mu już tylko pożegnać się z rodakami i pojechać w drogę.

W samochodzie znalazł plik obligacji, który dzień wcześniej wyjął, by wymienić go w banku na gotówkę. Było tego z dziesięć tysięcy. Niewiele, ale zdaniem Thomasa kwota doskonała na początek. Czegokolwiek...

Zaczął od kupienia misia.

Korona stworzenia

Góry Skaliste Kolorado, USA



statnią rzeczą, jaką dostrzegła Allison, zanim zapadła w ciemność, była eksplodująca twarz jej chłopaka.

Zatrzymała się wtedy tylko na moment, odwróciła, by zapytać go o mapę. On również się zatrzymał, głośno łapiąc powietrze, wyraźnie wdzięczny za chwilę wytchnienia. Miał dwadzieścia kilo nadwagi i naprawdę wiele kosztowała go ta wyprawa. Mimo to, stojąc na podejściu, uśmiechał się szeroko. Otworzył nawet usta, by coś powiedzieć.

I wtedy właśnie usłyszała huk.

Jego twarz nie zdążyła nawet zmienić wyrazu. W jednej chwili szeroko uśmiechnięta, w następnej zaś od oczu w dół zastąpiła ją ogromna dziura. Kawałki kości pokryte krwawymi ochłapami skóry poleciały na wszystkie strony.

Zwłoki przez chwilę stały jeszcze, kołysząc się lekko do przodu i tyłu, po czym runęły na ziemię.

W tej samej niemal chwili Allison spowiła ciemność.



Obudził ją potworny smród. Zwymiotowała po raz pierwszy, jeszcze zanim otworzyła oczy. Gdy skończyła, miała wrażenie, że jej przętyk płonie żywym ogniem, ale i tak poczuła się nieco lepiej. Przynajmniej do chwili, zanim spojrzała wokół siebie.

Znajdowała się w sporych rozmiarów klatce zawieszanej na belce pod sufitem jakiejś starej chaty. Wszystkie okiennice były zamknięte, więc w pomieszczeniu panował półmrok. Gdzieś tam tylko słoneczne promienie, wykorzystując szczeliny pomiędzy deskami, wślizgiwały się do środka ostrymi, jakby wymierzonymi prosto w nią smugami światła.

Na środku izby stał człekokształtny totem. Nie licząc klatki i skrytego w kącie stołu, był on jedynym wyposażeniem izby. I najprawdopodobniej to on tak śmierdział.

Allison wyteżyła wzrok, by mu się przyjrzeć, i zaraz pożałowała tej decyzji. Zwymiotowała po raz drugi.

Nagle do obrzydliwego zapachu w izbie dołączył inny. Pojawił się w jednej chwili delikatny, lekko różany, chłodny powiew.

Dziewczyna uniosła głowę zdumiona i w tym samym niemal momencie usłyszała piękny, głęboki głos.

– Błogosławiona bądź, Allison córko Susan. Raduj się, albowiem będziesz miała swój udział w narodzinach Korony Stworzenia...

Na moment zapanowała cisza, po czym głos dodał, znacznie już mniej podniośle:

– Allison... Podobają mi się twoje włosy.

Oklahoma, USA

Cholernie trudno dorwać anioła w małym miasteczku. Bo i nie ma tam dla nich wiele roboty. W końcu ile można pilnować, by dzieci nie spadały z płotów, pies na podwórzu nie pogryzł listonosza czy by któryś z okolicznych dekarzy amatorów nie spadł z dachu razem z rynną?

Większość ze skrzydlatych wyjeżdża do metropolii z chwilą, gdy najstarsze dziecko w rodzinie wpada na pomysł zakosztowania studenckiego życia. I można być pewnym, czyni to z ulgą. Funkcja anioła stróża

w małomiasteczkowej rodzinie jest lepsza niż śpiewanie w chórach... ale niewiele lepsza.

Loki wiedział o tym wszystkim doskonale, nie miał jednak wielkiego wyboru. Potrzebował znaleźć anioła, i to możliwie jak najszybciej.



Jak zwykle wszystko zaczęło się od zakładu. A właściwie od zakończonej zawiązaniem zakładu wymiany złośliwości z grupą skrzydlatych, którzy usiłowali z niego drwić.

– Tak, panowie, może i jestem odmieńcem – powiedział wówczas, wkładając do ust świeżą wykałaczkę i uśmiechając się półgębkiem. – Nie zmienia to jednak faktu, że szefostwo uznało, że lepszy odmieniec od bandy nieudaczników. Potrzebowali kogoś z jajami.

Słowa Kłamcy przystopowały ich na moment, zaraz potem posypała się jednak seria argumentów, z których dość jasno wynikało, że Loki swoje sukcesy zawdzięcza tylko i wyłącznie temu, że nie ograniczają go żadne zasady, że może robić, co mu się żywnie podoba, i nikt go z tego nie rozlicza. Gdyby tylko spróbował kiedyś żyć uczciwie jak oni i przestrzegać zasad, zaraz przekonałby się, kto tak naprawdę jest nieudacznikiem...

Kłamca wysłuchał wszystkiego ze spokojem, a z jego twarzy ani na moment nie zniknął drwiący uśmiech. Gdy skończyli, spokojnie dopił piwo, podniósł się i sięgając po płaszcz, zadał jedno ze swoich ulubionych pytań:

– No cóż, więc może się załóżymy?



Tydzień przestrzegania anielskich zasad nie wydawał się być dla Lokiego jakimś szczególnie wielkim wyzwaniem. Zwłaszcza że zadanie, jakie właśnie wykonywał, tropienie niedobitków L.E.G.I.O.N.-u, nie wymagało wcale używania specjalnych środków.

Pech jednak chciał, że Kłamca zgubił portfel. I to na dodatek w jakiejś zapyziałej mieścinie na samym końcu świata. Potem wszystko potoczyło się lawinowo. Najpierw padła mu komórka, a on nie wziął ładowarki. W dodatku jak na złość w żadnym z okolicznych sklepów nie sprzedawano takich modeli (A na co tu komu, panie, takie z organizerem, klawiaturą jak w komputerze i może jeszcze wodotryskiem?! Tu się kupuje tylko takie, co jak w gnój wpadną, to farmerowi bardzo nie żał), więc i ładowarek do nich też nie. Kradzież innego telefonu nie wchodziła w grę, a drobnych na kartę telefoniczną kartę jakoś nikt nie chciał mu użyczyć. A Loki naprawdę potrzebował zadzwonić. Znalazł bowiem demona.

Nie był to żaden z tych ważnych i Loki właściwie tylko przypadkowi zawdzięczał, że go odkrył. Demon postanowił bowiem opętać okolicznego pijacka i, jak się potem okazało, bardzo zasmakował w alkoholu. Siedzieli więc obecnie razem w jednym ciełe na schodkach supermarketu i śpiewali na głosy. Co prawda sługa piekieł nucił tak cichutko, że ludzie nie mieli prawa go słyszeć, ale na jego nieszczęście Loki nie był człowiekiem. I miał doskonały słuch.

Jeszcze nie tak dawno temu nie zaprzętałyby nikomu głowy, ot po prostu załatwiłyby drania i zainkasował nagrodę. Problem był jednak w tym, że ostatnio coraz częściej trafiał na bestie, które uśmiercone po prostu znikwały. A za takie nikt nagrody nie wypłacał. Bo któż by ufał Kłamcy? Postanowił więc ściągnąć do siebie Michała. A że nie miał ze sobą telefonu, pozostawał tylko jeden sposób – Rafael.

Są tacy, którzy wierzą, że archanioł dróg ma zbudowane ścieżki do umysłów wszystkich skrzydlatych. To oczywiście nieprawda. Łączy się on bowiem bezpośrednio tylko z pewną grupą, która przekazuje mu wieści. Ale za to, nie wiedzieć jakimi sposobami, do tej grupy docierają wszystkie informacje. Wystarczyło tylko znaleźć anioła gotowego do przekazania wiadomości. Takiego cholernego niebiańskiego esemesa!

Szukał więc intensywnie.

Znalazł anioła dopiero w parku po blisko dwóch godzinach poszukiwań. Skrzydlaty, opiekujący się niewątpliwie którymś z czterech starców zgromadzonych wokół stoliczka z kamienną szachownicą, siedział nonszalancko na poręczu ławki i wachlując się skrzydłami, dłubał słonecznik.

Loki przemyślał przez moment, jak to możliwe, że nikt nie dostrzegł stale zwiększającego się stosu łupek, doszedł jednak do wniosku, że śmieci są chyba ostatnią rzeczą, na którą ktoś zwróciłby uwagę. Ludzie są ślepi na takie rzeczy niemal w równym stopniu, jak głusi na śpiewy pijanych demonów.

Znudzony anioł nie dostrzegł Kłamcy, aż jego cień zasłonił mu słońce.

– Ty jesteś Loki? – zapytał, nie odrywając wzroku od grających. W jego głosie nie słyhać było ciekawości, a jedynie znużenie i niechęć.

– Tak, to ja jestem Loki i...

Anioł pochylił się gwałtownie i z dołka obok ławki wyciągnął butelkę piwa korzennego. Zawahał się, po czym z tego samego otworu wydobył drugą. Podał Kłamcy. Ten przetarł ręką spoczone czoło i sięgnął po napój.

– Chętnie. – Szarpnął za uchwyt kapsla i pociągnął solidny łyk. Zaraz jednak wypluł z obrzydzeniem.

Staruszkowie przy szachownicy posłali mu przelotne, pełne wyrzutu spojrzenia, jakimi pewnie obdarzali każdego, kto dał się złapać w szpony nałogu tak dalece, by pijać samemu na parkowej ławce. Loki uśmiechnął się do nich i wzruszył ramionami.

– Smakuje jak szczyny – stwierdził Kłamca, przyglądając się butelce.

Anioł po raz pierwszy zaszczylił go spojrzeniem.

– Skąd wiesz, jak smakują szczyny? – zapytał z rozbawieniem. – Piłeś?

– Czyżby słynny przejaw legendarnego anielskiego poczucia humoru? – odparł Loki. – Pewnie macie specjalne szkolenie, jak być żalonymi, co? Pewnie, że piłem. Przed chwilą chociażby.

Dłuższą chwilę z satysfakcją przyglądał się, jak na gębie skrzydlatego zmieszanie walczy z próbami wymyślenia ciętej riposty.

To się staje zbyt łatwe – pomyślał. Z kieszeni spodni wyciągnął paczkę wykałaczek.

– Potrzebuję się skontaktować z Rafaelem – powiedział w końcu. – Dokładniej to z Michałem, ale przez tamtego będzie chyba najszybciej, nie?

Tym razem twarz anioła nie wyrażała już znużenia... raczej lęk.

– Bezpośrednio?

Loki pokręcił głową.

– Potrzebny jest mi tylko ktoś, kto wie, gdzie on jest, i mógłby przekazać, że znalazłem demona.

Anioł tak gwałtownie zamachał skrzydłami, że słomkowy kapelusz jednego ze staruszków wzbił się w powietrze i pofrunął w głąb alejki.

– Demona?! Tutaj?!

– Tak, siedzi pod sklepem i...

Skrzydlaty przez moment przyglądał mu się z niedowierzaniem, jakby niepewny, czy Kłamca nie kpi sobie z niego. Potem wybuchnął śmiechem.

– Nie chodzi ci chyba o Łajzasa?

– Kogo?

– Tak naprawdę nazywa się chyba Eraamel. – Anioł przetarł oczy, nabrał oddechu i... kolejny raz wybuchnął śmiechem. – Przybył tu jako homoseksualny demon pożądania. Ale to naprawdę konserwatywne małe miasteczko. Moc plotki jest większa niż wiara w opętania. Błąkał się więc jak smród po gaciach, aż trafił na Malcolma, jedyne, który dał się opętać. Z tym że Malcolm to inwalida wojenny. Mina urwała mu... no sam wiesz co. I teraz biedak załatwia się wprost z jelit do woreczka, że o innych rzeczach już nie wspomnę. Nie ma co, pedał pierwsza klasa.

Loki aż gwizdnął przez zęby.

– Pedał? – zapytał z niekłamany podziwem. – Wolno wam tak mówić? Znaczy aniołom?

– Tylko tym z południa – odparł skrzydlaty. – My mamy ograniczenie, tylko jeśli chodzi o czarnucha. Więc co? Wzywamy Wielkiego M. do Łajzasa? Na pewno tego chcesz?

Kłamca zastanowił się przez chwilę.

– Dowiedz się tylko, gdzie jest.

Przez dłuższą chwilę czekał na odpowiedź. Sądząc po uśmiechach anioła i kilku ukradkowych spojrzeniach, jakie posłał Kłamcy, jeszcze dziś cała anielska brać będzie wiedzieć, na kogo postanowił

zapolować Loki. Ubaw po pachy! Szlag...

W końcu skrzydlaty przerwał połączenie.

– Jest podobno na uniwersytecie w Iowa. Poleciał do Jenny.

Loki nie miał pojęcia, kim jest Jenny, ale anioł powiedział o niej, jakby to była najoczywistsza rzecz pod słońcem, więc nie miał zamiaru pytać. Jeden temat do plotek wystarczy.

No ale skoro kpić będą z niego i tak, to chyba nie musiał już przestrzegać zasad tego głupiego zakładu. Podziękował skrzydlatemu i ruszył w stronę dworca. Po drodze zderzył się z wyglądającym jak prawnik grubasem, który mimo upału szedł uparcie w marynarce. Kłamacza zapytał go o to przy okazji, grzecznie przepraszając za swoją niezdarność i zamyślenie. Tamten kazał mu się pieprzyć.

Na szczęście w portfelu grubasa było parę banknotów. W sam raz na porządną obiad i bilet do Iowa.

Uniwersytet Iowa Iowa City, USA

– Jenny Wells – wyczytał dziekan Foster i po raz kolejny tego dnia rozległy się oklaski.

W trzecim rzędzie wstała dziewczyna ubrana jak wszyscy jej koledzy i koleżanki w luźną czarną togę i taki sam biret. Ruszyła w stronę podium. Uśmiechnęła się, odbierając dyplom, i podeszła do mikrofonu.

Nie czuła tremy. Była przygotowana do tej chwili. Wszak tego, że jest się najlepszym studentem na roku, nie dowiadujesz się z dnia na dzień.

– Dziękuję gorąco wszystkim – powiedziała i zmuszona była przerwać, bo rozległy się głośne owacje wywołane przez męską część publiki.

Jenny uśmiechnęła się. Była naprawdę śliczną dziewczyną – idealna figura, budząca sympatię twarz o wyraźnych kościach policzkowych i wąskim nosie, wydatne usta. No i, najbardziej chyba niezwykle i piękne, ciemnoniebieskie oczy ukryte za gęstymi kruczoczarnymi włosami. Nic dziwnego, że śniła o niej większość chłopców z jej szkoły. I że teraz każdy z nich klaskał jak oszalały.

– Dziękuję wszystkim za tę chwilę – podjęła, gdy ucichły oklaski i gwizdy. – Za to, że mogę stać tu przed wami w ten słoneczny dzień napełniona wiedzą, którą zdobyłam w tych murach przez lata mej edukacji. I choć wiem...

Przerwała, bo oślepił ją nagły rozbłysk światła. Na moment zmrużyła oczy, a gdy ponownie je otworzyła, nad publiką wznosił się anioł. Miał trzy pary skrzydeł, z których środkowa poruszała się lekko, utrzymując go w powietrzu, górne skierowane były w niebo na chwałę Pana, a dolne okrywały odziane w lśniąca zbroję ciało. Muskularne ręce serafina skrzyżowane były na piersi.

Jenny uśmiechnęła się lekko i ledwo zauważalnie skinęła głową. Anioł odpowiedział skinieniem.

– ...choć wiem – dziewczyna podjęła przerwany wątek – że życie pełne jest niespodzianek, zostaliśmy przygotowani, by sobie z nim radzić. Dziś, stojąc tu przed wami, dziękując nauczycielom i kolegom, ich rodzicom i całemu Iowa City za ciepłe przyjęcie i gościnę, stwierdzam, pewna swych słów jak nigdy dotąd: *Wierzę, że nam się uda. Z naszym zapałem i zdobytą wiedzą możemy zmieniać świat!*

Ostatnie słowa wykrzyczała do mikrofonu, równocześnie ściągając z głowy biret i wyrzucając go w powietrze. Tak jak się spodziewała, podobnie zrobili wszyscy koledzy. Nareszcie ukończyli uniwersytet... Byli wolni.

Jenny raz jeszcze podziękowała dziekanowi i zeszła z podium, zerkając w stronę anioła. Ten trwał niewzruszenie mimo fruujących wokół niego studenckich nakryć głowy. Ani na moment nie odrywał od niej wzroku.

– Kaplica – szepnęła Jenny.

Skrzydlaty ponownie skinął głową i uniósł się w górę.



Uniwersytecka kaplica wciąż jeszcze pachniała nowością. Postawiono ją w lewym skrzydle, w miejsce starej biblioteki. Częściowo z powodu planowanej wizyty papieskiej, przede wszystkim zaś dlatego, że był to jedyny sposób na darmowy remont skrzydła. Kościół chętnie wyłożył pieniądze, byleby tylko zbłąkane studenckie duszyczki miały gdzie uczestniczyć w niedzielnych mszach i innych nabożeństwach.

Młodzież, jak zwykle, okazała się bandą niewdzięczników. Ponad połowa nigdy nie była w kaplicy, a spory odsetek nie wiedział nawet o jej istnieniu. Zupełnie jakby nie było nic prostszego pod słońcem niż przeoczenie dwuskrzydłowych drzwi z napisem CHRYSTUS DROGĄ, ŚWIATŁEM, ŻYCIEM.

Właśnie te drzwi pchnęła Jenny i cichutko wśliznęła się do środka. Minęła dwa rzędy błyszczących lakierem drewnianych ławek, przyklękła przed ołtarzem, po czym skręciła w lewo i weszła do konfesjonału. Nad kabiną księdza zapaliła się lampka.

– Już myślałam, że cię nie będzie – powiedziała dziewczyna, gdy w maleńkim okienku za kratkami ujrziała oszpeconą twarz archanioła Michała. – Pojawiłeś się w ostatniej chwili.

– Ale zdążyłem, prawda? Mówiłem, że zdążę. Jenny pokiwała głową.

– Jak wypadłam? – zapytała. – Wiem, że trochę przesadziłam z patosem, ale dziekan Foster lubi takie banały, a ja chciałam mu sprawić trochę przyjemności.

Archanioł odpowiedział uśmiechem. Ognisty tatuaż wokół jego oka w jednej chwili wyblakł i w słabym świetle kabiny konfesjonału stał się prawie niewidoczny.

– Wypadłaś naprawdę znakomicie – rzekł ciepło. – Byłem z ciebie dumny.

Dziewczyna przytknęła usta do kraty i ucałowała anioła w policzek.

– Nadal nie możecie kłamać, prawda? – zapytała, nie kryjąc rozbawienia.

Michał roześmiał się i wzruszył ramionami. Ścianki konfesjonału zatrzęszczały pod naporem skrzydeł.

– Co teraz będziesz robić? – zmienił temat. – Zaczнешz szukać pracy?

Dziewczyna przejechała ręką po włosach.

– Jeszcze o tym nie myślę. Jedziemy teraz z Jeffem i paroma innymi znajomymi w góry, a potem... Skrzydlaty gwałtownie odwrócił głowę. Konfesjonał ponownie zatrzęszczał.

– Jeff? Czy to ten sam, co...

– Ten sam – weszła mu w zdanie. – Ale to już przeszłość, a ja umiem sobie radzić. Nie jestem już małą dziewczynką.

Gdy byłaś dziewczynką, też umiałaś – pomyślał Michał, ale nie powiedział tego głośno. Na moment pogrążył się we wspomnieniach. Dobrze pamiętał tę chwilę, gdy spotkali się po raz pierwszy. Miała wówczas pięć lat. I na swój sposób już wtedy była dorosła.

– Proszę cię tylko, żebyś na siebie uważała – powiedział w końcu. – I wezwała mnie, gdybyś potrzebowała pomocy.

– Obiecuję. – Jenny uniosła w górę lewą rękę, prawą przykładając do piersi. – A właśnie! Wiesz, że na dyplomie mam wpisane Michael jako imię ojca? Nie mam pojęcia, skąd im się to wzięło, ale wygląda na to, że oficjalnie zostałeś moim tatą.



Dobry kwadrans siedzieli w konfesjonale, rozprawiając na różne tematy, aż Jenny przypomniała sobie, że jest umówiona. Michał odparł, że również ma mnóstwo pracy, jednak po wyjściu dziewczyny nie ruszył się z konfesjonału.

Z zamyślenia wyrwało go ciche chrząknięcie. Archanioł poruszył się gwałtownie.

W kabinie obok ktoś siedział.

– Wybacz mi, ojcze, bo chyba przyjdzie mi zgrzeszyć – powiedział kpiącym głosem. – Kim była ta ślicznotka?

Na twarz Michała wrócił ognisty tatuaż.

– Co ty tu robisz, Loki? – zapytał, mrużąc oczy. Kłamcy, który znał to spojrzenie, z miejsca przeszła ochota na żarty.

– Znalazłem demona w sąsiednim stanie – wyjaśnił. – I próbowałem się z tobą skontaktować, ale nie

szło to najlepiej. I wtedy właśnie powiedzieli mi, że jesteś u Jenny. Kim ona jest?

– Dziecko, które kiedyś uratowałem z pożaru domu – wyjaśnił mruklawie archanioł, podnosząc się niezgrabnie z siedziska. – Sierota. Trochę jej pomagam. Jej stróż zginął, a sam wiesz, jak trudno dla nich o zastępstwa.

Opuścili konfesjonał i ruszyli wzdłuż głównej ławy. Ciekawość Lokiego narastała z każdym krokiem, wreszcie nie wytrzymał.

– Zaskakujące, że nigdy wcześniej o niej nie słyszałem. I objawiasz się jej osobiście? – zapytał. – To trochę niezwykle.

– Nie objawiam się jej, Loki. – Archanioł przystanął w pół kroku i spojrzał Kłamcy w twarz. Złość wyraźnie mu minęła. Uśmiechnął się nawet. – Ona nas widzi, rozumiesz? Wszystkich i każdego z osobna. Kiedy i jak chce. Gdzie masz tego demona?



Jeff Stockton był prawdziwym palantem. Przynajmniej w oczach większości chłopaków z uniwersytetu. Co dziwne, jeszcze do niedawna był bardzo lubiany, a palantem został dopiero pół roku przed końcem studiów, gdy zajął miejsce przy boku Jenny. I właściwie tylko z tego powodu. Bo jego właśnie wybrała, a pozostali mogli się tylko ślinić.

Jeff miał około metra osiemdziesięciu wzrostu, długie, sięgające ramion włosy i głupią tendencję do kończenia każdego niemal zdania pytaniem *co nie?*

Właściwie był nawet przystojny. Kilka lat gry w baseball pomogło mu ukształtować sylwetkę, a kilkudniowy zarost dodawał jego wiecznie opalonej twarzy nieco zawadiackiego uroku. Do tego dochodziła jeszcze nienaturalna wręcz biel zębów, widoczna za każdym razem, gdy się uśmiechał. Czyli przez prawie cały czas.

Jedyną skazą była ciągnąca się przez czoło dość szeroka różowa blizna. On sam utrzymywał, że to pamiątka po jednej z rozlicznych bójek, w których brał udział, i zawsze ubolewał, że pytający nie ma możliwości zobaczenia tego, jak oberwał tamten drugi.

Tak naprawdę, co zresztą wszyscy wiedzieli, bo wydarzenie miało miejsce na zapoznawczej imprezie pierwszych lat, blizna była skutkiem upadku i bliskiego spotkania kompletnie zalanego Jeffa z kamiennymi schodami na piętro. Nikt jednak z odwiedzających go w szpitalu znajomych nie miał sumienia opowiadać mu prawdy, zwłaszcza że upadek spowodowało potknięcie się o własne, opuszczone do kolan spodnie. Przez to poszkodowany nabrał dziwnego przekonania, iż w chwili zdarzenia był sam. Trafił okazję, by mógł pokazać się jako twardziel. I wykorzystał ją – ku ogólnej ucieście plotkującej cicho gawiedzi.

Oczywiście Jenny wiedziała o wszystkim.

Nie było jej wtedy na imprezie, ale historię znała już następnego dnia w najdrobniejszych szczegółach. Z kilku źródeł.

Nie miała podstaw, by nie wierzyć, zwłaszcza że gdy pierwszy raz spotkała Jeffa Stocktona, ten kompletnie pijany usiłował kraść jej z balkonu bieliznę. Był zdolny do wszelkich głupot.

Jednak miał w sobie coś urzekającego: to, jak koloryzował rzeczywistość. Nie, nigdy nie kłamał, przynajmniej nie do końca. On wierzył głęboko w to, co mówił, a w dodatku sprawiał, że inni również w to wierzyli. Albo chcieli uwierzyć.

Pomysł wyjazdu w Góry Skaliste wypłynął właśnie od Jeffa. Z początku był propozycją skierowaną jedynie do Jenny, ale gdy ta kategorycznie odmówiła wypadu tylko we dwójkę, chłopak zaprosił także najlepszych kumpli: Sida (z jego dziewczyną Tracy) i McCarthy'ego (który z pewnością miał jakieś imię, ale słyszeli je chyba tylko ksiądz, rodzice i chrzestni podczas chrztu) oraz trojaczki Strips – Mary Lou, Mary Jane i Suzie. Po długich negocjacjach do grupy dołączył również młodszy brat Jeffa, Dale, który jako jedyny miał samochód zdolny pomieścić ich wszystkich – starego volkswagena busa, i ani myślał go komukolwiek pożyczać.

Wyruszyli bladym świtem dwudziestego trzeciego czerwca. Dzień zapowiadał się wspaniale.



– Teraz skręcisz w następną drogę w lewo – polecił Jeff. Siedział razem z Jenny na podwójnym siedzeniu obok kierowcy, a na kolanach miał rozłożoną mapę. – Tam zaparkujesz. Dalej to już można tylko pieszo, co nie?

– A daleko? – Sid, zwany Balonem bynajmniej nie dlatego, że jakoś szczególnie lubił napełniane powietrzem gadżety, wyraźnie się zaniepokoił. Perspektywa niesienia ogromnego plecaka (z którego trzy czwarte wypełniały rzeczy Tracy) na dystansie dłuższym niż podjazd czy kilka schodków werandy napawała go autentycznym lękiem.

– Kilka kilometrów – stwierdził Jeff, patrząc na mapę. – Trudno powiedzieć. Jest tu całkiem sporo oznaczeń, co nie? Ale aż tak to się nie znam.

– A w ogóle się znasz? – zakpiła Mary Lou. Rozepchnęła siostry, z którymi dzieliła tylne siedzenie, i ruszyła do przodu, niby przypadkiem ocierając się o siedzącego po drodze McCarthy'ego. Ten, nie odrywając wzroku od czytanej książki, odruchowo przeprosił ją. Mary Lou uśmiechnęła się w odpowiedzi i wzięła mapę od Jeffa.

– Według tej mapy – powiedziała, siadając na moment na skraju siedzenia obok Sida – chatka znajduje się sześć kilometrów od parkingu na wysokości dwóch tysięcy sześciuset stóp nad poziomem morza. To jakieś tysiąc sześćset powyżej miejsca, gdzie zaparkujemy. Nie tak tragicznie.

Odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk kręconych blond włosów i kolejny raz zerknęła w stronę McCarthy'ego, oczekując aprobaty. Chłopak jednak wciąż tkwił w świecie Vonneguta. Dziewczyna sapnęła cicho, oddała mapę i wróciła na swoje miejsce wściekła jak osa.

Obojętność McCarthy'ego denerwowała ją tym bardziej, że tak naprawdę kompletnie nie miała pojęcia, co jej się tak podobało w tym facecie. Nie miał w sobie przecież nic a nic szczególnego.

Krótko obcięte rude włosy, nieco kanciasta głowa z kwadratową szczęką – typowy wygląd faceta z drugiego planu i w życiu, i na filmach. Był znakomicie umięśniony, co o tyle wydawało się niezwykle, że kiedykolwiek by go zobaczyć, zawsze siedział z książką. Twarz miał wychudłą, bladą, pokrytą piegami zgromadzonymi zwłaszcza wokół nosa.

Mary Lou z kolei, podobnie jak jej siostry, mogła uchodzić za spełnienie amerykańskiego snu. Wysoka, szczupła blondynka o kręcących się włosach, pełnych piersiach i spojrzeniu idiotki.

Ale żadna z sióstr Strips nie była idiotką. Mary Lou miała trzeci wynik w szkole, a poza tym jak mało kto znała się na komputerach. Mary Jane i Suzie, nieco mniej inteligentne, nadrabiały zdolnościami artystycznymi. Obie grały na wiolonczelach i doskonale opanowały body painting. Najczęściej ćwicząc na sobie nawzajem, a potem fotografując własne dokonania.

Kiedy, nie wiedząc jak, wiadomość o tym wydostała się na zewnątrz, na uczelni powstało mnóstwo obrzydliwych plotek, a cena, jaką proponowali niektórzy za zdobycie owych fotografii, przekroczyła dwieście dolarów. I rosła.

Dale dostrzegł zjazd i skręcił na parking. Zahamował.

– Tak więc dotarliśmy na miejsce – ogłosił, odwracając się i uśmiechając szeroko. – Firma Dale i spółka dziękuje wszystkim za wspólną podróż i poleca się na przyszłość.

– Dzięki, Dale. – Jenny była jedyną osobą, która zareagowała na jego słowa. Pozostali w pośpiechu zaczęli opuszczać ciasny pojazd, by jak najszybciej wyjść na zewnątrz.

Na parkingu czuć było lasem. Słodki zapach żywicy mieszał się z delikatnym aromatem, jaki wydzielala parująca ściółka.

Jeff głęboko wciągnął powietrze.

– Pięknie tu, prawda, kochanie? – zagadnął.

Jenny, która właśnie pochylała się, by zawiązać but, teraz podniosła się i rozejrzała.

Parking, mogący pomieścić maksymalnie cztery ciężarówki z przyczepami, z trzech stron otoczony był lasem, a od drogi odgradzono go niskim, sięgającym pasa drewnianym płotkiem. Przy samym wjeździe ustawiono niewielką drewnianą stróżówkę, sądząc po jej stanie, dawno już nieużywaną, a przynajmniej niezgodnie z przeznaczeniem.

Nieco na lewo od niej, na trawie, znajdowały się wkopane w ziemię stoły piknikowe – grube deski osadzone na nieociosanych pniach. Ponieważ parking zamiast asfaltem pokryty był żwirem, na stolikach zalegała warstwa pyłu.

W głąb lasu wiodła z parkingu tylko jedna droga, oprócz niej nie widać było nawet najdrobniejszych ścieżynek, którymi ktoś wcześniej przedzierał się na skróty. Tuż przed linią pierwszych drzew rosły krzaki do złudzenia przypominające żywopłot. Jenny przywiódł on na myśl bajkę o śpiącej królewnie i ziarno, które rzuciła zła wiedźma, by stworzyć cierniowe krzewy oplatające zamek. Tam również nie było żadnych ścieżek.

Trakt wiodący w las wyglądał na wyjątkowo zadbane. Był dość szeroki, o podłożu z leśnej ściółki, nad którą teraz unosiła się lekka mgiełka odparowującej wody, i z dachem w postaci ciemnozielonych gałęzi.

– O czym myślisz? – zapytał Jeff, gładząc ją po szyi. Jenny wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odparła. – To wszystko wydaje mi się takie bajkowe, takie... To piękne miejsce. Dziękuję.

– Wszystko dla mojej księżniczki, co nie? Poczekaj, aż zobaczysz chatę!

– Strzelimy sobie pamiątkową fotkę? – zawołał Sid, wyciągając z plecaka polaroid.

Dziewczyny, pierwsze podchwyciwszy pomysł, ustawiły się przy samochodzie. Sid włączył samowyzwalacz i postawił aparat na płotku. Truchtem dołączył do grupy, po czym wtulił się w Tracy. Po chwili błysnęła czerwona lampka, aparat zazgrzytał i wypluł z siebie fotografię.

Wszyscy rzucili się, by ją obejrzyć. Pierwsza złapała zdjęcie Mary Lou. Skrzywiła się jednak z niesmakiem.

– Chyba masz coś nie tak z tym polaroidem – powiedziała, pokazując fotkę pozostałym. Nad nimi, na dachu samochodu, widać było coś świetlistego.

– To nie wina aparatu. – McCarthy uważnie przyjrzał się zdjęciu. – To po prostu refleks światła. Słońce musiało wyjść zza chmury właśnie w tym momencie.

– Zróbmy więc jeszcze jedno – zaproponowała Tracy, wyraźnie starając się pocieszyć swego ukochanego. – Tak chyba najlepiej sprawdzimy, czy z aparatem jest wszystko w porządku. A jeśli nie, to się go zostawi w samochodzie, bo on jest ciężki, prawda, pączusiu?

Sid przytaknął, choć nie miał szczególnie zadowolonej miny. Wolałby zostawić cały plecak zamiast swojego polaroidowego cudeńka.

– Swoją drogą – odezwała się Suzie, gdy przyszła jej kolej na przyjrzenie się zdjęciu – to nie odnoście wrażenia, że ten refleks ma kształt człowieka? Moim zdaniem wygląda jak kucający facet.

Jenny natychmiast zerknęła w stronę dachu busu, po czym rozejrzała się wokoło.

Chyba nie robisz czegoś tak głupiego, archaniele? – pomyślała wyraźnie podenerwowana. – *Nie robisz, prawda?*

Nikt jej nie odpowiedział, a i sama niczego nie zauważyła, co odrobinę ją uspokoiło.

Na kolejnym zdjęciu nie było żadnych refleksów. Prześwietloną fotografię zabrał Dale, twierdząc, że to pierwsza, na której wyszedł naprawdę dobrze, i nie może zmarnować takiej okazji. Jakiś kwadrans później cała grupa wkroczyła na ścieżkę wiodącą w las.



– Zauważyliście, jak tu zimno? – zapytała Tracy. Zupełnie bez sensu, bo choć przeszli raptem z dwieście metrów, prawie wszyscy mieli już na sobie swetry czy inne ciepłe nakrycia. Tylko McCarthy pozostał w krótkim rękawku.

– To normalne, że w lesie jest chłodniej – powiedziała Jenny. – Zobaczcie, jak gęsto jest nad nami. Światło ledwo się przebija.

– No – przytaknął Jeff. – Poza tym na parkingu było naprawdę gorąco, co nie? I to, co teraz czujemy, można nazwać małym szokiem termicznym. A tak swoją drogą, Dale, powinieneś być zaparkować w cieniu. Gdzieś koło tej stróżówki na przykład.

Młodszy brat tylko wzruszył ramionami. Zaczynał żałować, że dał się namówić na ten wyjazd. Niby miał szansę na jedną z fotografujących sióstr Strips (Kurde – myślał przed wyjazdem – a może obie...), ale

Jeff jak zwykle uważał go za gnojka. Tak to jest, kiedy jedziesz rwać laski ze starszym bratem!

– Jeszcze możecie wrócić – zaproponowała idąca za nim Mary Jane. – Moglibyście przy okazji zabrać moją wodę z tylnego siedzenia.

Dale stanął w pół kroku. Nadarzała się okazja, by zapracował na swoją szansę.

– Dla ciebie to zupełnie inna sprawa – rzucił wesoło i pognął z powrotem.

– Czekaj, skoczę z tobą – powiedział Sid, ostrożnie zdejmując plecak. – Głupie uczucie, ale mam wrażenie, że czegoś zapomniałem.

Uśmiechnął się do Tracy, podciągnął spodnie i kaczym truchtem ruszył w stronę samochodu.

Pozostała część grupy postanowiła na nich zaczekać, rozłożyli się więc na ścieżce, zdejmując plecaki i siadając na fantazyjnie poskręcanych korzeniach kłębiących się niczym ogromne węże. Jako że droga od parkingu wiodła prosto przeszło kilometr, z miejsca, gdzie siedzieli, mieli doskonały widok na to, co działo się przy busie.

Dale, gdy tylko dobiegł do samochodu, w pierwszej kolejności zanurkował na tylne siedzenia i po chwili wynurzył się ze środka, trzymając w ręce butelkę wody. Postawił ją na ziemi, po czym obszedł samochód i wszedł od strony kierowcy.

Właśnie ruszał, gdy na polanę wszedł Sid. Niemal w tej samej chwili rozpętało się piekło.

Najpierw mocny podmuch wiatru poderwał z ziemi żwir. Potem ściana pyłu i drobnych kamyczków zaczęła kręcić się coraz szybciej, jak tornado. W jednej chwili ogarnęła cały parking, by zaraz potem... stanąć w ogniu. Rozległ się wybuch i wzdłuż ścieżki, niczym jakieś groteskowe domino, zaczęły upadać drzewa.

Michale! – zdążyła pomyśleć Jenny, nim ktoś złapał ją za rękę i pociągnął za sobą, zmuszając do biegu. To był McCarthy.

Drzewa upadały po dwa, jedno z każdej strony, równo niczym fale Morza Czerwonego zamykające się za ludem Mojżesza.

Michale! – Jenny, wciąż biegnąc ile sił w nogach, próbowała skupić myśli. Bardzo chciała wiedzieć, co z Jeffem i innymi, ale bała się obejrzeć. Wciąż czuła mocny, pewny uścisk McCarthy'ego. Gdyby potknęła się i upadła, pewnie nawet by tego nie zauważył. Ciągnąłby ją po ziemi, zupełnie nie zdając sobie sprawy, co go spowalnia.

Archaniele! – pomyślała raz jeszcze, tym razem telepatycznym odpowiednikiem krzyku. – Pomóż mi!



Archanioł Michał zwykle nie miał problemów z opanowaniem emocji. Teraz jednak z całej siły powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Stali razem z Lokim na dachu jednopiętrowego banku, przyglądając się postaci siedzącej przy schodkach marketu po przeciwnej stronie ulicy.

Obiekt ich obserwacji, ubrany w resztki wojskowego munduru Indianin, popijał coś z plastikowego kubeczka, mrucząc do siebie pod nosem. Nie ulegało wątpliwości, był mocno wstawiony.

– Oczekujesz zapłaty za Łajzasza? – Trudno powiedzieć, co przeważało w głosie archanioła: kpina czy niedowierzanie. – Naprawdę?

– Co w tym dziwnego? – prychnął Kłamca. – Demon jest demon. Nikt mi nie mówił, że otworzyliście mały rezerwat dla tych najgłupszych albo najbardziej pechowych. Znalazłem go i należy mi się zapłata.

– Ależ, Loki, zastanów się. W tym miasteczku jest co najmniej kilkunastu aniołów, a ty, żeby dostać nagrodę, musiałbyś załatwić Łajzasza najprawdopodobniej razem z tym opętanym inwalidą. Chcesz, żeby rozniosła się plotka? Naprawdę warte to jednego pió... A ci co tu robią?

Kłamca podążył za jego wzrokiem i dostrzegł grupę mężczyzn idących równym krokiem w stronę marketu. Było ich pięciu, dwie dwójki i jeden z przodu. Wszyscy ubrani w identyczne piaskowe koszule i jasne spodnie w kantkę. Każdy z nich na prawym ramieniu miał czerwoną przepaskę z jakimś czarno-białym znaczkiem. Jak okazało się po chwili, gdy podeszli nieco bliżej, swastyką.

– Znasz ich? – zapytał Loki.

Archanioł pokiwał głową.

– Poznałem kiedyś w ich rodzinnym stanie. Pilotowaliśmy wtedy pewną misję, w którą nie za bardzo mogliśmy się mieszać. Pomagaliśmy dwóm bluesmanom zebrać pieniądze na sierociniec prowadzony przez zakonnice. Omal nas wtedy nie załatwili, ale byłem prawie pewien, że się ich pozbyliśmy. A teraz znów widzę te same gęby.

Grupa zdążyła w międzyczasie dojść do marketu i otoczyć półkolem ofiarę Łajzasza. Sądząc z ich podniesionych głosów, szykował się lincz.

Tatuaż na twarzy Michała zapłonął.

– To naziści z Illinois – wycedził. – Nienawidzę nazistów z Illinois.

Odwrócił się do Kłamcy.

– I chyba dostaniesz okazję, by coś zarobić.



Malcolm Blackraven, niegdyś dumny przedstawiciel swojego plemienia i dzielny żołnierz narodu amerykańskiego, a obecnie pijak, inwalida i pośmiewisko lokalnej społeczności, dość późno zorientował się, że będzie miał kłopoty. Niczego to jednak nie zmieniało. Nawet gdyby jego przekrwione oczy zdążyły dostrzec zbliżającą się grupę jeszcze u wylotu uliczki, a jego wymęczony alkoholem umysł pojął konflikt między noszonym przez nich znakiem a jego osobą, prawdopodobnie i tak by nie zareagował. Bo w gruncie rzeczy miał wszystko gdzieś. I tak jedyna osoba, której na nim zależało, była właściwie urojonym głosem w jego głowie.

Mężczyźni w piaskowych mundurach, jak jeden błękitnoocy blondyni, równym krokiem pokonali odległość dzielącą ich od sklepu i ustawili się w półkolu wokół siedzącego na schodach weterana. Malcolm zauważył, że dwóch z nich ma na ramionach sporych rozmiarów torby.

Ten, który w kolumnie siedł na przedzie, a obecnie znajdował się dokładnie na wprost Indianina, uśmiechnął się paskudnie.

– Jesteś śmieciem, wiesz? – powiedział tonem, jakiego mógłby użyć uprzejmy nauczyciel wobec mniej zdolnego ucznia. – I samą swoją obecnością kpisz sobie z ideałów Południa. I z planów białej rasy wobec zagospodarowania tego świata. Bo my mamy plany, wiesz? Całkiem niezłe. I nie ma tam miejsca dla takich jak ty.

Nie odrywając wzroku od weterana, wyciągnął do tyłu rękę, a jeden z jego towarzyszy zaraz sięgnął do torby i podał mu butelkę z czaszką na etykiecie. Prowodyr odkorkował i wylał zawartość na Indianina. Wokół rozniósł się zapach benzyny.

I to chyba skłoniło Malcolma do działania.

Poderwał się gwałtownie, odpychając pochylonego nad nim napastnika. Gdy nazista upadł, Blackraven rzucił się do przodu, chcąc przerwać otaczające go półkole. Niestety, na to nie starczyło mu już sił. Bojówkarze, z których żaden nie należał do ułomków, błyskawicznie rzucili się ku niemu, na powrót pchając go na schody. Jeden nawet w swej gorliwości poczęstował Indianina kilkoma kopniakami. Ten przywarł twarzą do stopni, drżąc z bólu i strachu.

Napastnicy pomogli wstać swemu przywódcy i doprowadzić ubranie do porządku. Twarz pierwszego spośród nazistów wykrzywił grymas wściekłości. Z kieszeni wyciągnął zapalniczkę zippo. Odpalił...

– O, jak miło – rozległo się za jego plecami. – Właśnie o ogień chciałem zapytać.

Prowodyr jak i pozostali odwrócili się niemal równocześnie. Kawalek za nimi stał mężczyzna o długich, rozpuszczonych blond włosach i w sięgającym ziemi brązowym płaszczu. Pod nim miał sprane dżinsy i flanelową koszulę, a pod szyją zawiązaną szarą apaszkę. Na pierwszy rzut oka wyglądał, jakby właśnie uciekł z planu jakiegoś westernu. Wrażenie pogłębiał skręcony naprędce papieros wciśnięty niedbale w kącik ust.

Przywódcą nazistów uniósł rękę, by słońce nie przeszkadzało mu w oględzinach przybysza. Czuł się niepewnie, bo widział wyraźnie, że przybysz był biały. A to wykluczało zastosowanie pewnych radykalnych środków. Rasa Panów i tak nie była dość liczna.

- Kim jesteś? – zapytał, wciąż wznosząc ku niebu zapaloną zapalniczkę.
- Powiedzmy, że znam tego na schodach – odparł przybysz, uśmiechając się lekko.
- Jesteś kumplem Indiańca? – zdziwił się pierwszy nazista.

Długowłose pokręcił głową.

– Nie tego – odparł, po czym, nie przestając się uśmiechać, zaintonował: – Przybądź na świat, o Eraamelu. W imię tych, którzy rządzą na niebiosach, udzielam ci azylu. Przybądź i broń tego, co twoje.

Naziści wpatrywali się w przybysza ze zdumieniem, nic jednak nie mówili. Zwłaszcza że ten wcale nie patrzył na nich. Spoglądał jakby przez nich, w głąb. Po chwili w powietrzu poczuli intensywną woń siarki, a uśmiech na twarzy długowłosego poszerzył się.

– Witaj, Łajzaszu – powiedział.

Odpowiedział mu dziwny bulgot.

– Widzisz zippo? Najpierw zippo...

Prowodyr zdrzął, a to, co zdarzyło się później, sprawiło, że na długie tygodnie mógł zapomnieć o bezbolesnym siadaniu.



Z początku Michałowi wcale nie podobał się pomysł Lokiego, by Łajzasz załatwił wszystko sam. Uwalnianie demona, nawet tak słabego i zrezygnowanego jak Eraamel, nie wydawało mu się czymś właściwym. Ale z drugiej strony litość wobec takiego plugastwa też nie, a jednak wszyscy się na nią zdobyli. Poza tym zabawa, jaką zafundował demon nazistom z Illinois, warta była chwili wątpliwości.

– To obrzydliwość – stwierdził archanioł, gdy Loki dołączył do niego na dachu.

– Tak – zgodził się Kłamca. – I to samo mówił chyba kiedyś święty Paweł. Ale cóż innego mógł im zaproponować homoseksualny demon pożądania?

– Wzbudzają zgorszenie.

– Aha! – Loki wskazał kobietę stojącą w drzwiach zakładu fryzjerskiego. – A tamta to nawet robi zdjęcia, tak jest zgorszona. Nie ma co, niezłe przedstawienie.

Michał chciał jeszcze coś dodać, ale nagle chwycił rękami głowę i odgiął się do tyłu z głośnym jękiem. Padł na kolana i wciąż przyciskając pięści do skroni, dyszał ciężko.

– Co ci jest? – zaniepokoił się Loki.

– Mocny sygnał – wycedził archanioł. – Ale jakby przechodził przez jakąś barierę. Coś jak wołanie z piekła.

– Jakie wołanie? O czym ty mówisz?

– Jenny nie żyje. I jest w ogromnym niebezpieczeństwie.



Nie miała pojęcia, jak długo biegła. W płucach czuła ogień, każdy oddech był niczym połykanie szklanego pyłu, a kamień w bucie z każdym krokiem coraz głębiej wwierał się jej w stopę. Mimo to nie zwalniała. Nie mogła. Zdążyła się już przekonać, że ściskający jej dłoń McCarthy nie zamierza dać jej odpuścić. Każde potknięcie kończyło się kilkoma metrami sunięcia kolanami po ściółce, zanim na powrót mogła wstać i złapać rytm biegu.

Na szczęście w chwili gdy zaczęło się to szaleństwo, oboje byli najdalej od parkingu. Inni mieli mniej szczęścia. Dla nich każdy upadek był końcem gry. Dogrywek nie przewidziano.

Jenny słyszała krzyki, ale nie oglądała się za siebie. Ziemia wciąż drżała pod jej stopami, odgłos walących się pni wydawał się być z każdą chwilą coraz bliższy, głośniejszy, ale dziewczyna wiedziała już, że nie biegnie na darmo. Jakieś pięćdziesiąt metrów przed nimi kończył się bowiem tunel lasu, a zaczynała jasna polanka. Tam będą bezpieczni.

McCarthy też wyraźnie poczuł się pewniej. Po raz pierwszy spojrzął na Jenny. Uśmiechnął się, po czym gwałtownie przyspieszył. Z trudem znalazła w sobie dość sił, by dotrzymać mu kroku.

W chwili gdy znaleźli się na polanie, huk upadających drzew z miejsca ucichł. Ziemia przestała drżeć i jedynie zwalone pnie ukryte w mroku ścieżki przypominały o całym zajściu.

Dziewczyna zatrzymała się, ciężko dysząc. Długo stała pochyłona, czekając, aż jej oddech wróci do normy. Gdy była już pewna, że się udało, podniosła głowę... zbyt szybko. Zawirowało jej przed oczami, a potem poleciała na bok, wprost w rosnące przy drodze krzaki.



Gdy się ocknęła, na polanie panował już półmrok. Ktoś leżał obok, sapiąc jej w szyję. Przez jedną krótką chwilę była pewna, że to Jeff, ale oddech, który czuła, z pewnością nie był oazą miętowej świeżości, do jakiej przyzwyczał ją jej chłopak. Poruszyła się gwałtownie i zobaczyła, że obok niej leży McCarthy. Brodą prawie dotykał jej ramienia.

Jenny podniosła się i zerknęła w stronę ścieżki. Pogrążone w mroku zwalone pnie nie pozostawiały wątpliwości, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. A Jeff z całą pewnością nie żył.

Poczuła, że powinna tam wrócić, odnaleźć go, a raczej to, co z niego zostało, i... no właśnie, co? Nie miała pojęcia. Czuła się tak skołowana!

Archaniele – pomyślała – dlaczego nie odpowiedziałeś? Gdzie jesteś?

– ...innej możliwości – usłyszała gdzieś z boku.

Odwróciła się gwałtownie. McCarthy leżał wsparty na łokciach. Wlepił w nią swoje zielone oczy i uśmiechał się lekko.

– I jak? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie dosłyszałam, co mówiłeś.

Chłopak przeciągnął się, wstał i otrzepał ubranie.

– Mówiłem, że to musiał być wybuch. Jakieś podziemne złoża gazu. Słyszałem już o takich przypadkach. Pod skorupą gromadzi się metan, a potem jeden taki upalny dzień i wszystko łup! – Gwałtownie rozłożył ręce. – A drzewa to fala uderzeniowa. Mieliśmy cholernie dużo szczęścia.

Jenny pokręciła głową.

– Te drzewa upadały zbyt równo, zupełnie jakby...

– Jakby co? – w głosie McCarthy'ego pojawiła się nutka kpiny. – Jakby ktoś przygotował na nas pułapkę? Ponacinał drzewa, a potem odpałał w nich ładunki?

Ale Jenny już nie słuchała. Nagle przypomniała sobie o zdjęciu i słowach Mary Jane: *Nie odnosicie wrażenia, że ten refleks ma kształt człowieka? Moim zdaniem wygląda jak kuczający facet.* Rozejrzała się wtedy pewna, że ten refleks był odbiciem blasku archanioła. Ale jeśli to wcale nie był Michał? Jeżeli obecne przeczucie jej nie myliło, mogli właśnie wpakować się w nieliczne kłopoty. Bo skoro aniołowie po dziś dzień noszą miecze, znaczy, że i druga strona nie jest bezbronna.

Na moment zmrużyła oczy. Nauczyła się, jak zamykać umysł na swoje widzenia, jak nie dopuszczać widoku aniołów i innych istot na co dzień. To znacznie ułatwiało życie. Teraz jednak chciała zobaczyć. I najlepiej zadać kilka pytań. Otworzyła powieki, wstała i odwróciła się do McCarthy'ego. Wyglądała, jakby próbowała przejrzeć go na wylot.

– Za czym tak patrzysz? – zdziwił się.

Zmarszczyła brwi.

– Podobno jesteś sierotą – powiedziała z wyrzutem. – Tak właśnie mówiłeś, że jesteś sierotą i nie masz żadnej rodziny, prawda?

Na twarzy McCarthy'ego zakrólowało bezbrzeżne zdumienie.

– Nie rozumiem, o czym ty mówisz – stwierdził. – Pewnie jesteś w szoku i...

– Nie masz stróża – powiedziała Jenny, siląc się na spokój. Raz jeszcze popatrzyła wokoło, po czym już spokojniej wyjaśniła: – Stróża nie ma przy człowieku tylko wtedy, gdy ktoś w rodzinie potrzebuje go bardziej albo gdy człowiek jest prawdziwie zły. Nie jesteś prawdziwie zły, wyczułabym to, nie masz też rodziny. Gdzie jest zatem twój stróż?

– Nie mam pojęcia. – McCarthy, wciąż zdumiony, pokręcił tylko głową. – Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Ale nie martw się, już wszystko jest dobrze. Zaopiekuję się tobą.

Wyciągnął przed siebie ręce w uspokajającym geście, po czym powoli podszedł do niej. Nie protestowała, czuła, że nie ma złych zamiarów. Poza tym w razie czego będzie potrafiła się obronić. Etap życia, kiedy mogła omdlewać na ramieniu chłopaka i udawać słodką, minął bezpowrotnie. Znow musiała stać się Jenny – wychowanką archanioła twardo walczącą o swoje. Zupełnie jak kiedyś.

McCarthy zbliżył się na odległość pół metra i położył jej ręce na ramionach. Chłopak przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem mocno przytulił. Nic nie mówił, ale wiedziała już, że się nie pomyliła, a to tylko przyjacielski uścisk mający ją uspokoić. Jego dłonie nie błędziły po jej plecach, serce nie szalało w piersi, a oddech pozostawał miarowy. Po chwili McCarthy odchylił się lekko do tyłu i ponownie patrząc jej w oczy, powiedział z uśmiechem.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Zaopiekuję się tobą i jakoś wrócimy do domu.

Jenny pokiwała głową, choć wcale nie była tego taka pewna. Nie chciała go jednak martwić, zwłaszcza że – z czego zdała sobie sprawę, dopiero tkwiąc w jego objęciach – on i tak nie miał prawa jej zrozumieć. W końcu nigdy nie widział anioła. Postanowiła udawać uspokojoną i czujnie obserwować rozwój wydarzeń.

Coś poruszyło się w krzakach. Najpierw był to odległy pojedynczy odgłos, zaraz jednak przybrał na sile i intensywności.

– Stój! – usłyszała wołanie kobiety.

A potem spomiędzy krzaków wypadł Jeff. Jego oczy płonęły wściekłością. Pędził wprost na McCarthy'ego.

Jakaś część Jenny wiedziała, że powinna się teraz ucieszyć i rzucić na szyję cudownie ocalałemu chłopakowi. Pocałować go mocno i choć na sekundę zapomnieć, co się stało, ścisnąć cały świat tylko do niego i siebie razem. Ale ta część, niedawno jeszcze dominująca, była teraz w mniejszości. Jeff, zamiast ucieszyć się, że jest zdrowa i cała, najwyraźniej chciał pobić jej wybawcę. Coś tu było nie tak, jak w śnie, gdy bliscy zmieniają się w demony, a bezpieczna pościel w grząskie bagno.

Nie miała jednak czasu, by teraz to roztrząsać. Musiała działać. W chwili gdy Jeff usiłował ją minąć, podstawiła mu nogę i z całej siły pchnęła go w plecy.

– Uspokój się! – krzyknęła. – Nic się nie wydarzyło. McCarthy przezornie stanął po przeciwnej stronie ścieżki.

Z krzaków zaś wyłoniły się kolejne dwie postaci – Mary Jane i Suzie. W poszarpanych ubraniach, z rękami i nogami pełnymi zadrapań, ale wciąż żywe. Ich siostra raczej nie miała tyle szczęścia...

A może jednak? Jenny zauważyła, że i one nie mają anioła stróża. Więc może Mary Lou jakoś przeżyła i teraz skrzydlaty opiekun jest przy niej. Dziewczyna chciała w to wierzyć, ale nie potrafiła. Bo nad polaną nie unosił się żaden anioł. Również nie było stróża Jeffa.

– Jak zdołaliście przeżyć? – zapytała, uśmiechając się przeproszająco do Jeffa i wyciągając rękę w jego stronę.

Chłopak spojrział na nią niechętnie, po czym wstał, nie korzystając z jej pomocy. Posłał wściekłe spojrzenie McCarthy'emu, ale nie ruszył w jego kierunku. Podszedł za to do Suzie i poprosił ją o otrzymanie pleców.

– Pobiegłyśmy za Jeffem – odparła Mary Jane. – Rzuciliśmy się w las po prostu, pomiędzy drzewa. Padały tylko te przy ścieżce, więc tam w głębi było względnie bezpiecznie. A potem, gdy wszystko ustało, poszliśmy was szukać. To Jeff nalegał... – dodała z wyraźną naganą w głosie.

Jenny zrobiło się głupio. Może nie miała racji. Ich wszystkich spotkało nieszczęście, a ona szuka kozła ofiarnego! Że nie było aniołów – to nie musiało nic znaczyć. Chciała załagodzić sytuację, niestety, Jeff nie wyglądał na kogoś, kto chciałby słuchać wyjaśnień, więc chyba jednak trzeba będzie odłożyć to na później. Wokół robiło się ciemno.

– Jak daleko jest stąd do tej chaty? – zapytał McCarthy.

Nikt nie odpowiedział i pytanie przez moment wisiało w powietrzu. Wszyscy odwrócili się w stronę stojącego teraz tyłem Jeffa, który wzniosł głowę ku niebu i szeptał coś cichutko. Wyglądało, jakby się

modlił.

– Jeff? – Suzie postanowiła przerwać ciszę. – Co ty właściwie...

I wtedy chłopak odwrócił się gwałtownie. Jego rozciągnięta w dzikim uśmiechu twarz jaśniała dziwnym blaskiem, a włosy zdawały się płonąć błękitnym ogniem. Oczy, całe białe, pozbawione źrenic i tęczówek, skierowane były w stronę McCarthy'ego.

– *I powiedział Pan: Nie pożądaj żony bliźniego swego ani żadnej rzeczy, która jego jest* – wycedził przez zaciśnięte zęby. A potem skoczył.

Odległość, jaka dzieliła ich obu, z całą pewnością przekraczała pięć metrów, a mimo to Jeff pokonał ten dystans jednym susem. Wylądował na rywalu, przewracając go własnym ciężarem, po czym usiadł na nim okrakiem i podniósłszy z rowka koło drogi kamień, zaczął okładać go nim po twarzy.

Jenny skoczyła ku walczącym, ale została odepchnięta z taką siłą, że poleciała kilka metrów i uderzyła o drzewo. Potworny ból przeszył jej plecy i przez dłuższą chwilę nie mogła się pozbierać.

Tymczasem Jeff wyraźnie skończył już z McCarthyem, bo odrzucił na bok ociekający krwią i kawałkami mózgu kamień, wstał i zaczął się zmieniać. Jego głowa i brzuch zaczęły pęcznieć, skóra zatrzęszczała, a oczy wypadły wypchnięte z oczodołów. Sekundę później chłopak eksplodował. Ktoś wrzasnął. Jenny nie była pewna, czy to nie ona sama. Wiedziała tylko, że zerwała się na równe nogi, lekceważąc ból. Spojrzała w stronę ocalałych dziewcząt. Suzie zasłaniała sobie oczy, nie przestając krzyczeć. Stała najbliżej Jeffa, cała więc była w jego resztkach. Mary Jane, znajdująca się za jej plecami, trzymała w dłoniach patyk o ostrym końcu. Jej twarz pojaśniała. Spojrzała w stronę Jenny.

– Uciekaj – wyszeptła bezgłośnie i uśmiechnęła się. Potem wzięła zamach i wbiła patyk w plecy siostry. Zanuciła coś przy tym, coś, co brzmiało jak melodia do wyliczanki o dziesięciu małych Indianach. Patyk wznosił się i opadał do rytmu.

Jenny już drugi raz tego dnia zaczęła uciekać.



– Nic nie rozumiem – przyznał archanioł.

Stali wraz z Kłamcą na zdemolowanym parkingu, wpatrując się w mocno zniekształcone ciała aniołów. Było ich pięciu, a wszyscy mieli połamane skrzydła i osmolone szaty. Leżeli w dziwnych pozach w różnych miejscach placu.

– Mnie nie pytaj – odparł Kłamca, wzruszając ramionami. – Pierwszy raz widzę, by któremuś z was spuszczone takie manto.

Podszedł do pozostałości po busie i przez chwilę uważnie oglądał zwłoki za kierownicą. Temperatura sprawiła, że białka w oczach ścięły się, a skóra popękała jak na pieczonym kurczaku. Przez szczeliny sączył się wytopiony tłuszcz. Całość wyglądała jak nieudana rzeźba z gabinetu figur woskowych.

– W środku jest tylko jedno ciało. Raczej facet. – Kłamca odwrócił się... i wtedy dostrzegł Sida.

Gruby chłopak, mimo że wyglądał zupełnie jak siedzący za kierownicą Dale, wciąż jeszcze żył. Leżał twarzą do ziemi, oddychając płytko i od czasu do czasu podrygując nogą w niekontrolowanym skurczu mięśni.

Kłamca dopadł do niego i najdelikatniej jak mógł odwrócił.

– Co tu się stało? – zapytał. – I gdzie reszta?

Chłopak próbował odpowiedzieć, ale nie był w stanie. Przewracał tylko oczami i na przemian otwierał i zamykał usta.

– Odsuń się – powiedział Michał, stając za plecami Kłamcy. – Ja spróbuję.

Uklęknął przy Sidzie i położył mu rękę na czole. W dziedzinie telepatii daleko było mu do Rafaela, a nawet do Gabriela, ale jak każdy skrzydlaty miał przynajmniej odrobinę tego talentu. I to, jak się okazało, wystarczyło. Po chwili wstał i otrząpął kolana.

– Znalazł się w samym oku cyklonu – powiedział. – Dlatego przeżył. Pomóż mi odprawić rytuał nad stróżami. Muszę ich mieć w jednym miejscu.

– Zaraz, czekaj! – Lokiego wyraźnie nie usatysfakcjonowała odpowiedź archanioła. – Jaki cyklon?

O czym ty mówisz? Przecież w okolicy nie ma śladu, by...

– Bo to nie był zwykły cyklon, tylko Słup Ognia, Obłok Pana. Znak Boga, który moc okazał.

– Bóg to zrobił?!

Archanioł potrząsnął głową.

– Boga nie ma, Loki, wiesz przecież. Ale kiedy jeszcze był, niektórym z nas pokazał parę sztuczek. Na przykład Słup Ognia potrafiło zrobić dwóch z nas.

– Znasz ich? – zapytał Kłamca.

– Jednym jestem ja – odparł Michał. – A jeśli nie myślę się co do drugiego, to Jenny ma naprawdę poważne kłopoty.



Ciało ostatniego spośród stróżów cisnęli na pozostałe, potem Michał dobył miecza i odmówiwszy kilka słów w obco brzmiącym języku, położył go na stosie. Martwi aniołowie w jednej chwili zajęli się płomieniem.

Loki patrzył na to, cały czas myśląc intensywnie.

– Mówiłeś, że Jenny nie żyje – powiedział w końcu. Michał wzruszył ramionami.

– Pomyliłem się – stwierdził. – To wołanie brzmiało, jakby dobiegało z piekła. Ale wtedy nie brałem pod uwagę Samaela. Teraz sam nie wiem, co byłoby dla niej lepsze.

Kłamca podrapał się po głowie. Nie zamierzał ukrywać, że niewiele z tego rozumiał.

– Samael... To imię powinno mi coś mówić? – zapytał.

Archanioł kucnął i włożył rękę do ognia. Wydobył ze stosu pogrzebowego miecz i ugasił głownię.

– Samael, trucizna Boga – powiedział, podnosząc się. – Największy pośród upadłych, mistrz Lucyfera i pierwszy miecz Nieba. Sam sobie odpowiedz, powinno ci to coś mówić?

– Tylko bez sarkazmu, panie Taki Jestem Twardy i Mądry! – oburzył się Loki. – Zapominasz, kto tu komu pomaga. Mów jaśniej albo radź sobie sam.

– I tak niewiele mi pomożesz – Michał uśmiechnął się smutno. – Ale masz rację, trochę mnie ponosi. Samael, a właściwie Sa'ael, był ostatnim spośród siedemdziesięciu dwóch kandydatów na następcę odchodzącego Pana. Lud wybrany zna imiona ich wszystkich, błędnie określając je mianem imion Boga. On jako jedyny dotrwał do ostatniej próby, kiedy to Pan pokazał mu człowieka i kazał złożyć pokłon swemu dziełu. I wtedy Samael się wściekł. Najpierw uznał, że to jakiś żart, ale kiedy dostrzegł, że oblicze Boga jest poważne, zbuntował się. Wrzasnął, że to niesprawiedliwe i że syn światła i ognia nie ukorzy się przed synem gliny. Potem zaś zaczął wykrzykiwać, że człowiek nie może być Koroną Stworzenia, że on sam, używając tego samego tworzywa, zrobiliby coś znacznie wspanialszego. I wtedy pewnie zrozumiał, że dotąd był ostatnim spośród następców Pana, teraz zaś może stracić i to, dlatego rzucił się na Boga, chcąc go zgładzić. Wszzechmogący oczywiście strącił go w otchłań, a jego imię uzupełniono literą M, oznaczającą śmierć i zniszczenie.

– Ale Samael nie zginął? – Loki pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu pudełeczka z wykałaczkami, jednak nigdzie go nie było. – Przeżył, to chcesz powiedzieć?

– O tym wiedzieliśmy już dawno temu. Widywaliśmy go wiele razy, narobił wiele złego z tą swoją obsesją własnej Korony Stworzenia. Ostatnim razem wymyślił, że skoro ma być ona z gliny, to musi to być budowla. Zmusił więc ludzi, by zaczęli budować wieżę sięgającą nieba. Na szczęście Rafael spostrzegł to w porę i używając tych swoich sztuczek z komunikacją, pomieszał budowniczym języki, tak że praca nie została ukończona. Od tamtej pory nikt nie słyszał o Samaelu.

– Aż do teraz. – Kłamca przyjrzał się zwęglonym resztkom aniołów, zupełnie mimowolnie myśląc o ich marnujących się piórach. Na ten widok krwawiło mu serce, ale był pewien, że Michał nawet jemu nie pozwoliłby oskubać zwłok. Podniósł wzrok i spojrzał archaniołowi prosto w twarz. – Ale ty oczywiście dasz mu radę? Walczyłeś z nim kiedyś?

Michał zawahał się. Opuścił wzrok i wierzchem lewej dłoni przejechał po zboczku miecza.

– Raz tylko – powiedział prawie szeptem po dłuższej chwili. – Wtedy właśnie, gdy w szale rzucił się na

Pana. Ale zawiodłem. Samael pochwycił mnie za skrzydła i niewiele brakowało, a cisnąłby w mroki Szeolu. Uratował mnie Wszzechmocny. A niedługo później dostałem od niego ogień, który daje moc i siłę.

Wzniósł miecz, a jego ostrze na powrót zapłonęło.

– Tak stałem się pochodnią Pana – zawołał, nie odrywając wzroku od ognia. – Kagankiem dla jego płomienia.

Kłamca pokiwał głową.

– To miło – stwierdził. – Ale chyba powinniśmy się wziąć do roboty, nie? Jeśli ta twoja Jenny wciąż żyje, to pewnie nie bawi się najlepiej. Wezwiemy Gabriela, Rafaela i jeszcze paru chłopaków i zrobimy mu z dupy...

Archanioł oderwał wzrok od głowni miecza i opuścił oręż.

– Nikogo nie wezwiemy – powiedział. – Z nas wszystkich tylko ja mam dość siły, by w tym lesie nie skończyć jak oni – głową wskazał dopalający się stos. – Co nie znaczy, że powstrzymałoby to Gabriela i resztę od prób... Na ich zgubę. Ale masz rację, na mnie już czas. Więc lepiej zostań tu i czekaj, aż cię wezwę, tak? Jeśli nie wrócę do jutra, ostrzeż resztę. Ale dopiero wtedy.

Nie czekając na odpowiedź, podfrunął do wylotu ścieżki, po czym wylądował i ruszył w głąb lasu. Leżące pnie podnosiły się przed nim, lecz opadały zaraz za jego plecami, prawie trąc o skrzydła. Nie wróżyło to najlepiej.



Jenny nie śniła, a przynajmniej nie do końca. Wciąż biegła szeroką leśną ścieżką, pod kopułą z zielonych gałęzi, w niemal całkowitym mroku. Coraz dalej za sobą zostawiała widok zmasakrowanej twarzy McCarthy'ego i eksplodującego Jeffa. Siostry Strips towarzyszyły jej nadal – cały czas w głowie dziewczyny brzmiały pełne bólu wrzaski jednej i histeryczny śmiech drugiej. Wciąż słyszała je głośno i wyraźnie.

Z drugiej jednak strony spokojnie mogłaby uznać, że śpi, bo właśnie znowu miała sześć lat i przedierała się przez ogarnięte płomieniami mieszkanie. Doskonale widziała wkomponowane między drzewami ściany, ukryte w nich drzwi czy obrazy zawieszane na krzakach. Nieważne, jak dziwnym mogło się to wydawać, las był teraz jej rodzinnym domem. Z każdą chwilą coraz bardziej.

Wiedziała, co teraz nastąpi, doskonale pamiętała tamte wydarzenia, czas, gdy mimo swych starań straciła całą rodzinę. Wtedy też poznała Michała, który stał się jej opiekunem na resztę życia. Czyli, jak przypuszczała, najwyżej na jeszcze godzinę. No, może dwie.

Ukryte za rosnącym dębem drzwi otworzyły się i wypadł zza nich ojciec Jenny. Nie szarpał się i nie wierzgał, po prostu upadł na twarz i nic sobie nie robiąc z tego, że jego piżama płonie, leżał w bezruchu.

Ona wiedziała, że to tylko złudzenie, że nie musi powtarzać tego, co już kiedyś zrobiła, a co i tak nie przyniosło żadnego skutku, tylko narobiło jej, biednemu wystraszonemu dziecku, niepotrzebnych nadziei.

Mimo to zatrzymała się, pochyliła i chwytając ojca za ramiona, pociągnęła go za sobą. Tyle że to już wcale nie był jej ojciec. Jenny odskoczyła z wrzaskiem, przyglądając się ogromnej larwie, którą jeszcze przed momentem trzymała. Wyglądała jak przerośnięta glizda i tak samo też się poruszała – powoli, skurczami całego swego oślizłego ciała. Nadal miała na sobie płonącą piżamę ojca.

Jenny podniosła się i odwróciła, chcąc uciekać dalej, stanęła jednak jak wryta.

Tuż za plecami miała teraz otwarte drzwi, za którymi widziała całą swą martwą rodzinę. Wszyscy leżeli tak samo, jak ułożyła ich kilkanaście lat temu. Był tam nawet ojciec w tej samej piżamie co larwa. Tylko że ta na ojcu już nie płonęła.

Nad rodziną unosił się anioł. Jenny w pierwszej chwili ucieszyła się, zaraz jednak jej radość zdusił strach. Bo to nie był jej opiekun. Ten wyglądał zupełnie inaczej. Przede wszystkim miał więcej skrzydeł – dwanaście, bo za każdym z sześciu, jakie widziała u Michała, u tamtego dostrzegła jeszcze jakby odbicie. Po drugie, był smuklejszy od archanioła i... piękny. Tak, był najpiękniejszą istotą, jaką Jenny kiedykolwiek widziała.

Anioł patrzył na nią przez chwilę, po czym wyciągnął rękę i uśmiechnął się szeroko.

– Witaj, Magdaleno – powiedział. I sfrunął do niej w blasku i majestacie.



Obudziła się w podwieszanej pod sufitem klatce, w ciemnej, śmierdzącej chacie. Leżała zwinięta w pozycji płodu. Miała zdrętwiałe kark i nogi, więc każdy ruch powodował paskudne mrowienie.

Oczywiście wiedziała, że aby choć marzyć o ucieczce, będzie musiała jak najszybciej wziąć się w garść, ale za nic nie była w stanie nawet ruszyć ręką. Sen budzący złe wspomnienia, a potem, po przebudzeniu, wszechobecny smród zgnilizny całkowicie odbierały jej siły i chęć walki. Poza tym znajdowała się w cholernej klatce! Co właściwie mogłaby zrobić?!

Lekko odwróciła głowę i zauważyła, że nie jest sama. Na środku pokoju stał wysoki, postawny mężczyzna. Był zwrócony do niej plecami i nie poruszał się. Mruczał coś tylko pod nosem, żadne ze słów nie docierało jednak do Jenny.

Postanowiła dać znać, że już nie śpi. Nie miała pojęcia, jaki przyniesie to skutek, ale targało nią dziwne przeświadczenie, że oprawca nie ma zamiaru jej zabić. Po coś ją w końcu zamykał w tej klatce. Szarpnęła się i rozbudziła ją.

Skrzypnęła przeciągnięta przez uchwyt gruba jak kciuk lina, zatrzeszczały stare pręty i... nic. Mężczyzna nie odwrócił się ani nie przestał mamrotać. Tak właściwie to teraz robił to nawet głośniejsze.

Jenny zamknęła oczy i w myślach kolejny raz spróbowała wezwać Michała. Znała oczywiście mnóstwo modlitw i z wielu z nich korzystała, ale gdy pojawiał się zagrożenie, pewne było tylko to jedno wezwanie... to znaczy pewne aż do dziś.

– Nic ci to nie da, Magdaleno – rozległ się głos.

Rozpoznała go, to był głos anioła z jej snu nie snu. I tak samo nazwał ją Magdaleną. Otworzyła oczy.

Anioł stał w otwartych drzwiach chaty. Skąpany w błękitnym blasku wyglądał zupełnie tak samo jak wcześniej, gdy ujrzała go po raz pierwszy. Nadal był piękny, teraz, gdy się uśmiechał, nawet piękniejszy, jednak mimo to Jenny wiedziała, że to tylko pozory dobra niewinności. Sama nie wiedziała jak, ale była w stanie przekonać samą siebie, że skrzydlaty nie może być prawdziwym aniołem. A jeśli nawet, to nie stał już po właściwej stronie. Pokręciła głową, próbując się uśmiechnąć.

– Zaszła jakaś pomyłka – powiedziała. – Nie nazywam się...

– Wiem, jakie nadano ci imię – przerwał jej anioł. Zrobił krok do przodu, a drzwi zamknęły się za nim.

– Ale wiem też dużo więcej. I tak jak grzech Adama zmyty został przez ofiarę Jezusa, tak pycha Lilith odkupiona została pokorą kobiety upadłej. Pochodzisz ze starego rodu.

– Pokora upadłej? – zapytała zdziwiona Jenny. – Mówisz o Marii Magdalenie!

– Cieszy mnie twa znajomość Pisma, Magdaleno. – Skrzydlaty najwyraźniej świetnie się bawił. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. – A tak, jest wśród matek twego rodu Maria z Magdalii, uczennica Chrystusa. Od niej, wedle obietnicy niegdyś złożonej, wszystkie miałyście mieć imię, co, jak widać, nie przetrwało nawet mamych dwudziestu stuleci. Ale tak naprawdę twój ród jest o wiele, wiele starszy. Nie tylko odkupicielka, ale i grzesznica.

– Lilith? – Jenny mocniej pochwyciła kraty. Właściwie przestała się bać, a raczej lęk ustąpił miejsca narastającemu podnieceniu. – Wywodzę się z rodu Lilith?

Znała historię pierwszej kobiety, prawdziwej matki Kaina. Michał opowiedział jej ją kiedyś ze szczegółami jako przestrożę przed rozwiązłością. Miała wtedy dwanaście lat.

– Tak – potwierdził anioł wesoło. – I powiem ci coś więcej.

Uniósł się lekko w górę, zawinął pod siebie nogi, jakby siadał po turecku, i tak zawisł.

– Dawno temu – zaczął – Bóg zaprosił mnie do siebie, by mi pokazać Koronę Stworzenia. Określił to mianem ostatniej próby. Wiele się po tym spotkaniu spodziewałem, ale okazało się, że jedyne, co zostało mi pokazane, to marny twór z gliny, początek nowego projektu Pana. Na dodatek kazano mi złożyć przed nim pokłon. Oczywiście nie zrobiłem tego, za co Bóg wygnał mnie ze swego domu. A potem odszedł, nie pozostawiając następcy. Jako że byłem kandydatem na to miejsce, uznałem, że wciąż mogę mieć jeszcze

szansę. Kluczem miała być Korona Stworzenia. Myślałem, że gdyby udało mi się ją stworzyć, wróciłbym do Nieba w glorii i chwale. Po długim namyśle uznałem boski surowiec i opracowałem projekt glinianej wieży. To jednak okazało się pomyłką. Zaszłyłem się więc w lasach, by dalej snuć rozważania. I wtedy właśnie odkryłem sekret Korony. Nie był nią człowiek jako istota. Pan po prostu ukrył Koronę w ludziach. Ziarno miało dojrzeć z czasem, a co do mnie, Bóg jedynie chciał wypróbować moją cierpliwość. Wówczas zawiodłem, ale teraz...

Ręką dotknął głowy stojącego przy nim mężczyzny i odwrócił go.

Jenny cofnęła się w głąb klatki, głośno wciągając powietrze.

To nie był prawdziwy człowiek, co zaś do mrużenia, które słyszała Jenny – w miejscu, gdzie ludzie mają twarz, tę kukłę obsiadło stado olbrzymich, tłustych much. Na glinianą głowę mężczyzny, kukły czy też upiornego totemu, naciągnięto starannie ludzką skórę. Z ust ozdobionych przyszytymi naprędcami wargami wystawały krzywo wstawione śnieżnobiałe zęby i długi, teraz całkiem już suchy język. Nos, niewątpliwie kobiecy, był lekko przekrzywiony w lewą stronę.

Równie niechlujnie zamocowano uszy, stopy i dłonie. I wszystko inne.

Anioł nie krył dumy.

– Siedemdziesiąt dwie części! – zawołał. – Tak jak siedemdziesięciu dwóch było na początku następców Pana. Prawda, że proste? Siedemdziesiąt dwa kawałki doskonałości ukryte wśród potomków najstarszych rodów tego świata. Trzeba Bogu przyznać, że był prawdziwym geniuszem.

Powoli podfrunął do klatki, wsunął dłoń między pręty i pogładził Jenny po twarzy. Nie była w stanie się sprzeciwić.

– A teraz, w okrągłą rocznicę jego odejścia, znalazłem i ściągnąłem tu ciebie, ostatni, najważniejszy element mej układanki. To też jakiś znak, prawda, moja pięknooka?

I wtedy drzwi chaty otworzyły się z hukiem.



Archanioł Michał rzadko odczuwał strach. W tych jednak nielicznych przypadkach zawsze miał w pamięci słowa Lucyfera. Ostatnie, które wypowiedział do niego jak do brata. Było to niedługo po upadku Samaela, jeszcze zanim człowiek zamieszkał w Raju. Siedzieli obaj na szczycie wzgórza i wpatrywali się w gwiazdy.

– Boję się, wiesz? – powiedział Lucyfer, a blask, od którego wywodziło się jego imię, był wyraźnie słabszy niż zwykle. – Czasem po prostu boję się jutra. W takich chwilach marzę, by w ogóle nie nadeszło.

Michał nie pamiętał swojej odpowiedzi, ale na pewno była miałka i bez znaczenia. Nigdy nie należał do dobrych mówców.

A następnego dnia Lucyfer rozpoczął swoją rewolucję.

Archanioł przystanął na moment i otarł pot z czoła. *Nie wolno ci się bać* – powtarzał sobie – *bo strach nie pochodzi od Pana i nie ku jego ścieżkom prowadzi.* A mimo to czuł lęk. Że nie zdąży albo polegnie w walce. Już teraz każdy krok sprawiał mu ból. A celu wciąż nie było widać.

Musisz zdążyć – skarcił się. – *Tam jest Jenny. Jeżeli nie dla świata, to chociaż dla niej. Ale musisz...*

Jeszcze przez chwilę stał wsparty o drzewo, po czym, zaciskając zęby, ruszył dalej przed siebie.



Nadzieja mrugnęła w sercu Jenny. Na jedną chwilę otworzyła oko, by jednak zaraz je zamknąć. Trwało to mniej więcej tyle, ile gest anioła, którym na powrót zatrzasnęła niesforne drzwi. Za nimi oczywiście nikogo nie było. Bo takie rzeczy jak przypadkowy bohater zdarzają się tylko w filmach i nie mają nic wspólnego z prawdziwym życiem.

– Na czym to stanęliśmy? – zapytał skrzydlaty.

Jenny poczuła, że nie jest w stanie się poruszyć. Całkowicie sparaliżowana widziała, jak otwierają się drzwiczki klatki, jak w dłoni anioła znikąd wyrasta coś przypominającego łyżeczkę i zbliża się do jej

twarzy.

Żelazo było lodowate albo bardzo gorące – nie potrafiła tego określić, zwłaszcza że na nowo obudzone prerażenie odbierało jej zdolność myślenia. Chciała krzyknąć, zamknąć powieki, zrobić cokolwiek, nie była jednak w stanie. Mogła tylko czekać, aż się wykona.

W jednej chwili poczuła swędzenie, gdy łyżeczka wsunęła się pod gałkę oczną, potem lekkie ukłucie, drugie silniejsze, aż w końcu po ogromnym impulsie bólu przekraczającym jej dotychczasowe doświadczenia zaczęła widzieć inaczej. Jakby zamknęło się pół świata, a reszta, która została, była jedynie odbiciem w krzywym zwierciadle.

Ocalałym, pełnym łez okiem spojrzała na anioła, który z uwagą kontemplował nową zdobycz.

Znów trzasnęły otwierające się drzwi, tym razem jednak nikt ich nie zamykał. Zwłaszcza że w sekundę później eksplodowała też cała frontowa ściana.

Jenny resztką sił próbowała osłonić twarz przed nadlatującymi drzazgami, ale nie szło jej to najlepiej. Nie była w stanie unieść ręki. Na szczęście wokół wiszącego obok klatki anioła wytworzyło się coś jakby pole siłowe, które odbijało odłamki desek na boki. Wystarczająco daleko, by omijały i ją.

W miejscu ściany stał archanioł Michał. W górze trzymał wzniesiony miecz, a trzy pary skrzydeł miał rozpostarte zgodnie z formułą. Górne dla Boga, środkowe gotowe do lotu i dolne chroniące ciało. Trzymał się prosto, ale na jego twarzy widać było wycieńczenie. Nawet płomień ogarniający jego lewy policzek wydawał się błądy.

– Samaelu, trucizno Pana, odstęp od tej niewiasty! – zawołał Michał drżącym z wysiłku głosem.

Dwunastoskrzydły skrzywił się lekko, po czym zniżył lot. Nie odrywając oczu od archanioła, odłożył łyżkę z gałką oczną na podłogę. Postąpił krok do przodu.

– Witaj, Michale – powiedział z kpina w głosie. – Miło mi, że znowu możemy się widzieć. Porozmawiajmy na zewnątrz.

Poruszył ręką, jakby coś od siebie odpychał, i nagły podmuch wyrzucił Michała daleko do tyłu. Archanioł omal nie uderzył plecami w pobliskie drzewa, ale załopotał skrzydłami i z trudem utrzymał równowagę. Wylądował, wznosząc miecz w pozycji obronnej. Ogień rozgorzał mocniej.

Samael powoli przekroczył resztki ściany i również wyszedł na okalającą dom polankę. W jego wyciągniętej ku niebu ręce słup światła formował się w oręż.

– Widzę, że dalej władasz Ogniem Pana, Michale – powiedział dwunastoskrzydły. Zamachał mieczem, który wyrósł w jego dłoni. – Zawsze byłem ciekaw, jak ci to idzie. Szkoda, że nie udało się nam spotkać wtedy przy wieży, prawda?

Archanioł milczał. Obserwował. Wiedział, że jego przeciwnik przewyższał go umiejętnościami i mocą, cały czas jednak liczył, że wydarzy się coś, co wyrówna szanse. Bo potrzebował tego zwycięstwa, a słabym pozostawały jedynie błędy silnych.

Na to jednak, by Samael popełnił błąd, wcale się nie zanosilo. Wręcz przeciwnie, jego postawa, ustawienie broni i doskonale wymierzone kroki mówiły wyraźnie, że przez te wszystkie stulecia szykował się na takie starcie. Znał swoją wartość, ale nie był na tyle pyszny, by zaprzestać samodoskonalenia. Gdyby nie to, że oszalał, byłby wzorem niebiańskiego wojownika.

Nie będziesz się bał – powtórzył sobie raz jeszcze Michał. I skoczył.

Z impetem poleciał wprost na przeciwnika, by w ostatniej niemal chwili, na ułamek sekundy, nim wszedł w jego zasięg, rozłożyć lewe skrzydła i skrócić w locie. Liczył, że zdąży przejść bokiem, choć na chwilę znaleźć się z boku Samaela i blokując mu uzbrojoną prawą rękę, zadać przynajmniej jeden cios. To byłby wspaniały początek pojedynku.

Dwunastoskrzydły nie dał mu jednak takiej szansy. W chwili gdy Michał rozłożył skrzydła, skrzywił tułów w lewo i błyskawicznie przerzucił miecz do lewej ręki. Nie miał czasu na zamach, więc wyprowadził krótki cios z przedramienia. Ostrze ze świstem przecięło powietrze.

Opadający Michał zbił atak szybką zastawą, po czym wylądował na ziemi ze dwa metry za przeciwnikiem. Przetoczył się przez ramię, ciasno osłaniając bok lewymi skrzydłami. Błyskawicznie wstał i wzbił się w powietrze.

Samael z szerokim uśmiechem uczynił to samo i po chwili obaj unosili się kilka metrów nad chatą.

Tym razem pierwszy atak należał do dwunastoskrzydłego. Anioł szarpnął się ku górze, wznosił wysoko nad Michała i wykonawszy błyskawiczny zwrot, z ogromną prędkością poleciał wprost na archanioła.

Ten ustąpił przeciwnikowi pola, licząc, że ten uderzy w ziemię. I to był błąd...

Samael w ostatniej chwili rozłożył skrzydła, łapiąc w nie powietrze, i głowa Michała znalazła się dokładnie pod gotowym do ciosu świetlistym mieczem.

Nie było czasu na parowanie ani na unik. Archanioł skrzył tułów i wystawił skrzydło jak tarczę. Syknął z bólu, gdy tamten odciął je u samej niemal odstawy. Nie miał jednak czasu na słabość. Błyskawicznie poleciał w dół. Rozpostarł skrzydła przed samą niemal ziemią. Samael pofrunął za nim.

Unosili się naprzeciw siebie. Ranny Michał, desperacko usiłujący utrzymać równowagę, i Samael wyglądający, jakby właśnie wrócił z orzeźwiającego spaceru, na którym świetnie się bawił.

Strach nie pochodzi od Pana i nie jego ścieżkami wiedzie. – Michał wiedział, że to prawda, ale poczuł też napełniające go zwątpienie. Był słaby, a ból tylko potęgował to uczucie. Nie da rady – upewniał się coraz bardziej.

Ale nie mógł zwątpić. Z wnętrza chaty słyszał ciche łkanie Jenny i wiedział, że jeśli nie podoła, to będzie dopiero początek jej cierpień.

– No dalej, świrze – wycedził, wznosząc płonąca głownię. – Spraw mi tę przyjemność.

Samael załopotał skrzydłami i jak pocisk pognął do przodu. Michał czekał ze wzniesionym mieczem.

Starcie trwało ułamki sekund, wymienili po kilka ciosów, z których każdy, gdyby doszedł, niewątpliwie zakończyłby walkę. Ostrza błyskały błękitem i czerwienią. Potem odskok, chwila na oddech i znowu atak...

Przy trzecim podejściu Michał czuł, że właściwie jest w stanie już tylko się bronić. A i to przychodziło mu z coraz większym trudem, nie wytrzymał takiego tempa, a poza tym dwunastoskrzydły był od niego drobniejszy i zwinniejszy. Niczym Dawid przy Goliacie.

Jedyne, co pozostawało archaniołowi, to zmiana stylu walki. Przy kolejnym odskoku mocniej chwycił miecz, tym razem w obie ręce. Lecząc, unosił go nad głowę. Włożył całą resztkę swych sił, by uderzyć jak najszybciej i najmocniej. I udało się. Zgodnie z jego przeczuciem, jedyne, co zdążył zrobić Samael, to unieść uzbrojoną rękę w górę, próbując bloku. Płonący miecz Michała z impetem uderzył w świetliste ostrze i... pękł. Anioł uderzony potężnym impulsem poleciał do tyłu w stronę równo ułożonego stosu drew. Ból, jaki go przepełniał, sprawił, że prawie nie poczuł dyszła drewnianego wózka, który wślizgując się w szczelinę między skrzydłami, wszedł mu głęboko w plecy. Dostrzegł go dopiero, gdy drąg przeszedł na wylot. W chwilę później tatuaż na twarzy archanioła wypalił się i zgasł.



Nadzieja Jenny umarła wraz z Michałem. A tak niewiele brakowało!

Od początku pojedynku czuła, że paraliż, jaki nią zawładnął, powoli ustępuje. Spływał stopniowo, uwalniając najpierw twarz, potem szyję, ramiona, ręce. Wiedziała, co robi, by pomóc Michałowi. Ocalałym okiem wciąż widziała szczerzącą się kukłę zwaną Koroną Stworzenia – zapewne źródło mocy Samaela. Nie mówiłby o niej tyle, gdyby było inaczej.

Wystarczyło pewnie tylko ją uszkodzić, zdrzeć obrzydliwe ludzkie szczątki, skruszyć glinę, a jej opiekun na pewno zyska przewagę. I wygra. Był w końcu cholernym aniołem Pana! Oni zawsze wygrywają.

Miecz pękł w chwili, gdy sparaliżowane pozostały tylko jej nogi. Zaraz potem zobaczyła, jak dyszel przebija pierś Michała. Krzyknęła, nie mogła się powstrzymać. I krzyk zamarł jej w gardle. Znowu nie mogła się ruszyć. Wciąż stojący do niej tyłem Samael unosił rękę i pogroził jej palcem. Była pewna, że się uśmiecha.

– Głupcze – usłyszała, jak zwraca się do Michała. – a miałem dla ciebie miejsce u mego boku. Chciałem przebaczyć ci wszystkie twe winy i pozwolić, byś trwał u boku nowego Boga. A teraz zgasa pochodnia Pana.

Odrzucił miecz i przykucnął, by podnieść leżące u jego stóp szczątki broni archanioła. Spojrzał na Jenny. Rzeczywiście uśmiechał się.

– Na pewno istnieje sposób – powiedział do niej – bym na nowo rozpałił ogień w tym mieczu. Pochodnię Pana może wszak nieść każdy, czyż nie?

Nie odpowiedziała. Nie zrobiłaby tego, nawet gdyby mogła. Za to z pewnością by się uśmiechnęła. Bo dostrzegła czerwony ognik nadziei. Płomień wokół lewego oka leżącego bezwładnie Michała znów nabierał blasku.



Ból nie był taki straszny. Michał powitał go jak starego znajomego. Z całą pewnością wolał to niż strach.

Archanioł rozejrzył się ostrożnie. Jeżeli miał kontynuować walkę, potrzebował broni. Nie przejmował się raną, nie potrzebował żyć długo, ale brak oręża poważnie komplikował sprawę. Widział co prawda, że Samael odrzuca swoją broń, ale nie miał wątpliwości, że potrzebował on raptem chwili, by stworzyć nowy miecz. W interesie Michała było więc, by tej chwili nie dostał.

Jego wzrok spoczął na szerokim pieńku, w którym tkwiła wbita siekiera. Skrzywił się, uznając, że to stanowczo za mało... i wtedy właśnie dostrzegł swój nowy oręż. Leżał obok pieńka nie wiadomo od jak dawna. Mógł nie być już sprawny, ale Michał wierzył, że znajdzie sposób, by go użyć.

Wciągając powietrze i zaciskając zęby, zaczął powoli zsuwać się z dyszla.



Broń archanioła wyraźnie intrygowała Samaela. Położył obie części na podłodze i przyglądał im się uważnie długą chwilę. Wyglądał na naprawdę zdumionego.

– Przysięgłbym – powiedział w końcu na głos – że to najzwyczajniejszy w świecie miecz. I nie ma w nim żadnej mocy.

Odwrócił się do Jenny, jakby u niej szukając odpowiedzi.

– Gdzie więc Ogień Pana?

Tuż za plecami usłyszał ciche chrząknięcie, a zaraz potem warkot piły spalinowej.

Samael odwrócił się błyskawicznie, ale nie zdążył zareagować. Płonący, rozpedzony łańcuch wdarł się w jego bok, drąc skórę jak papier i krusząc kości. Dwunastoskrzydły upadł na kolana i uniósł głowę.

Stojący nad nim Michał cofnął się o krok i poprawił ręce na uchwycie piły. Jego twarz płonęła. Cała.

– Witaj w dwudziestym wieku – wycedził – numerze siedemdziesiąt dwa.

I piła wgrzyzła się w szyję Samaela.



Nad ranem Loki poczuł, że ma już dość czekania. Nie uważał się za bohatera i nie spieszo mu było do walki, ale nienawidził bezczynności. Poza tym, co nawet przed sobą przyznawał niechętnie, trochę się niepokoił. Nie o Michała, los skrzydlatych był mu całkowicie obojętny. Myślał raczej, co będzie z nim, gdy archanioł nie podoła.

Jeśli nie przesadził, opisując tego Samaela, to mogłoby być wówczas naprawdę nieciekawie – pomyślał.

Przykucnął i zabrał się do rozpisywania najlepszego zaklęcia ochronnego, jakie znał. Wątpił, by przydało mu się w lesie, ale lepsze to niż nic.

I w tym właśnie momencie spomiędzy drzew wyszła Jenny. Kłamca w pierwszej chwili odskoczył, sięgając po pistolet, zaraz jednak rozpoznał wychowankę Michała. Co z całą pewnością nie było łatwe.

Szła zgięta w pół, chwiejąc się i zataczając na boki. Włosy miała rozczochrane, ubranie całe w krwi, a twarz wykrzywioną bólem i strachem. Gdy uniosła głowę, Loki zauważył, że brak jej jednego oka.

– Pomóż! – Głos, jaki wydobył się z jej suchego gardła, przypominał charczenie pijaka.

Mimo to zrozumiał. Rzucił się w jej stronę i dobiegł w samą porę, by uchronić dziewczynę przed upadkiem. Obrócił ją ostrożnie i położył na ziemi. Następnie przyklęknął, by złożyć sobie głowę Jenny na

kolanach.

– Co z Michałem? – zapytał.

Wciągnęła powietrze głośno i łapczywie, jakby to miał być jej ostatni oddech.

– Żyje... ale ranny... potrzebna pomoc. – Z ust dziewczyny ciekła cieniutka strużka krwi.

Być może to właśnie ten czerwony strumyczek, a może promienie wschodzącego słońca padające na twarz i włosy rannej sprawiły, że naraz wydała się Lokiemu łudzaco podobna do Sygin.

Przypomniawszy sobie tę chwilę, gdy widział żonę żywą po raz ostatni. Błądą, o włosach mokrych od potu, ale szczęśliwą.

Uratowałam cię – powiedziała wówczas. I niech go demony, jeśli nie miała racji...

Kłamca zamrugał gwałtownie i wrażenie minęło. Ale gdzieś w głębi serca pamięć o nim została.

– Zabiorę cię do szpitala, ślicznotko – powiedział, podnosząc Jenny na ręce i ruszając z nią w stronę drogi. – A potem pomożemy naszemu skrzydlatemu twardzielowi.

Iowa City, USA miesiąc później

Loki sam się sobie dziwił, że potrafi być tak cierpliwy. Sący już trzecie piwo, a popielniczka pełna była przeżutych wykałaczek. Pewnie nawet zaczęłyby się denerwować, jednak Jenny zapewniła go, że wszystko jest w porządku, a poza tym miała przecież aż dwóch stróżów. Nawet trzech, jeśli wliczać Kłamcę.

Na początku, gdy odwiedzał dziewczynę w szpitalu, usiłował koniecznie dojrzeć w niej to ukryte podobieństwo do Sygin. I za każdym razem utwierdzał się w przekonaniu, że było ono tylko złudzeniem. Przestał więc patrzeć na Jenny jak na wcielenie zmarłej żony, a zaczął zwracać uwagę na jej urodę, zachowania i gesty. I podopieczna Michała podobała mu się coraz bardziej.

W końcu przyszła. Ubrana była w zwiewną białą sukienkę sięgającą pół uda. Dodatki, pasek i torebkę, miała czarne, by dopasowywały się do *pirackiej* opaski, którą osłoniła pusty oczodół. Nie chciała przystać na żaden inny sposób zamaskowania ułomności. Ten wydawał jej się zabawny.

Loki zamachał do niej.

– Spóźniłaś się – powiedział, wstając, gdy podeszła do stolika.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– A podobno jesteś cierpliwy.

Podsunał jej krzesło i sam usiadł naprzeciwko.

– Tak – odparł. – Ale tylko, gdy nad głową wisi mi wielki wąż.

Zawołał kelnera, żeby Jenny mogła zamówić coś dla siebie. Sam poprosił o kolejne piwo.

– Po co chciałeś się spotkać? – zapytała.

– Bo nie widzieliśmy się całe dwa dni i strasznie się stęskniłem – rzucił wesoło. To miało zabrzmieć jak żart i udało się. Był w końcu prawdziwym Kłamcą. – Ciekaw też jestem, co u Michała i czy masz jakieś wieści o tamtej sprawie. No i dlatego, że mam dla ciebie to.

Wyciągnął z kieszeni małe pudełeczko. Podał jej przez stół.

– Nie wiem, co z Michałem – powiedziała, biorąc się za rozpakowywanie. – Jest pod opieką Rafaela. A z tą Koroną Stworzenia to się okazało, że Samael sam to sobie wymyślił i ta kukła nie miała żadnej mocy, podobnie jak kiedyś ta jego wie... o mój Boże!

Loki uśmiechnął się szeroko. Dokładnie takiej reakcji oczekiwał.

– Możesz mi mówić Loki – powiedział wesoło. – I nie gap się tak, to tylko oko. Wiem, że kolor nie ten, a na dodatek należało do mężczyzny, ale za to z całą pewnością działa. Jak chcesz, jest twoje.

Jenny sięgnęła do pudełka, zaraz jednak cofnęła rękę.

– Co znaczy: jeśli chcę? – zapytała. – Nie rozumiem.

– To znaczy, że powinnaś iść do łazienki i je przymierzyć – wyjaśnił Kłamca. – Stary Odyn raczej nie

będzie miał nic przeciwko. Już i tak go nie używa.

Dziewczyna wahała się przez chwilę, patrząc to na oko, to znów na Lokiego. Ale coraz bardziej pewna, że to nie był jeden z jego żartów, postanowiła zaryzykować. Wstała, zabierając ze sobą pudełko.

Gdy wróciła, nie miała już opaski. Nie wyglądała na kogoś, kto kiedykolwiek musiał ją nosić. Nowe oko patrzyło, zwężało źrenicę przy świetle, tyle że było jasnozielone.

– Jak chcesz, to mogę sprawić, by wyglądało na niebieskie, jak drugie – zaproponował Loki.

Pokręciła głową.

– Później pewnie tak, ale jeszcze nie teraz. Tak jest zabawniej.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Twarz Lokiego rozjaśnił uśmiech. Dzień zaczynał się całkiem nieźle.



Przez dłuższą chwilę Kłamca wbijał spojrzenie w drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Jenny. Nie przestawał się uśmiechać.

– Co ci się wydaje, że robisz, Loki? – usłyszał za sobą znajomy głos. Odwrócił głowę.

Archanioł Michał siedział na murku i nie wyglądał na szczególnie zadowolonego.

– Witam dzielnego obrońcę świata – pozdrowił go Kłamca. – Widzę, że przymocowali ci jakoś to skrzydło. Ale raczej nie dasz już rady nim ruszać, nie?

– Zapytałem o coś! – Michał zeskoczył z murku. Rzeczywiście, lewe skrzydło najwyższej pary nie poruszyło się.

– Słyszałem, ale nie za bardzo wiem, co ci odpowiedzieć. – Loki wzruszył ramionami. – Że to samo, tak? Brzmi trochę banalnie.

– Wcale mi się to nie podoba, wiesz?

Kłamca westchnął ciężko i sięgnął do kieszeni.

– Pamiętasz, jak wtedy w jaskini powiedziałem ci, że nigdy z tobą nie zadnę?

Michał skinął głową.

Loki wyciągnął pudełeczko wykałaczek. Włożył jedną do ust.

– Cóż, tym razem chyba zaryzykuję.

Odległość Anioła

Nowy Jork
czwarta nad ranem

Maleńki Polaczek bawi się kamieniem – Roztrzaskaj mu główkę, zmniejszysz przeludnienie.



*Raz, dwa, trzy,
Dziś orzełka dusisz ty.*



Eddie Cegła uśmiechnął się i kolejny raz zaciągnął papierosem. Nie wiedzieć czemu ten wierszyk zawsze poprawiał mu humor.

Prywatnie nie miał nic do Polaków, a przynajmniej mniej niż do innych nacji zamieszkujących Nowy Jork. Nie rzucali się w oczy jak ci cholerni Ruscy i nie rządźli jak pieprzeni. wyspiarze. No i oczywiście nie wpychali każdemu swojego psiego żarcia, co było w zwyczaju wszystkich żółtków.

Wciąż jednak pozostawali imigrantami, największym złem, jakie – zdaniem ojca Eddiego – spotkało Amerykę. Dlatego też Cegła nie miał żadnych skrupułów, by kpić sobie z nich na każdym kroku.

*Maleńki Polaczek znalazł gdzieś deseczkę -
Przyłóż mu nią w główkę i wepchnij go w beczkę.*

*Raz, dwa, trzy,
I orzełka topisz ty.*

Z zewnątrz dobiegł stłumiony odgłos silnika. Eddie rzucił papierosa na ziemię i przydeptał. Rozejrzał się po hali.

Ktoś powiedział mu kiedyś, że to straszna dziecinada takie prowadzenie interesów w dokach, do tego nad ranem, zanim jeszcze wzejdzie słońce. Cegła pokiwał wtedy głową, mówiąc, że za dużo widział w życiu gangsterskich filmów i teraz nie może się powstrzymać.

Prawdziwy powód był jednak inny. W portowych dokach, zupełnie jak w głębokim kosmosie, nikt nie usłyszy twojego krzyku. Ani serii z karabinu.

Chłopcy byli już w pełnej gotowości. Znakomicie zamaskowani na dachach kontenerów i w innych zacienionych miejscach mierzyli w stronę głównego wejścia, gdzie lada chwila miał pojawić się klient. Eddie był z nich dumny. To właśnie nazywał pełnym profesjonalizmem. Podniósł z ziemi nesesor i powoli ruszył w stronę rozkładanego stoliczka. Ustawił go osobiście dziesięć minut wcześniej, pilnując, by znajdował się mniej więcej w połowie drogi między kontenerami a wejściem. Liczyło się też, by oświetlał go wpadający przez okna blask księżyca.

Miejsce transakcji winno wzbudzać zaufanie.

Drzwi otworzyły się i na teren hali wkroczyło dwóch ludzi. Pierwszy, szczupły, wysoki blondyn w prążkowanym garniturze i z kremową fedorą na głowie, szedł pewnym krokiem, ściskając w ręku nesesor niemal identyczny jak Eddiego. Tego Cegła miał okazję już poznać.

Nazywał się Smith i wyglądał jak ucieleśnienie Amerykanina. Nawet bliznę miał jak sam wielki Capone, na pół policzka. To z nim umawiał się na transakcję.

Drugi gość, ubrany w za duży płaszcz, szedł skulony, drobiąc kroki, jakby dopiero co zdjęto mu z nóg łańcuchy. Trudno było powiedzieć o nim cokolwiek więcej, bo wyraźnie trzymał się w cieniu blondyna.

Eddie odczekał, aż przybysze wejdą w pole światła, po czym skinął głową.

– Miałeś być sam – powiedział do blondyna, kładąc na stole neseser. Mówił spokojnie, bez nagany w głosie. Nie chciał w końcu wystraszyć kupca. Poza tym sam też złamał warunki umowy.

– To biegły – odparł Smith. – Nie znam się na takim towarze, a tobie nie ufam.

Skulona postać wychynęła zza niego, łypiąc na Eddiego ciemnymi oczyma. Facet był przeraźliwie chudy, a skóra sprawiała wrażenie jakby o numer za małej. Łysina i podkrążone oczy potęgowały jeszcze to wrażenie.

Cegła wzruszył ramionami.

– Niech ci będzie, Smith. Masz pieniądze?

Blondyn położył neseser na stoliku obok walizeczki Cegły i otworzył go. Pokazał zawartość, równo ułożone stosiki studolarowych banknotów.

– Milion w używanych, zgodnie z umową – mówiąc to, powoli sięgnął do kieszeni marynarki. Wydobył z niej paczkę wykałaczek. Jedną włożył do ust. – Teraz chyba twoja kolej, czyż nie?

Eddie uśmiechnął się i otworzył przyniesioną aktówkę. Odwrócił ją, tak by klienci mogli zobaczyć zawartość.

W środku na czerwonej aksamitnej szmatce leżał... palec. Sądząc po długości, serdeczny. Z całą pewnością męski.

– Najprawdziwsza relikwia świętego Antoniego z Padwy. Osobie wierzącej umożliwia odnalezienie dowolnego zagubionego przedmiotu, a oprócz tego dar języków i bilokację... znaczy przebywanie w kilku miejscach naraz. Tak naprawdę nie umie tylko uzdrawiać, ale właściwie po co to komu? Masz chyba ubezpieczenie, co, Smith?

Chudy mężczyzna podszedł do nesesera, spojrzął na palec i pokiwał głową.

– Prawdziwy – stwierdził.

Blondyn tylko skinął głową, ale Cegła nie krył zdumienia.

– Potrafisz to stwierdzić, tylko na niego patrząc? – nie dowierzał. – Moi ludzie przez tydzień badali jego autentyczność, sprawdzając źródła i...

Ekspert Smitha wzruszył ramionami.

– Potrafię chyba rozpoznać własny palec, prawda? – Na dowód podniósł lewą rękę, gdzie rzeczywiście brakowało serdecznego palca.

Eddie głęboko wciągnął powietrze i przeniósł wzrok na blondyna. Ten uśmiechnął się tryumfalnie i wypluł wykałaczkę. Niemal w tym samym momencie w jego rękach pojawiły się ogromne pistolety. Cegła mógłby przysiąc, że tamten znikąd ich nie dobył, ale to przecież byłoby niedorzeczne. Poza tym nikt nie mógł być aż tak szybki.

– Na ziemię, Tony – wrzasnął Smith do chudzielca, po czym strzelił gdzieś ponad głową Eddiego. O ile Cegła dobrze pamiętał, dokładnie w miejsce kryjówki Steve'a Hopkinsa. Ułamek sekundy później drugi pistolet plunął w kierunku przyczajonego na ramieniu dźwigu Mała Rococo. Kolejne dwa strzały (celne, co do tego Eddie nie miał najmniejszej wątpliwości – w końcu żaden z jego ludzi nie zdążył odpowiedzieć ogniem) zdjęły z posterunku Jima Stonkę i Poplutego Willa. Następny Toma *Big Mumma* Sellersa, ostatniego z kumpli Cegły. Wszystko w ciągu kilku sekund, jakie dało blondynowi zaskoczenie. Sukinsyn dobrze to sobie wyliczył!

Ale o jednym z całą pewnością nie pomyślał – przemknęło Eddiemu przez głowę. Jego prawa ręka powędrowała w stronę paska, za którym miał ukrytą trzydziestkę ósemkę. Pistolet małeńki, ale na taką odległość zabójczy jak wszystkie inne. A blondyn z całą pewnością nie spodziewa się, że Cegła będzie miał przy sobie spluwę. W końcu wszyscy na mieście wiedzieli, że brzydzi się bronią. Długo pracował nad tą plotką.

Już prawie wyciągnął rewolwer, gdy nagle Smith odwrócił się i spojrzął wprost na niego. A potem wypalił równocześnie z obu swych wielkich jak armaty gnatów.

Eddie poczuł, jakby ktoś uderzył go w pierś potężnym młotem... A potem nie czuł już nic.



– Jericho. – Zielonowłosy anioł w dżinsowej kurtce i różowej koszulce z logo Aerosmith nie krył zachwyty, przyglądając się pistoletom Kłamcy. – Najładniejsza ze wszystkich izraelskich armat. I do tego o tak symbolicznej nazwie. Masz gust, facet, nie ma co...

Loki wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od świętego Antoniego. Patron rzeczy zagubionych stał teraz owinięty w koc w towarzystwie dwóch aniołów i trząsał się z nerwów. Z całą pewnością nie tego oczekiwał po życiu wiecznym.

Inni aniołowie sprawdzali ciała, upewniając się, czy zabici na pewno byli ludźmi. Pojawili się za późno, by widzieć ulatujące dusze, i teraz wszystko musieli zbadać.

– *Skoro tylko usłyszał lud dźwięk trąb, wzniósł gromki okrzyk wojenny i mury rozpadły się na miejscu* – wyrecytował zielonowłosy, mierząc do kontenera. – Pewnie mocno kopie, nie?

Kłamca potwierdził skinieniem głowy. Chciał nawet odpowiedzieć, ale zauważył nagle poruszenie wśród aniołów. Tylko jedna osoba tak na nich działała – wódz zastępów, pierwszy miecz wśród skrzydlatych. Archanioł Michał... który wisiał teraz Lokiemu kilka piórek.

– Jak się ma nasz pogromca demonów i postrach istot z piekielnej otchłani? – zawołał wesoło Kłamca, gdy ten, ubrany nietypowo dla siebie, w dżinsy i czarną kurtkę z kapturem, był już w zasięgu wzroku.

Archanioł rozejrzał się po hali.

– To twoja sprawa? – zapytał. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Tatuaz wokół oka ledwo się żarzył.

– Ależ skąd! – Loki uniósł ręce w obronnym geście. – To wszystko ten twój święty. Wyrwał mi spluwy i dalej używać. W ogóle nie ruszał go odrzut, pruł jak z wiatrówek. Nic dziwnego, że teraz tak mu się łapy trzęsą...

– Nie przeginaj! – Michał ostro przerwał jego wyjaśnienia. – Mam tylko nadzieję, że zanim dokonałeś tej masakry, dowiedziałeś się czegoś na temat człowieka, który stoi za całym tym haniebnym procederem.

– Chodzi ci o wycinanie kawałków świętoszkom? Jasne, że się dowiedziałem. Facet nazywał się Eddie Stanbrock i leży o tam.

Kłamca wskazał ręką ciało Cegły rozciągnięte nieopodal stolika z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy.

– Według wszystkich moich źródeł...

– Przepraszam, że się wtrącam, ale widać twoje źródła nie były dość dobre – odezwał się nagle zielonowłosy anioł. Nie trzymał już w ręku pistoletu, a skrzącą fascynację w jego oczach wyparł chłód profesjonalizmu. – Bo to nie Stanbrock był szefem. Właściwie... to zwykła płotka.

Loki uniósł brwi i nie odrywając oczu od twarzy Michała, wskazał na zielonowłosego.

– A ten to kto?

– Nazywam się Jefferson, panie Loki – powiedział anioł. – I jestem stróżem tej dzielnicy. Tak się składa, że mam pewne informacje na temat tej sprawy.



Jefferson mówił długo i często gubił się w dygresjach, niemniej Loki zdołał zrozumieć, że odkąd handlarze zaczęli działać w tej okolicy, anioł prowadzi śledztwo na własną rękę i ma nawet całkiem spore rezultaty. Ustalił podobno, że szef gangu jest z całą pewnością człowiekiem. W tym punkcie obaj z Kłamcą byli zgodni – istoty mityczne bały się bowiem świętych, a demony piekielne nie miały wolnej woli. Poza tym sam pomysł, by dorabiać na relikwiach z innego kultu, żadnemu z upadłych bogów nie przyszedłby do głowy. Fakt, niby prawnicy potrafią tego samego gościa najpierw wybronić, a potem wsadzić, bo – dajmy na to – firma ubezpieczeniowa podwoi im stawkę. Dziennikarze też potrafią najpierw kogoś opluć, a potem wypromować na człowieka roku – żaden problem, gdy zaproponuje się wydawcy wykupienie cyklu płatnych artykułów na trzecią stronę. Ale to są ludzie, a ludzie przecież na ogół w nic nie wierzą. Bogowie zaś muszą wierzyć – choćby w samych siebie...

Pierwszą nowinką Jeffersona był natomiast fakt, że ów tajemniczy boss ma i ludzi, i demony na swoich usługach. To tłumaczyło, dlaczego potencjalni świadkowie zmieniali się nagle w kałuże parującej krwi albo

rozpoznawano ich po zębach znajdujących pojedynczo w domach czy bramach. Było też odpowiedzią na pytanie, czemu sprawą nie interesuje się prasa i jak banda odnajduje samotnie i miejsca spoczynku świętych. Zwykły człowiek, którego wiara z założenia jest zbyt słaba, by poruszać się po zaświatach, nie dałby sobie z tym rady.

Na koniec anioł powiedział, że takich ludzi jak Eddie jest co najmniej pięćdziesięciu, a każdy sprawia wrażenie, jakby pracował na własną rękę. I to zdaniem zielonowłosego tłumaczyło pomyłkę Kłamcy.

– To naprawdę sprawna organizacja, a fakt, że przewodzi jej człowiek, czyni ją nieprzewidywalną. Istoty obdarzone wolną wolą zachowują się mniej schematycznie.

– Czy masz już może jakieś podejrzenia co do ich szefa? – Michał wpatrywał się w niego w skupieniu.
– Czy wiesz już, kim jest? I czym się zajmuje?

Jefferson pokręcił głową.

– Niestety, panie – odparł. – Mam co prawda trochę podejrzeń, ale...

– Świetnie – przerwał mu archanioł. – Zatem przekażesz wszystko, co wiesz, Lokiemu, a on doprowadzi tę sprawę do szybkiego końca.

Gdzieś z oddali dobiegł ich dźwięk policyjnych syren, co świadczyło, że ktoś jednak usłyszał strzały w dokach i doniósł komu trzeba. Lada chwila dołączy do nich cała masa glin.

Michał odwrócił się i krzyknął kilka słów po aramejsku. Aniołowie pospiesznie opuścili halę.

Tylko Jefferson pozostał na swoim miejscu.

– Ale... – zaczął niepewnie, zaraz jednak odchrząknął i dodał już mocniej: – Ale przecież mogę spokojnie doprowadzić tę sprawę do końca i wtedy go wezwać. Zaczy gdy sprawa mieć się będzie ku końcowi.

– Ma rację – przyznał Kłamca. – To jego sprawa. Do tej pory szło mu lepiej, więc szkoda to teraz kopać. A mnie przyda się odpoczynek.

Podniósł pistolety ze stoliczka i schował je do kabur. Zerknął w stronę pustego nesesera, z którego święty zabrał swój palec, po czym stworzył w jego miejsce dwa kilogramowe woreczki heroiny. Oba oczywiście, jak przystało na drobną iluzję, w którą nie włożył specjalnego wysiłku, powinny zniknąć w ciągu godziny, powodując niemałe zamieszanie i całą masę kłopotów transportującym je policjantom. Ale Lokiego niewiele to obchodziło. Od czasu swej teksaskiej przygody, gdy pewien szeryf usiłował zrobić z niego kozła ofiarnego, jakoś zraził się do stróżów porządku.

Michał przyglądał się tym czynnościom w milczeniu, po czym sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl z niej kopertę. W środku były śnieżnobiałe pióra, sześć sztuk. Archanioł rzucił je na stół.

– Jeśli zajmiesz się tą sprawą i zamkniesz ją do północy pojutrze, podwoję twoją stawkę – powiedział.

Kłamca, który właśnie przykucał, by sprawdzić zawartość kieszeni Eddiego, wstał i obrócił się powoli.

– Co ty właściwie kombinujesz, wodzu? – zapytał, mrużąc oczy. – Gdzie w tym wszystkim jest cholerny haczyk?

Jefferson przyglądał się w milczeniu, przenosząc wzrok z Kłamcy na Michała i z powrotem. W końcu skapitulował.

– Jeśli mogę, poczekam na was na zewnątrz – rzucił, wzlatując w powietrze. – Tu robi się dla mnie trochę za gorąco.

Nikt mu nie odpowiedział, więc załopotał skrzydłami i pofrunął w stronę wyjścia.

– O co ci właściwie chodzi? – powtórzył swe pytanie Loki. – Wiesz dobrze, że on poradzi sobie lepiej z tą sprawą. Zna to środowisko, a poza tym jest bystry. Rozwiąże zagadkę, a potem ja wpadam i kończyny spoczywających w pokoju świętych znowu będą bezpieczne. Tak będzie szybciej i...

– Jenny zaprasza nas obu na kolację jutro wieczorem. – Widać było, że wypowiedzenie tych słów sprawia archaniołowi prawdziwą trudność. – Powiedziała, że zależy jej bardzo na nas obu i chciałaby, abyśmy znaleźli w końcu wspólny język.

– Pewnie zrobi lasagne, a na deser upiecze szarlotkę. – Kłamca westchnął ciężko. – Ostatnio znalazła gdzieś niezły przepis, a poza tym...

– Potrójna stawka – wycedził Michał.

– Chcesz, żebym przez tę robotę spóźnił się na kolację, tak? – upewnił się Loki. – Żeby była na mnie

wściekła? Myślisz, że dla paru głupich piór zaryzykuję spóźnienie na kolację do dziewczyny, wiedząc, jak bardzo jej na tym zależy?

– Poczwórna.

Na zewnątrz z piskiem hamowały kolejne samochody. Syreny milkły jedna po drugiej i lada chwila należało się spodziewać w środku oddziału policji.

Kłamca pstryknął palcami i powoli zaczął się rozmywać.

– Umowa stoi, archaniele – powiedział, gdy zostały po nim same usta. – I możesz być pewien, że zdążę na tę kolację.

A potem niczym w „Alicji z krainy czarów” pozostał tylko uśmiech.



Jenny nie umiała gwizdać. To oczywiście w niczym jej nie przeszkadzało. Była w końcu w swoim domu i nikt, absolutnie nikt nie miał prawa jej niczego zabronić. A że od niedawna gwizdanie sprawiało dziewczynie przyjemność, kiedy tylko mogła, wykonywała swoje ulubione kawałki w wersji *na czajnikowy gwizdek*.

Tak też było i tego wieczoru, gdy katując *Lilly was here*, przygotowywała sobie kolację. Dwie kanapki z sałatą i plasterkami pieczeni z indyka, do tego szklanka soku pomarańczowego. Coś, co Loki zwykł nazywać pogardliwie *wkurwianiem żołądka*. Jej taki posiłek spokojnie wystarczał.

Coś cicho zachrobotało w szybę. Jenny podeszła do okna i uniosła żaluzję. Za oknem wznosił się Michał. Pospiesznie otworzyła.

– I co? – zapytała. – Powiedziałeś mi?

Archanioł skinął głową. Na jego pobrużdżonej, pełnej blizn twarzy malował się tajemniczy uśmiech. Dziewczyna zaczęła nabierać podejrzeń.

– I co odpowiedział?

Michał zamachał środkową parą skrzydeł.

– Powiedział, że zdąży.

– Naprawdę tak powiedział? – Jenny wiedziała, że archanioł nie może skłamać, ale jego tajemniczy grymas mocno ją zaniepokoił.

– Dokładnie tak – potwierdził Michał zaskakująco wesoło. – A co ważniejsze, naprawdę głęboko w to wierzy.



– Nigdy nie słyszałem o aniołach dzielnic – powiedział Loki, kopiąc leżącą na ulicy puszkę po coli.

Jakaś kobiecina w brązowym płaszczu i fryzurze bohaterki „Dynastii” posłała mu oburzone spojrzenie. Jefferson wrzucił ramionami.

– Właściwie to nie ma takiej funkcji – wyjaśnił. – Sam stworzyłem sobie miejsce pracy, jak to w Ameryce. – Zaśmiał się krótko i wyciągnął przed siebie ręce. – Przyjrzyj się temu wszystkiemu. Odrapane domy, śmierdzące moczem bramy, kartony zamiast szyb w opuszczonych sklepach i przestępczość sięgająca osiemdziesięciu procent. Jak myślisz, ilu z mieszkańców tych okolic zasłużyło, zdaniem Zwierzchności, na swojego stróża?

Loki nie odpowiedział. Jego wzrok przyciągnęła dwójka dzieci bawiących się truchłem kota. Starsze z nich, pyzata, ruda dziewczynka, zarzuciła sobie ścierwo na ramiona i zaczęła przechadzać się wzdłuż rynsztoka niczym modelka na wybiegu. Towarzysz jej zabawy, krępy chłopczyk w postrzępionych dżinsach, dreptał za nią, prosząc, by oddała Fritza, bo musi mu zrobić operację.

Jefferson, nie doczekawszy się odpowiedzi, postanowił dokończyć:

– Podpowiem ci: jeden. Tylko i wyłącznie jeden. Nazywa się Samuel Winter i ma osiemdziesiąt cztery lata. Tak naprawdę to jego właśnie mam pod opieką.

Loki wy dobył z kieszeni wykałaczkę.

– Rozumiem jednak, że z nudów bierzesz nadgodziny.

– Można tak powiedzieć – zgodził się Jefferson, po czym parsknął śmiechem. – Wiesz, do tej pory myślałem, że po prostu jest we mnie odrobina ludzkiego współczucia... ale chyba masz rację, to przede wszystkim nudy. W gruncie rzeczy pilnowanie, by cała ta banda nie powybijała się nawzajem, to nie lada wyzwanie...

Jesteśmy na miejscu. – Głową wskazał budynek po przeciwnej stronie ulicy. Napis na brudnej szybie wystawowej głosił: ZAKŁAD FRYZJERSKI >>LUIGI<<. – On po winien nam pomóc. Pojawił się na dzielnicy niedawno, ale wie o wszystkim, co się tu dzieje, chyba lepiej niż ja. W obu światach, a zwłaszcza w tym drugim, naszym.

– Jasne. – Loki skinął głową. – A co do twoich podopiecznych, to zastanawia mnie jedno: czy przy takiej ich liczbie zawsze udaje ci się zdążyć na czas?

– Zazwyczaj. Sekret tkwi, by zawsze być w odpowiedniej odległości od tego, który właśnie cię potrzebuje. Nazywają to odległością anioła.

– Cholernie oryginalnie! – parsknął Kłamca. Wypluł przezutą wykałaczkę i brodą wskazał zakład fryzjerski. – Dobra, nawijaj, co to za jeden...



Zgodnie z tym, co powiedział Kłamcy Jefferson, fryzjer Luigi był w rzeczywistości filistyńskim demonem, który wślawił się namówieniem Dalili, aby obcięła włosy Samsonowi.

Jak widać – pomyślał Loki – *wieki mijają, ale zainteresowania pozostają takie same.*

Firma radziła sobie całkiem nieźle, ponieważ Luigi oprócz ludzi obsługiwał także pragnące zmiany wizerunku anioły. Co prawda nie brał od nich pieniędzy, ale za to starannie zbierał ich włosy, by potem sprzedawać je hurtowniom jako ozdobę na świąteczne choinki. I jakoś szło. Interes się kręcił.

W środku po prawej stało kilka połączonych ze sobą krzeseł, obok wieszak i maleńki koszyk pełen gazet. Na przeciwnej ścianie znajdowało się ogromne lustro, pod którym umieszczono długi blat. Leżały na nim brzytwy, nożyczki, grzebienie i wszystko, co tylko potrzebne jest fryzjerowi. Najwięcej miejsca zajmowały dwa ogromne obrotowe fotele na kółkach, z ruchomymi zagłówkami i podstawkami pod nogi. Z całą pewnością pamiętały obie wojny, mimo to były świetnie zachowane.

Sam Luigi mógł mieć nie więcej jak metr siedemdziesiąt wzrostu, kilka kilogramów nadwagi i stanowczo za wysokie czoło. Loki dostrzegł też, że wyraźnie utyka na lewą nogę. Dwudziesty pierwszy wiek najwidoczniej mu nie służył.

Gdy tylko przekroczyli próg zakładu, fryzjer poderwał się z fotela, w którym siedział, czekając na klientów.

– Witam, witam szanownego Jeffersona – powiedział przymilnie. – Cóż to za nowa koncepcja fryzury skłoniła pana, by...

– To jest Loki. – Anioł wskazał na Kłamcę. – Ma do ciebie sprawę.

Uśmiech na twarzy Luigiego zniknął na moment, by za chwilę znowu się pojawić.

– Oczywiście, słucham uważnie.

Loki pokręcił głową z dezaprobatą. Tak naprawdę nie liczył, że usłyszy coś ważnego od fryzjera. Tacy jak on zawsze robią tajemnicze miny, a potem okazuje się, że o sprawie wiedzą tyle, co wyczytali w gazetach. I jak zwykle trzeba będzie szukać wszystkiego na własną rękę. Zajmie to mnóstwo czasu i nawet jeśli upora się ze sprawą, to za nic nie zdąży się przygotować do kolacji.

Michał postawi na swoim. – Kłamca westchnął ciężko. – *Jak nic! Choć z drugiej strony...*

Podszedł do fotela, usiadł, odchylił głowę i zamknął oczy.

– Ogól mnie – zażądał. – Mówić możesz w międzyczasie. Jefferson, ty pytaj!



– Naprawdę nie musisz mi pomagać – po raz kolejny zapewniła Jenny. – Umiem przygotować lasagne.

Michał, który właśnie po raz pierwszy w życiu miał szatkować cebulę, wbił nóż w deskę, odwrócił się i spojrzał na dziewczynę.

– Wiem – powiedział. – Myślę jednak, że powinnaś wiedzieć, że ktoś się o ciebie troszczy. I zawsze jest gotów ci pomóc.

Jenny zdjęła rondel z gazu i przeszła na drugi koniec kuchni, by wyciągnąć z lodówki pomidory. Przechodząc koło archanioła, zatrzymała się, wspięła na palce i pocałowała go w policzek.

– Wiem o tym i pamiętam – szepnęła. – Nie musisz stale mi tego udowadniać.

– Ale nie chcę, żebyś czuła się samotna... – Michał mówił powoli, starannie dobierając słowa. Nie za dobrze radził sobie w takich kwestiach. W jego ręku to miecz górował nad piórem. – Myślę, że powinnaś...

– Nie jestem samotna – Jenny weszła mu w zdanie. – Od przeszło roku jestem z Lokim. Co z tą cebulą?

Poczuła na twarzy chłodny powiew, gdy archanioł odwrócił się błyskawicznie w stronę blatu, a potem, z dźwiękiem przypominającym serię karabinu maszynowego, w mgnieniu oka cała cebula została posiekana w drobną kosteczkę.

– Nie zauważyłem, żeby jakoś szczególnie się tobą zajmował. Stale go nie ma.

– Pracuje. – Dziewczyna zabrała archaniołowi cebulę, a w zamian postawiła deseczkę z czterema dorodnymi pomidorami. – I myślę...to też drobno... że jako pracodawca powinieś się cieszyć, że jest taki obowiązkowy. A swoją drogą to ktoś powinien mi w końcu wyjaśnić, o co chodzi z tymi cholernymi piórami.

Archanioł Michał pokręcił głową, po czym wznosił nóż. Kilka razy zakręcił nim między palcami.

– Kiedyś to zrobię – powiedział, krzywiąc się w uśmiechu.



Brzytwa sunęła gładko po starannie namydlonym gardle Kłamcy. Ruchy Luigiego były pewne i szybkie, co budziło podziw tym większy, że całej operacji dokonywał z pistoletem wielkości armaty dociśniętym do krocza. Loki nazywał to zasadą ograniczonego zaufania.

Zgodnie z oczekiwaniami Kłamcy, demon-fryzjer rzeczywiście niewiele wiedział. Na szczęście jednak nie starał się tego maskować i prosto z mostu wyznał, że jedyne, co ma, to kilka plotek, jakimi uraczyli go stali bywalcy. Nic wielkiego i ani jednej rzeczy, o której Loki nie słyszałby już wcześniej.

– Więc mówisz, że jak nazywałeś się w swoich, powiedzmy, lepszych czasach? – zapytał Kłamca, zmieniając w końcu temat.

– Astaroth – odparł Luigi, wycierając brzytwę w wiszący mu na ramieniu ręcznik. – Jestem... byłem filistyńskim demonem pożądania. Wiesz, Samson i Dalila, te sprawy.

– Sprawę znam, ale o tobie nigdy nie słyszałem – przyznał się Loki. – Jakież inne osiągnięcia?

– Niestety. – Fryzjer pokręcił głową.

Rozległ się dźwięk dzwonka umieszczonego nad drzwiami i po chwili do salonu weszło dwóch postawnych mężczyzn. Wyglądali na stoczniovców. Obaj dobrze zbudowani, mieli na sobie brudne flanelowe koszule, dżinsy i ciężkie skórzane buty. Na twarzach ślady smaru, a włosy przyklepione do czoła, jakby dopiero przed chwilą zdjęli z głów kaski.

Kłamca poprawił się w fotelu, tak aby ukryć pistolet pod ręcznikiem, którym owinął go Luigi, po czym przez lustro posłał Jeffersonowi pytające spojrzenie. Anioł pokręcił głową. Nie znał tych ludzi.

Loki przyjrzał się uważnie pierwszemu z nich. W jego twarzy było coś dziwnego, zdawała się... za luźna. Do tego mężczyzna przez cały czas mrużył oczy. Niezwykle zaczerwienione oczy.

I nagle Kłamca już wiedział. W jednej chwili był pewien, że brunatne smugi na twarzach stoczniovców to nie smar, a gładko ulizane włosy nie miały nic wspólnego z kaskami.

Raz – zaczął w myślach – dwa...

Na trzy uniósł nogi i z całej siły odepchnął się od blatu, usiłując jednocześnie tak balansować ciałem, by siedzieć przodem do obu mężczyzn. Lewą ręką sięgnął do kabury pod pachą, prawą natomiast, już uzbrojoną, skierował na wysokość kolana stojącego bliżej stoczniowca. Padł strzał, a zaraz potem następny.

Noga mężczyzny wygięła się pod nienaturalnym kątem, a on sam, pozbawiony punktu oparcia, poleciał

na bok.

Twarz drugiego w jednej chwili przybrała przerażający, nieludzki wyraz. A potem stocznowiec skoczył.

Loki błyskawicznie zgiął nogi i wyprostował, uderzając piętami w jego mostek. Przeciwnik pofrunął do tyłu, uderzył plecami o framugę drzwi i bezwładnie osunął się na ziemię.

Kłamca spokojnie wstał z fotela i z czułością wytarł ręcznikiem świeżo ogoloną twarz z resztek mydła.

– Masz tu jakieś zaplecze? – zapytał Luigiego. Przerażony fryzjer pokiwał głową, wskazując na wąski korytarzyk prowadzący w głąb budynku.

– Więc idź i poszukaj sznurka. Jefferson, przydad się na coś, weź tego nieprzytomnego, a ja zajmę się jego kolegą. Przyjdzie nam troszeczkę ze sobą pogadać.



– Skąd wiedziałeś, że to demony? – zapytał zielonowłosy anioł, patrząc w zdumieniu na związanych na zapleczu mężczyzn. – Znaczą skąd wiedziałeś tak szybko? Całkiem nieźle się zamaskowali.

Loki rozgryzł trzymaną w ustach wykałaczkę, wypluł ją i włożył następną.

– Ten pierwszy – wskazał głową – źle dobrał sobie pacjenta. Ładna skóra, ale nie ten rozmiar. A potem to już poszło. Czerwone oczy, krew na twarzach, włosy zaczesane tak, by ukryć miejsce, gdzie nacięli skórę. Z tego, co zauważyłem, piekielne demony zawsze zaczynają od głowy.

Jefferson pokręcił głową.

– Od głowy to zawsze zaczynają tylko demony od Belzebuba. Ci od Azazela wchodzą przez kręgosłup, a Asmodeuszowscy...

– To są demony Belzebuba? – przerwał mu Kłamca.

– Teraz już nie – odparł anioł. – Odkąd go pokonałeś, działają jako wolni strzelcy, ale...

Ręka Lokiego poruszyła się błyskawicznie i huknął strzał. Jefferson zerknął w stronę więźniów. Z głowy jednego z nich zostały tylko strzępy. Wyglądała jak dojrzały melon trafiony kamieniem.

– Jak pewnie wiesz, mam z nimi dawne porachunki – stwierdził Kłamca, chowając pistolet. – Poza tym jeden spokojnie nam wystarczy, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, podszedł do drugiego z więźniów i chwycił go za brodę.

– A teraz, złotko, bardzo cię proszę, za żadne skarby nie mów nam, dla kogo pracujesz. Uznaj, że w ogóle nas to nie obchodzi, a torturujemy cię dla czystej satysfakcji. Spraw mi tę przyjemność, śmieciu.

Do pomieszczenia wpadł Luigi, ale widząc, co się stało, pobladł i pospiesznie się wycofał. Jefferson wyglądał, jakby najchętniej zrobił to samo. Mimo to trwał dzielnie na posterunku. Czuł, że jeśli mają się czegokolwiek dowiedzieć, powinien jak najszybciej znaleźć swoją rolę w tym bałaganie.

– Przecież go nie zabijemy – powiedział, łapiąc Kłamcę za ramię. – Nic złego nie zrobił. Nie jego wina, że urodził się demonem.

Loki posłał aniołowi gniewne spojrzenie.

– Znasz przecież historię mojego spotkania z demonami Belzebuba. Gdy się ostatnio widzieliśmy, on i jego kumple omal mnie nie zatłukli.

– Wykonywali tylko rozkazy, Loki – Jefferson nie dawał za wygraną. – Powinieneś wiedzieć, co to znaczy. Wtedy był żołnierzem. Ale teraz nie jest i na dodatek może nam pomóc. Na Trony i Zwierzchności, bądźże profesjonalistą!

Oczy Lokiego zwięzły się do rozmiaru maleńkich szparek.

– Coś ty powiedział? – wycedził. – Że niby kim mam być?

Odskoczył o krok, dobywając obu pistoletów. Przyłożył lufy do głowy więźnia.

– Ja ci pokażę profesjonalizm! – krzyknął. – Mam w imię Niebios likwidować demony?! Więc proszę, kurwa, bardzo!

– Bocor&Wanga! – wrzasnęła na całe gardło przerażony demon. – Pracuję dla Bocor&Wan...

Wystrzał z obu luf sprawił, że urwał w pół zdania. Loki popatrzył zdumiony najpierw na pistolety, potem na Jeffersona.

– Skurcz w palcach – powiedział z niewinnym uśmiechem. – Daję słowo, te cholerne paluchy same się zgięły.



Jenny położyła się w miarę wcześniej, ale pomimo najszczerzej chęci nie potrafiła zasnąć. Rozmowa, jaką odbyła z Michałem tego popołudnia, była niczym ziarno, które właśnie zaczynało kiełkować.

Dlaczego archaniołowi tak bardzo zależało, by skłócić ją z Lokim? Owszem, wiedziała, że Michał mu nie ufa, no i nie bez racji nazywa Kłamcą, ale przecież sam go kiedyś zatrudnił i jakoś do tej pory nie miał powodów do narzekania. Więc może chodziło o coś innego? Że niby Loki nie nadawał się do stałego związku? Z tego, co powiedział Gabriel, Sygin poświęciła życie, by go ocalić. Z całą pewnością nie zrobiła tego bez powodu.

O co więc chodzi – myślała Jenny – i dlaczego mam wrażenie, że ma to coś wspólnego z tymi przeklętymi piórami?

Michał zapewnił, że kiedyś jej wyjaśni, o co w tym wszystkim chodzi, ale dlaczego nie zrobił tego dzisiaj?

Za oknem usłyszała stłumiony odgłos karetki jadącej na sygnale. Jenny wzdrygnęła się i odruchowo zerknęła na zegarek. Było wpół do pierwszej. Jeżeli miała rano dobrze funkcjonować, była to najwyższa pora, by w końcu zasnęła.

Gdziekolwiek jesteś, Loki – pomyślała, przytulając do siebie leżącego na poduszce obok misia Kłamczucha – życzę ci dobrej nocy... I miłych snów.

W blasku księżycy uśmiech pluszaka wydawał się być szerszy.



– Gorąco, panie – wyjęczał kolejny raz Björg zwany Bezlitosnym. Teraz jednak bardziej pasowałby do niego przydomek „Żalosny”. W niczym nie przypominał walecznego i okrutnego wikinga, którego imieniem mamki straszły dzieci, a kupcy zbyt bez troskich dziedziców

Włosy kleiły mu się do głowy, a brodę pełną miał kropel potu jak poranna trawa rosy.

– Kończy się woda – dodał, również nie po raz pierwszy. – A ludzie zaczynają się burzyć. Mówili, że obiecałeś im łupy.

Stojący na dziobie drakkaru młody człowiek o długich blond włosach i pięknej, jakby kobiecej twarzy poprawił spinkę płaszcza i pokiwał głową.

– Obiecałem – potwierdził – i dotrzymam słowa. Ale dałem je, jeśli nie myli mnie pamięć, wojownikom, a nie starym babom. Skończcie więc z tym skamlaniem. I każ im wiosłować szybciej.

Nie czekając na odpowiedź, odwrócił głowę od barczystego wikinga i ponownie skupił się na linii brzegowej. W końcu po to wyruszył w tę podróż, by badać, zwiedzać i poznać świat na pamięć. Cały.

Patrzył jak urzeczony na srebrzystoszare skały, znad których wyłaniała się dżungla. Była potężna, dużo większa niż jakikolwiek las, jaki dotąd widział. Odkąd na brzegu dostrzegli pierwsze drzewa, płynęli już kilka dni, a mimo to wcale nie zamierzała się kończyć. Wręcz przeciwnie, gęstniała, z każdą chwilą coraz bardziej wypierając skały.

Młodzieniec podziwiał tak jej rozmiar, jak i drapieżność. Niektóre spośród gałęzi czy konarów wyglądały, jakby chciały wdrzeć się do oceanu. „Kto wie – pomyślał – może kiedyś im się uda”. Świat pełen jest dziwów, a porośnięty drzewami ocean wcale nie wydawał się największym z nich.

Drakkar minął kolejny półwysep... I wtedy też młodzieniec dostrzegł wioskę.

Chciał zawołać, ale nie zdążył, bo ubiegł go stojący wciąż obok Björg.

– Łupy! – ryknął na całe gardło, a z jego twarzy w jednej chwili wyparowało zmęczenie i znużenie. Odwrócił się do swego wodza, chyląc głowę w pokłon. – Wybacz, o wielki Loki, że zwątpiliśmy w ciebie.

Młodzieniec uśmiechnął się pod nosem.

– Bierzcie, co wasze – przyzwolił.

Łodzią zatrzęsło, gdy zaryła o dno, ale nikt z załogi nie przejął się tym szczególnie. Uzbrojeni w topory i drewniane tarcze potężni wojownicy jęli wskakiwać do mieniającej się na turkusowo wody. A potem z dzikim rykiem popędzili w stronę brzegu. Do wioski... po łupy.

Loki odczekał, aż wszyscy znikną już pomiędzy uplecionymi z dziwnego drzewa chatami, po czym odpiął płaszcz, miecz i sam wskoczył do wody. Uznał, że broń na nic mu się nie przyda, bo jeśli w wiosce jest ktoś, kto da radę bandzie żądnych krwi wikingów, to on sam nie będzie się mieszał w walkę z nim. Od honorowej śmierci zdecydowanie bardziej wolał życie. Jakiegokolwiek.

Brnął po pas w wodzie, gdy nagle zorientował się, że coś jest nie tak. Nie słyszał żadnych odgłosów bitwy. Żadnego ryku wikingów, wrzasku ofiar czy jęków gwałconych kobiet. Cisza.

„Może uwinęli się tak szybko – pomyślał Loki, wzruszając ramionami. – Albo wioska zwyczajnie była pusta. Moje zuchy będą niepokieszone, ale chociaż po raz pierwszy od wielu dni prześpią się na łądzie. Zawsze to jakaś korzyść’.

Tak rozmyślając, zdążył wyjść z wody i lekceważąc dochodzący ze strony wioski smród, wkroczył pomiędzy dziwne chaty o barwie słomy, uplecione z giętkich gałęzi. Z bliska nie wyglądały na szczelne, ale Loki nie sądził, by mieszkańcy tych okolic mieli kłopoty z zimnymi podmuchami wiatru.

Minął kolejną chatę, za którą znajdował się niewielki placyk. Loki spojrzał na niego... i zadrżał.

Plac pełen był zmasakrowanych ciał. Jego wojownicy leżeli na piasku w nienaturalnych pozach, z rozprutymi brzuchami, skrwawionymi twarzami, wielu z nich nie miało też oczu. Po zwłokach, cicho posykując, pełzały węże.

Nie to jednak było najgorsze. Ręce wikingów skąpane w krwi i wnętrznościach sugerowały, że wojownicy najprawdopodobniej zrobili to sobie sami. Jeden z nich wciąż ścisnął parujące jelita, które wyglądały teraz jak nieświeże pęto kiełbasy.

Loki wziął głęboki oddech, co okazało się być wyjątkowo złym pomysłem. Zgięty wół zwymiotował.

Gdy już otarł usta, poszukał wzrokiem sprawcy masakry. Nie było to szczególnie trudne.

Pośrodku placu, na ogromnym pniu, siedział czarnoskóry mężczyzna. Jego doskonale wyrzeźbione ciało lśniło od potu, ale nie wyglądał na zmęczonego gorącem, wręcz przeciwnie, uśmiechał się.

– Ty jesteś Loki, kowal kłamstw – bardziej stwierdził, niż zapytał. – Witam na mojej ziemi.

Loki chciał postąpić krok do przodu, ale nagle tuż pod jego stopami zakotłowało się od węży. Gady sunęły jeden po drugim, reagując syczeniem na najdrobniejszy ruch Kłamcy.

– Chyba za tobą nie przepadają – stwierdził czarnoskóry, a uśmiech na jego twarzy był coraz szerszy. – Za to Bóg-Pajak cię lubi. Mówi, że jesteście do siebie podobni. Tylko dlatego jeszcze żyjesz, wiesz?

– Jestem bog... – zaczął Loki, ale nie dokończył, ponieważ nagle znikąd spadła mu na plecy kobra. Właściwie tylko musnęła jego kark, ale to wystarczyło, by Kłamca poznał swoje miejsce w tej rozmowie. Miał słuchać. Wąż padł na kłębowisko i z sykiem odpełził na bok.

– Jesteś bogiem, nie przeczę – stwierdził czarnoskóry. – Ale na nowym łądzie, gdzie na dodatek jest wielu takich jak ty. A ja? Ja jestem stąd, z ziemi, na której ludzkość wzięła swój początek. Legendy o mnie są starsze niż jakiegokolwiek inne, a ludzie mówili o mnie, zanim jeszcze poznali jedyne prawdziwego Boga. To moja ziemia, Loki, i nie pozwolę nikomu jej zająć. Zrozumiałeś? Ani tobie, ani twemu nowemu Panu, ani nikomu innemu. Odejdź stąd.

Kłamca rozejrzał się wokół, przyjrzał zwłokom towarzyszy, na których zaczęły już siadać pierwsze muchy.

– Nie mam jak wrócić – powiedział. Zabiłeś mi załogę.

Murzyn podniósł z ziemi garść piasku i rozdmuchał go na cztery strony świata, tak by przynajmniej kilka drobinek padło na każde ciało. Potem szepnął parę słów... I wtedy ciała powstały. Nadal były zmasakrowane, wnętrzności wypadały z rozszarpanych brzuchów, a skrwawione twarze wciąż pozbawione były oczu, ale to najwyraźniej im nie przeszkadzało. Kołysząc się nienaturalnie, wojownicy ruszyli w stronę stojącego na mieliźnie drakkaru.

– Bóg-Pajak prosił, bym cię pozdrowił – powiedział czarnoskóry, otrzepując ręce. – Więc pozdrawiam i daję radę: nigdy tu nie wracaj, Loki. Nigdy. Bo tu zawsze będzie moja ziemia. A ja jestem bogiem zazdrosnym...



Kłamca usiadł gwałtownie na łóżku zlany potem. Oddychał głęboko wpatrzony w ścianę naprzeciwko i z całej siły starał się uspokoić. Wmawiał sobie, że to nic nie znaczy, że wspomnienie Czarnego Łądu, koszmarny sen, o którym przez wieki zdążył już zapomnieć, jest tylko wynikiem nagromadzonych stresów... W końcu udało mu się opanować, ale nie zasnął już do rana.



Gdy następnego dnia Loki dotarł na miejsce spotkania, Jefferson już tam był. Stał oparty o szybę wystawową, ubrany w potargane dżinsy i bezrękawnik z kapturem. Końcem skrzydła zadzierał sukienkę stojącej obok dziewczynie. Nie za wysoko, ale wystarczająco, by pokazać coś, czego dziewczyna raczej pokazywać nie chciała.

Kłamca nałożył na siebie iluzję, tak by nikt prócz anioła nie mógł go ani zobaczyć, ani usłyszeć, a potem powoli podszedł do zielonowłosego.

– Jeszcze parę takich akcji i skrzydlaci naprawdę zyskają w moich oczach, brawo – powiedział, nie kryjąc rozbawienia.

Jefferson skinął mu głową.

– Dzięki, ale to trochę bardziej skomplikowane. Widzisz tamtego policjanta? – Ręką wskazał na grubego funkcjonariusza stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Mężczyzna nawet nie próbował kryć swego zainteresowania udami stojącej obok anioła dziewczyny. – To Tom Mahoney, lat czterdzieści dwa, żonaty, dwójka dzieci. Oprócz tego pies, kanarek i trzy pudła „Hustlera” na strychu, które przegląda namiętnie każdego wieczoru pod pozorem obserwowania gwiazd. Bierze łapówki, zamiast wystawiać mandaty, ale to w gruncie rzeczy całkiem dobry facet. A teraz spójrz tam! – Ręka anioła wskazała na czarnoskórego chłopca, który właśnie, rozglądając się na wszystkie strony, próbował okraść bankomat. – To Brian Tucker. Jego brat o mało co przedwczoraj nie wpadł z półkilową paczką marihuany. W porę wyrzucił ją do rzeki, co uratowało go przed policją, ale już nie przed właścicielami towaru. Odwiedzili go wczoraj, obili, złamali mu rękę i zapowiedzieli, że jeśli do jutra nie da im pieniędzy za towar, przestaną być mili. Brian postanowił pomóc bratu...

Loki uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni po wykałaczkę.

– A ty odwracasz uwagę policjanta, żeby dzieciak mógł spokojnie dokonać kradzieży? – zapytał. – Nie masz wrażenia, że naginasz troszkę zasady?

Jefferson wzruszył ramionami.

– Brian ma za paskiem trzydziestkę ósemkę brata, odbezpieczoną – wyjaśnił. – Jest tak roztrzęsiony, że na pewno niewiele trzeba, by sięgnął po nią i zaczął strzelać. Robiąc ten numer, ratuję policjanta, dzieciaka, jego brata i kto wie kogo jeszcze.

– A tradycyjne metody? – nie odpuszczał Loki. Musiał przyznać przed samym sobą, że zielonowłosego zaskoczył go. – Nawijanie do ucha, łaskotanie po sumieniu?

Anioł zerknął w stronę dzieciaka, który właśnie odbiegał od bankomatu. Powoli opuścił sukienkę dziewczyny i odruchowo otrzepał ręce.

– Żaden z nich nie jest przyznanym mi podopiecznym. Takie sztuczki to mogę zrobić tylko ze staruszką Winterem, którego jedynym grzechem jest moczenie łóżka i wyklinanie na gosposię.

Kłamca roześmiał się.

– Niezła robota, muszę ci przyznać – pochwalił. – Swoją drogą, wczoraj też spisałeś się świetnie.

– Mówisz o dobrym i złym glinie? Pewnie oglądamy te same filmy. Tyle tylko... – Anioł powoli ruszył wzdłuż linii wystaw. – ...że tam przesłuchiwany zwykle wychodzi cało.

– Życie to nie film – stwierdził Loki, rozkładając ręce. – Chodź, zaparkowałem przecnicę dalej.

Minęli kilka sklepów, przeszli przez ulicę i bez słowa skręcili w ciemną bramę. Po chwili wyłonili się z niej już widoczni dla świata.

– Sprawdziłem tę firmę – powiedział Kłamca, gdy doszli do samochodu. Zgodnie z sugestią Jeffersona zrezygnował z przyjazdu w tę okolicę swoim jaguarem i ograniczył się do wziętego z wypożyczalni dodge'a. Też kusił, ale już nie tak. – Bocor&Wanga to firma produkująca oprogramowanie komputerowe. Powstała na Haiti jakieś pięć lat temu, a w zeszłym roku przeniosła swoją siedzibę do Nowego Jorku. Nie mają jakichś wielkich osiągnięć, chyba że za takie można uznać proces z Microsoftem o kradzież pomysłów. Ale wciąż się rozwijają.

Samochód ruszył i na pierwszym skrzyżowaniu skręcili w prawo.

– No dobrze. – Jefferson poskubał się w nos. – Ale na co firmie informatycznej demony? Coś w tym nie gra.

– Też zauważyłeś? – Wykałaczką w ustach Lokiego przewędrowała z jednego kącika ust do drugiego. – Zwłaszcza że te demony pojawiają się w miejscu, gdzie właśnie nie udała się transakcja z relikwiami. Co ważne, transakcja, którą przeprowadzał człowiek. Piekielni nie mogliby dotknąć relikwii bez spaczenia jej, ale spokojnie mogli robić za ochronę. Tylko że tym razem się nie spisali. Może nie zdążyli albo co.

– Wszystko do siebie pasuje – zgodził się Jefferson. – Szefem tej firmy... gdzie my właściwie jedziemy?

– Na Manhattan, do siedziby Bocor&Wanga. Anioł pokręcił głową.

– W takim razie nie tędy – powiedział. – Zawróć i... zatrzymaj się! Już!!!

Loki zahamował gwałtownie, a anioł wyskoczył z samochodu, podbiegł do budynku i rozłożył ręce. Ułamek sekundy później trzymał w ramionach małą dziewczynkę wystraszoną tak bardzo, że nie była w stanie powiedzieć nawet jednego słowa. Jefferson postawił ją na ziemi i dał jej wyciągnięte z kieszeni ćwierć dolara. Pogłaskał małą po głowie i pogwizdując, wrócił do samochodu.

– Peggy Stewart – wyjaśnił zdezorientowanemu Kłamcy. – Mieszka na trzecim piętrze z ojcem alkoholikiem. Jej ulubione hobby to przesiadywanie na parapecie w korytarzu i liczenie czerwonych elementów w praniu rozwieszonym naprzeciwko.

– Często tak...

– Spada? Nie, dziś zdarzyło się jej pierwszy raz. I szkoda, bo pewnie przestanie teraz siedzieć na tym parapecie. A ładnie tam wyglądała, tak malowniczo. Poza tym to była jej jedyna zabawa.

Loki złapał się na tym, że odruchowo myśli o Kłamczuchu. Miś stał teraz na stoliku koło telewizora Jenny. Ciekawe, czy zrekompensowałby małej liczenie skarpetek? Może pokazałby jej jedną ze swych sztuczek?

Kłamca wzdrygnął się i przeklął Światowida po wsze czasy. Odkąd słowiański bóg otworzył mu umysł na ludzkie dobro i dziecięcą wrażliwość, Loki coraz częściej łapał się na podobnych myślach.

Docisnął mocniej pedał gazu, pragnąc jak najszybciej opuścić dzielnicę Jeffersona.

Zegar na pobliskim kościele właśnie wybił południe.



Nie mieli najmniejszego problemu ze znalezieniem miejsca na podziemnym parkingu biurowca Bocor&Wanga. Zgodnie z elektronicznym wyświetlaczem zamontowanym przy wjeździe, na pięć tysięcy miejsc parkingowych zajętych było niespełna trzy tysiące.

Loki zaparkował możliwie najbliżej wyjazdu i wyłączył silnik. Zamknął oczy, wyszeptał kilka twardo brzmiących słów i po chwili zaczął się zmieniać. Jego długie blond włosy były teraz dużo krótsze, jakby wessane z powrotem przez głowę, a poza tym z każdą chwilą ciemniejsze. Zniknęła gdzieś broda, a sama twarz zrobiła się bardziej pociągła.

Zamiast swetra, dzinsów i skórzanego płaszcza, w jakie był ubrany jeszcze przed chwilą, Kłamca miał na sobie czarne spodnie, obcisły golf i płaszcz skrojony tak, by podkreślać jego sylwetkę, ale jednocześnie tuszować dwa ogromne pistolety, które Loki trzymał w kaburach pod pachami. Oczywiście w tej sprawie i tak nie obyło się bez drobnej iluzji korygującej.

– Nie wiem, czy ci tutaj o mnie słyszeli. – Kłamca sięgnął do schowka i wyciągnął modne okulary przeciwsłoneczne. – Ale na wszelki wypadek nie chcę, żeby kłopoty spotkały mnie za wcześnie. Stąd ta zmiana.

Jefferson skinął głową.

– Powiesz mi, co właściwie zamierzasz zrobić? Bo nie myślisz chyba wejść tam tak po prostu, zapukać do biura szefa i go zastrzelić, prawda?

Loki zamyślił się chwilę.

– Co jest złego w tym planie? – zapytał po chwili. – Sprawa prosta, a mnie się spieszy. Mam dziś ważną kolację.

– Ale on może być niewinny, to wszystko może być tylko...

Kłamca otworzył drzwi samochodu, ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie zrobię nic, zanim nie będę pewien, że jest winny, gra? A ty w razie czego bądź...

– ...na odległość anioła – dokończył Jefferson. – Uważaj na siebie.

Skinąwszy głową, Loki wysiadł i ruszył w stronę wyjścia z garażu.



Loki przeszedł przez obrotowe drzwi i przez chwilę przyglądał się wnętrzu, oceniając sytuację. Kilka metrów przed nim znajdowało się stanowisko strażników wpatrzonych w monitory i opychających się hamburgerami. Obok stał rząd bramek z wykrywaczami metali.

Dalej aż do samych wind nie było nic, pusty, przestronny hol z obu stron ozdobiony rzędami surowych szarych kolumn.

Cholerne marnowanie przestrzeni – uznał Kłamca. Pewnym ruchem poprawił płaszcz i podszedł do boksu strażników.

Jeden z nich, młody chłopak z drobnym wąsikiem, lekko zamglonymi oczami i nazwiskiem Stewart na identyfikatorze, odłożył hamburgera i przyjrzał się przybyłemu.

– Proszę o wyciągnięcie wszystkich metalowych przedmiotów, kluczy, spinek...

Wymieniał tak jeszcze przez chwilę, a Loki zastanawiał się, co by było, gdyby pchnął go teraz i dobył broni. Czy mógłby liczyć na zejście samego szefa? Z całą pewnością zaoszczędziłby sobie długiej jazdy windą, ale to było raczej mało prawdopodobne.

– ...jeżeli ma pan rozrusznik serca, proszę nas poinformować, zanim przejdzie pan przez bramkę – strażnik skończył mówić.

Kłamca posłusznie opróżnił kieszenie, wyrzucając na tackę klucze, kilka biurowych spinaczy i otwieracz do butelek. Potem powoli przeszedł przez bramkę i z powrotem. Nie rozległ się żaden dźwięk.

– W porządku? – zapytał.

Strażnik skinął głową i oddał mu klucze. Loki raz jeszcze przeszedł przez bramkę, tym razem włączając alarm. Rozległa się syrena, zamigotały czerwone światła... a potem wszystko ucichło. Kłamca nie niepokoiony doszedł do windy, zastanawiając się, czy ewentualne demony w budynku również będą tak bardzo podatne na iluzje.

Już w windzie poprawił kabury pistoletów i wcisnął trzydziestkę na tablicy. Ostatnie piętro... bo żaden prezes nie oprze się panoramie Manhattanu.



Jenny przyszła z pracy zaraz po drugiej. Biorąc pod uwagę wieczorną kolację, powinna się cieszyć, że mogła wrócić do domu wcześniej, ale ponieważ przygotowała sobie wszystko już wczoraj, jedyne, co jej zostało, to wziąć ciepłą kąpiel, a potem posiedzieć przed telewizorem.

Weszła do salonu i rzuciła torebkę na stolik. Ściągnęła kolczyki i rozpięła bluzkę. Wtedy dostrzegła leżącego na kanapie Kłamczucha. Miś przyglądał się jej paciorkowatymi oczkami i w tym świetle wyglądał, jakby się uśmiechał. Przekrzywiony na bok opierał łapkę o pilota do telewizora.

Dziwne – pomyślała Jenny – *przecież nie zabierałam go z sypialni.*

A może jednak? Przecież rano była bardzo zasnana. A może to Loki? Przeszedł po nocnej akcji, poglądał telewizję, a potem poszedł się położyć. Nie dała mu co prawda kluczy, ale cóż to dla niego za

problem?

Wzruszyła ramionami i poszła do łazienki.

Gdy wróciła po jakiejś półgodzinie, miś nadal był na łóżku, ale już w zupełnie innej pozie, za to z kuchni dobiegały jakieś odgłosy.

– Loki? – zapytała, w myślach formując już słowa modlitwy do Michała.

– Nie, to ja – dobiegł ją z kuchni głos archanioła. – Nie musisz się modlić... znaczy pochwalam, bo modlitwa w każdej chwili zbliża duszę do Pana... ale w tej chwili...

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, zaraz jednak poczuła, że ogarnia ją złość. Szybkim krokiem podeszła do drzwi kuchni.

– Możesz mi właściwie powiedzieć, co ty tu, do cholery, robisz?! – zapytała ze złością.

Archanioł, który dość nietypowo wyglądał przepasany jej fartuszkami, zdobył się jedynie na wzruszenie ramion.

– Pomyślałem, że dzisiaj też możesz potrzebować pomocy. Poza tym chciałbym ci opowiedzieć o piórach.

Gniew opuścił Jenny w jednej chwili. Odgarnęła z twarzy kosmyk mokrych włosów.

– Poczekaj chwilkę, tylko się ubiorę.



– Bardzo mi przykro, ale pana prezesa nie ma – uprzejmym głosem powiedziała sekretarka. Miała okrągłą twarz, duże czarne oczy i zbyt wydatne usta, nawet jak na Murzynkę. Mimo to, gdy się uśmiechała, wyglądała całkiem ładnie.

– Rozumiem... i raczej nie będę czekał – odparł Loki. Ostentacyjnie rozejrzał się po sekretariacie, udając zachwyt, w głębi serca czuł jednak niepokój.

Pomieszczenie urządzone było na wzór wnętrza afrykańskiej chaty, z całym mnóstwem ozdób i posążków. Biurko wykonane z kamienia wyglądało zupełnie jak ołtarz ofiarny, a wyryte na nim obrazy przedstawiające sceny z polowań zdawały się potwierdzać to skojarzenie. Ponadto trochę zdjęć z sawanny, kilka pustynnych widoczków i plakat UNICEF-u. Nawet temu ostatniemu, gdy oprawiono go w ramkę z bambusów, udało się zgrabnie wkomponować w całość.

Czy to możliwe, żeby to wszystko było zbiegiem okoliczności? – pomyślał Loki. Najpierw ten sen o Afryce, którego nie śnił już od wielu lat, a który był wspomnieniem jedynej chwili, gdy tak naprawdę się bał, a teraz... To nie mogło być dziełem przypadku.

– W czymś jeszcze mogę panu pomóc? – zapytała sekretarka.

Kłamca zamrugał jakby nagle przebudzony, po czym w jednej chwili uśmiechnął się szeroko i podszedł do biurka.

– Może pani – szepnął pochylony nad blatem. – Na przykład dając mi swój numer, uratuje pani moje serce przed złamaniem.

Kobieta roześmiała się i spuściła wzrok. Tylko na chwilę, ale wystarczyło, by Loki błyskawicznym ruchem wyszarpnął kabel telefonu i zmiażdżył końcówkę między palcami. Potem gwałtownie poderwał się i pewnym krokiem podszedł do drzwi gabinetu szefa.

Dziewczyna za biurkiem była tak zaskoczona, że odezwała się dopiero w chwili, gdy Kłamca kopnął w drzwi. Gabinet prezesa Bocor&Wanga stał przed nim otworem.



– Bóg nie uczynił nas równymi – zaczął swą opowieść Michał, gdy Jenny, ubrana w dzinsy i błękitną koszulę Lokiego, usiadła przy kuchennym stole. Postawił przed nią gorącą kawę i usiadł na taborecie naprzeciwko, również z parującym kubkiem. – Hierarchia istniała już od samego początku. Oczywiście kiedy Pan był jeszcze z nami, nie miało to takiego znaczenia. Każdego z nas mógł wywyższyć bądź poniżyć. Wystarczyło, że Metatron, jego boski głos, wyśpiewał nam na chwilę bądź na stałe dodatkową

parę skrzydeł, i już mogliśmy szybować wyżej. Im wyżej, tym bliżej Boga, miejsca, skąd czerpaliśmy siły. A potem nagle Bóg odszedł, a wraz z nim Metatron. Jego miejsce zajęli ci, którzy dzięki łasce Pana mogli o własnych siłach wzbic się pod sam niebiański tron – samo źródło anielskiej mocy. To były przede wszystkim Trony i Zwierzchności, które przejęły władzę i rządzą nami do teraz. Przekazały nam wszystkie nakazy i zakazy Boga, jakie zostawił w liście przybitym do oparcia tronu, i nakazały pilnować świata. Same zaś zaczęły pławić się w luksusach. – Anioł przerwał na chwilę, by upić kawy i przyjrzeć się reakcji dziewczyny na swoje słowa. Nie był dobrym mówcą, a naprawdę nie chciał znudzić jej tą historią. W końcu najważniejsza była w niej puenta.

– Oczywiście nie narzekamy – podjął przerwany wątek. – Dbają o nas jak mogą, a czasem nawet ofiarują jakieś pióro... No właśnie, pióra. Kiedy już minął pierwszy szok po odejściu Pana i okazało się, że źródło mocy wciąż istnieje, wszyscy spośród niższych zaczęli się zastanawiać, jak dotrzeć do samego źródła. Bo jak wiadomo, im dalej od niego, tym czerpanie mocy jest mniejsze. Niektórzy zaczęli walczyć między sobą, próbując nawzajem wyrwać sobie skrzydła. Zaczęło się robić naprawdę nieciekawie. I nie wiem, co byłoby z nami dalej, gdyby nie jeden drobiazg – nie da się skorzystać z pióra odebranego właścicielowi przemocą, co wkrótce niektórzy z nas boleśnie odczuli. Skrzydła z nich złożone ciążyły, zamiast wznosić, a pojedyncze pióra wypadały przy pierwszym ruchu. Co innego pióro otrzymane! Jeśli je dostałaś, to tak, jakby wyśpiewał ci je sam Metatron, działa znakomicie. Nawet gdy ktoś nie może już ruszać uszkodzonym skrzydłem, jak ja. Metafizyka, sama rozumiesz.

Jenny pokiwała głową.

– Ale przecież skoro Trony i Zwierzchności są przy boskim tronie, nie mogą oddać wam swoich skrzydeł? – zapytała po chwili. – Oni i tak wyżej już nie wzlecają.

– Ale kto by się wtedy zajmował ziemią? – Michał raz jeszcze upił kawy. – Pamiętaj, my wszyscy wierzymy głęboko, że Pan kiedyś wróci. I oni jako odpowiedzialni za ziemię odpowiedzą przed Nim za jej losy. Poza tym dlaczego mieliby dzielić się władzą ze wszystkimi? A tak od czasu do czasu dorzuca piórko do naszej puli i jeżeli trafi ono do właściwych skrzydeł, jakiś anioł wzniesie się nieco wyżej przy następnym czerpaniu ze źródła.

Dziewczyna wstała i podeszła do lodówki. Otworzyła drzwiczki.

– I rozumiem, że Loki także chce zaczerpnąć ze źródła? – upewniła się. – Może?

Archanioł już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, ale zawahał się. Nie mógł skłamać, co byłoby najprostsze. Zwykle w takich sytuacjach po prostu milczał, jednak teraz niewiele by się to różniło od wyznania prawdy.

Odetchnął głęboko. Za nic nie chciał wyjść w oczach Jenny na krętacza!

– Nie, nie może – powiedział cicho. – Żeby móc tworzyć sobie dodatkowe pary skrzydeł, pierwszą trzeba otrzymać od Stwórcy. Inaczej mówiąc, trzeba być aniołem. To dla nich jest moc.

Bał się, że Jenny będzie wściekła i wstawi się za Kłamcą. Ona jednak tylko wzruszyła ramionami. Wyciągnęła z lodówki szarlotkę, z zamrażarki lody i postawiła wszystko na stole. Z szafki wyjęła dwa pucharki.

– Kłamca oszukany przez anioły, które kłamać nie potrafią! – parsknęła. – Jak rozumiem, nigdy nie zapytał, a wy nie czuliście się w obowiązku, by mu o tym wspomnieć?

Michał odchrząknął. Czas najwyższy przejść do głównego ataku. Opowiadka o piórach była przecież tylko narzędziem. Fundamentem do prawdziwej rozmowy.

– Jenny – zaczął archanioł cicho i spokojnie – myślę, że powinnaś wiedzieć o czymś jeszcze. Anioły nie mogą wchodzić w związki, żadne i z nikim. O tym Kłamca wiedział doskonale, a mimo to...

Łyżka do lodów zawisała w połowie drogi do pucharka. Dziewczyna powoli przeniosła wzrok na Michała.

– Nie kończ – poleciła. – I wyjdź... wyjdź natychmiast! Kolacja odwołana!

Archanioł posłusznie wstał od stołu i ruszył w stronę drzwi. W progu odwrócił się jeszcze.

– Uznałem, że powinnaś wiedzieć – powiedział. Westchnął ciężko, po czym dodał: – Oczywiście wiesz, że nie wolno ci powtórzyć niczego, co ci powiedziałem, prawda? Nigdy i nikomu.

Jenny nie odpowiedziała. Stała w bezruchu, czekając, aż Michał opuści jej mieszkanie. Potem usiadła

i zaczęła płakać.



W gabinecie prezesa panował półmrok. Ogromne okna zasłonięto czarnymi kotarami, a jedynym źródłem światła były rozstawione w kilku miejscach świece – dwie na ogromnym biurku po lewej, jedna na półce nad nim, trzy na odsuniętym na bok stole konferencyjnym i osiem czy dziesięć na podłodze. Te ostatnie ustawiono na obrzeżu kilkumetrowego kręgu, którego obwód wyznaczał starannie usypany piasek.

– Witaj, Loki, całe wieki minęły, od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni. – Głos, który dobiegł zewsząd, głęboki, niski, brzmiał ciepło i sympatycznie, lecz mimo to Kłamca wzdrygnął się i odruchowo sięgnął po broń.

– To nie będzie konieczne – stwierdził głos, nie kryjąc rozbawienia. – Poza tym czyżbyś zapomniał, że mnie nie tak łatwo zrobić krzywdę?

Loki nie odpowiedział. Zmrużył oczy i cicho wyszeptał zaklęcie.

I wtedy ciemność wewnątrz kręgu drgnęła. Pojawiły się lekkie zawirowania powietrza, jakie zwykle widać nad ogniskiem, a potem się postać – wysoki czarnoskóry mężczyzna.

Był nagi, jeśli nie liczyć czarnego cylindra i niezliczonej ilości namalowanych białą farbą symboli. Na ramionach miał potężnego pytona.

– I co sądzisz, stary Kłamco? – powiedział, szczerząc śnieżnobiałe zęby. – Powiedz, że nic się nie zmieniłem. Skłamałem dla mnie, proszę.

– Nic a nic, boże bez imienia – odparł Loki, starając się zapanować nad drżeniem głosu. – Ale w międzyczasie body painting zdążył już wyjść z mody.

Czarnoskóry odchylił głowę i roześmiał się głośno. Kłamca postanowił to mimo wszystko wykorzystać, dobywając broni i wypalając równocześnie z obu luf. Kiedy widzieli się ostatni raz, nie było jeszcze broni palnej, a moce większości dawnych bóstw, w przeciwieństwie do nich samych, nie szły z duchem czasu.

Jednak Murzyn najwyraźniej zaliczał się do mniejszości. Pociski uderzyły w niewidzialną ścianę i upadły na podłogę. Loki zaklął pod nosem.

– Ty za to jesteś teraz zupełnie inny, Kłamco. – Afrykański bóg przestał się śmiać, ale w jego oczach wciąż tańczyły iskierki rozbawienia. – Cięty dowcip i szybkie ręce... Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

Poklepał po łbie oplatającego mu ramiona węża. Gad zsunął się na ziemię i popęzł pod biurko. Mimo że był wielki, prześliznął się zgrabnie między świecami, tylko swym ciężarem przerwał w jednym miejscu dotąd nieskazitelne koło z piasku. Loki zauważył to, ale ani myślał się ruszać. *To nie był krąg ochronny – pomyślał. – Dzień, w którym czarnoskóry bóg bez imienia będzie potrzebował kręgu ochronnego przed kimkolwiek, ani chybi będzie dniem powrotu Pana aniołów.*

W jednej chwili Kłamca pożałował, że wszedł do budynku sam. Powinien był wezwać pomoc. Teraz już przepadło.

– Wiesz, że mam teraz mocnych kumpli, prawda? – powiedział, obserwując Murzyna kątem oka. Więcej uwagi poświęcał pełznącemu ku niemu pytonowi. Loki wycelował w łeb gada i czekał. Nie chciał denerwować gospodarza, ale nie zamierzał też dać się udusić. – Pracuję dla samego Jedynego, który...

– ...odszedł. – Czarnoskóry wzruszył ramionami. – Dawno temu... Ale to i tak mocny sojusz, Loki, brawo.

Kłamca skinął głową, cały czas patrząc na węża.

– A co u ciebie? – zapytał. – I co ty tu właściwie robisz? Myślałem, że twoje miejsce jest przy malejącej garstce twoich wiernych, w Afryce.

Murzyn opuścił krąg, podszedł do okna i odsunął zasłony.

Loki zmrużył oczy porażony światłem. Zamrugnął kilkakrotnie.

– Nie jest ich wcale tak mało – powiedział czarnoskóry, zdejmując z krzesła białą koszulę. – I nigdy ich tak naprawdę nie opuściłem. A przybyłem na tę ziemię z pierwszymi statkami łowców niewolników. Potem pozwoliłem nadać sobie imię i osiadłem na jednej z pobliskich wysp, gdzie dałem początek nowemu

kultowi. Nie jest źle, Loki. Ameryka to kraj wielkich możliwości. Tu nawet czarnuch może zostać baronem. Tak mnie teraz nazywają, wiesz? Baron Samedi. Utożsamiają mnie z loa Ghedi – tym małym duchem i opiekunem umarłych. Bóg-Pająk, gdyby to usłyszał, pękłby chyba ze śmiechu. Poza tym z moim potencjałem...

– Wybacz, ale z czym? – zadrwił Kłamca. – Pracujesz teraz w branży komputerowej. Co ty, kurwa, wiesz o komputerach?

– A po co mam coś wiedzieć? – Baron Samedi dopiął guziki koszuli i sięgnął po spodnie. – W tym budynku pracuje dla mnie dwa i pół tysiąca informatyków. Każdy z nich po szesnaście godzin na dobę za najniższe możliwe wynagrodzenie i bez świadczeń zdrowotnych. Jedzą na stołówce, często sypiają w swoich boksach i mają pagery, by być na każde wezwanie. Czy coś ci to mówi?

– Ty skurwielu, zrobiłeś z nich swoich zombie! – syknął wściekle Loki.

– No, no, niby bóg z ciebie, a gadasz jak jakiś palant ze związków zawodowych! – Murzyn wyszczerzył równe, białe zęby. – Zombie zrobiłem z twojej załogi, pamiętasz? Tych tutaj... no faktycznie, też można tak nazwać! Ale przede wszystkim nauczyłem ich paru rzeczy o kapitalizmie.

Zdjął cylinder i położył go na biurku, a z szuflady wyjął złotego roleksa. Zerknął na niego.

– Wydaje mi się, Kłamco, że na ciebie już czas – powiedział. – Jak się postarasz, to zdązysz, zanim zaczniesz się przerwa obiadowa. Bo moi pracownicy są strasznie głodni, a wtedy jedzą co popadnie. Masz trzydzieści... a nie, dwadzieścia dziewięć, osiem, siedem...



Jeżeli zdążę dopaść windy – myślał Loki, biegnąc – jestem uratowany.

Pędził najszybciej jak potrafił, mijając równy rząd boksów, w których pochyleni nad komputerami pracowali niewolnicy Samadiego. Według wyliczeń Kłamcy zostało mu jeszcze około ośmiu sekund i co najmniej ze sto metrów do windy. A potem jeszcze czekanie, aż przyjedzie.

Nie zdążę. Nie mam szans.

Mimo to biegł dalej.

Jakiś pracownik, który zupełnie przypadkiem wstał, by zaczerpnąć wody z automatu, na krótką chwilę zastąpił Kłamcy drogę. Ten uderzył go kolbą pistoletu i bezwładnego pchnął na bok. Nie miał czasu na uprzejme *przepraszam* i przepychanki w wąskim przejściu. Zostały może dwie sekundy, a drzwi do windy wciąż były daleko.

I nagle rozległ się gong. Pracownicy jak jeden wstali i ruszyli powoli w stronę schodów. Wtedy kilku z nich dostrzegło Kłamcę. Wzniesli ręce przed siebie i powłócząc nogami, ruszyli w jego stronę. Pozostali po chwili podążyli za nimi.

Loki zatrzymał się. Wiedział, że do windy już nie dobiegnie. Zombie miały znacznie bliżej i z pewnością zastąpiłyby mu drogę. Na schody też nie było sensu się pchać, bo ci z niższych pięter już pewnie po nich wchodzili. Odcieliby go z obu stron.

Wystrzelił do grubasa z plamą po musztardzie na krawacie, a zaraz potem do chudej jak tyczka, rudowłosej stażystki w koszmarnym kostiumie ze znaczkiem firmy w klapie, małą laleczką z iksami zamiast oczu. Oczywiście nie powstrzymało to pozostałych. Nadal parli do przodu, wyjąc posępnie. Padły kolejne strzały, Kłamca cofnął się kilka kroków, wiedział jednak, że długo tak nie podoła. Chwilę potem poczuł, że plecami dotyka ściany. A właściwie nie ściany, a drzwi – to, co wbijało mu się w plecy, mogło być tylko kłamką! Więc jednak...

Przykucnął tak, by otworzyć drzwi łopatką i ani na chwilę nie spuszczać z oczu informatyków-zombie. *Żeby tylko były otwarte – pomyślał.*

I były! Loki zatoczył się do tyłu, wpadając do sali konferencyjnej. Za plecami miał teraz ciągnący się aż pod samo okno ogromny stół. Przed sobą co najmniej setkę wygłodniałych zombie i perspektywę spotkania z kolejnymi dwoma tysiącami czterystoma, bo nie sądził, aby którykolwiek z pracowników barona wziął urlop albo zwolnienie lekarskie.

– Odległość aniola – powiedział nagle i roześmiał się. – Wiecie, co to takiego, mózgojady?

Strzelił dwa razy, by pozbyć się stojących najbliżej, po czym wskoczył na stół i ruszył biegiem w stronę okna. Gdzieś w połowie drogi zaczął strzelać do szyby, licząc, że ciężar jego ciała wystarczy, by przebić się przez pajęczynkę pęknięć.

Odległość anioła? – pomyślał. – *Chyba ci odważyło.* A potem skoczył.

Uderzył go pęd powietrza, odbierając na chwilę oddech. Kłamca rozłożył szeroko ręce i otworzył oczy. Z całej siły pragnął odwrócić się teraz i wygarnąć do zombie. Może ktoś właśnie, zupełnie przez przypadek, filmuje jego lot i zyskałby dodatkowy ciekawy efekt. A Loki przynajmniej nie umarłby całkowicie bez sensu. Był na siebie wściekły, że dał się tak załatwić.

Ludzie w takich chwilach podobno widzą niczym film obrazy ze swojego życia. Dobre i złe uczynki jak w rachunku sumienia. On nie miał sumienia i żył też zbyt wiele tysiącleci, aby doczekać ostatniej sceny i napisu THE END. To byłby raczej serial niż film. Przypomniał sobie za to słowa danej mu przepowiedni: *Umrzesz, gdy dopełni się twa legenda.* Niczym tekst z gazetowego horoskopu: *W tym tygodniu spotka cię nieco szczęścia, ale i nie ominą drobne kłopoty. Szanuj bliskich, pracuj uczciwie, a być może spotka cię twoja wielka szansa.* Nic o cholernych wieżowcach, żadnych pieprzonych konkretów!

Nawet zaszranym przepowiedniom nie można już ufać – pomyślał. I wtedy właśnie ogromny cień przysłonił słońce, a zaraz potem coś chwyciło Lokiego za kołnierz i uniosło w górę.

– Jak tam, Kłamco? – zapytał Jefferson.

– Średnio – odparł ten, chowając broń. Tuż pod nim przewijała się teraz panorama Manhattanu. Przewijała, nie zbliżała, co było znacznym postępem. Nie zamierzał się jednak do tego przyznawać. – Strasznie duża ta odległość anioła. Myślałem już, że nie zdążysz. A poza tym okazało się, że ta firma to fałszywy trop. Okłamały nas cholerne demony. Ale nie jest tragicznie, bo chyba już wiem, kto za tym stoi. Leć do jakiejś dużej biblioteki.



– Tak jak myślałem – powiedział Kłamca, wychodząc spomiędzy regałów. Pod pachą trzymał „Leksykon bóstw i demonów”. – Wracamy do twojej dzielnicy, Jefferson. Myślę, że powinniśmy zadać parę pytań Luigiemu.

– Luigiemu? – nie zrozumiał zielonowłose anioł. Loki machnął ręką.

– Powiem ci na miejscu.



Kłamca mógł się tego spodziewać, ale mimo wszystko był zawiedziony. Zakład fryzjerski Luigiego zastali zamknięty.

Jefferson stanął przed wejściem gotów przeniknąć ścianę, ale Loki złapał go za rękę.

– Nie warto, nie ma go tam – powiedział. – I pewnie zdążył już zwiać spory kawałek. Ale to tylko człowiek i nie ukryje się przede mną.

Anioł podrapał się po głowie.

– Skąd wiesz? Znaczący że to człowiek?

Loki z uśmiechem wyciągnął z kieszeni wykałaczkę.

– Kiedy okazało się, że szefem Bocor&Wanga jest Samedi – zaczął – wiedziałem już, że nie mają oni nic wspólnego z przemytem relikwii. Nie dlatego, że baron gardzi pieniędzmi, bo z pewnością znalazłby dla nich zastosowanie, ale dlatego, że ani myśli zadzierać z waszym... znaczący naszym Bogiem. Wie, że on sam zrodzony jest z wiary, a nasz Pan jest przecież wieczny. I wtedy nasza mnie myśl: *Dlaczego te demony przyszły do Luigiego, a potem zwały wszystko na Bocor&Wanga?* Bo chciały odwrócić uwagę od swojego prawdziwego szefa. Luigiego właśnie.

– To ma sens – przyznał Jefferson.

Kłamca pokiwał głową.

– Wiedzieli, że w firmie Samediego działa magia – kontynuował – więc uznali, że łykną bez

przeszkód. I pewnie tak by było, gdybym dawno temu nie poznał tego cholernego czarnucha osobiście. Przypomniał mi o tym sen, którego nie śniłem od dziesięcioleci. Swoją drogą, jestem bardzo ciekaw, skąd on się wziął w mojej głowie akurat wczoraj w nocy.

– Niezbadane są ścieżki Pana i jego metody. – Anioł nie miał pojęcia, jakiej odpowiedzi udzielić Kłamcy, ale ta sentencja wydała mu się uniwersalna. – Ale nie wyjaśnia to, dlaczego uważasz, że Luigi to człowiek. Przecież nas widział. Widział mnie.

– Są ludzie, którzy to potrafią. – Loki wyciągnął spod pachy książkę i otworzył ją na zaznaczonej stronie. – A teraz spójrz... Pamiętasz, jak przedstawił się Luigi? Jakie podał swoje prawdziwe imię?

– To... to było coś jak...

– Astaroth – dopowiedział Kłamec. – Filistyński demon pożądania. Według mitu odpowiedzialny za głupotę Samsona i jego uległość wobec Dalili. Tyle tylko, że Astaroth to... zresztą spójrz, tu masz rycinę.

Jefferson pochylił się nad książką i parsknął.

– Przecież to baba.

Loki pokiwał głową.

– Jak na anioła całkiem nieźle orientujesz się w ziemskich sprawach – zadrwił. – Umiesz rozpoznać pleć. Można powiedzieć, że jesteś lepszy niż nasz przyjaciel Luigi, który zasugerował się męskim brzmieniem imienia demonicy. Wykuł na pamięć jej historię, ale jakoś przeoczył, by zerknąć na rycinę.

Zielonowłosa przez chwilę bawił się kłódką na drzwiach, wodząc palcem wokół dziury na klucz.

– To co teraz robimy? – zapytał. – Szukamy go?

Kłamec zerknął na zegarek i pokręcił głową.

– Znajdziemy go wcześniej czy później – powiedział. – A teraz spieszę się na ważną kolację.



Weź się w garść, głupia – pomyślała do siebie Jenny. – To wcale nie musi wyglądać tak źle. Może Loki jak zwykle szukał kruczka, by być zarówno aniołem, jak i zostać tutaj. Przecież jest nam razem dobrze...

Przetarła oczy rękawem i przeszła do pokoju. Kłameczuch dalej leżał na pilocie, wzięła go więc na kolana i włączyła telewizor.

...Kolejne doniesienia w sprawie tragedii w budynku Bocor&Wanga. – Reporterka, zgrabna Mulatka w różowym kostiumie, mówiła wyraźnie i bez emocji. – Znana jest już oficjalna liczba ofiar szaleńca. Według policji napastnik zastrzelił osiemnaście osób, cztery ranił, a potem wyskoczył przez okno sali konferencyjnej. Tak przynajmniej brzmi wersja oficjalna, ponieważ nie znaleziono ciała. Zupełnie jakby rozplynęło się w powietrzu... O komentarz poprosiliśmy prezesa Bocor&Wanga, pana Martina Loa Freemana...

Jenny wyłączyła telewizor. Dość miała własnych kłopotów, by słuchać jeszcze o cudzych. Wstała i wyszła do łazienki umyć twarz.

Gdy wróciła, na stoliku stał bukiet róż. A Loki w progu kuchni popijając kawę Michała.

– Chciałem przeprosić, że się spóźniłem – powiedział z uśmiechem – ale widać udało mi się przyszczędzić to magiczne słówko, bo to pan tatuaz i blizna się spóźnia. Widać, że...

– Powiedz mi coś, Loki. Tylko nie kłam. – Jej głos zabrzmiał bardziej stanowczo, niż sobie tego życzyła, ale było już za późno, żeby się wycofać.

Zdumiony Kłamec pokiwał głową.

– Zamierzasz mnie zostawić?

Zawahał się.

– Nie – powiedział po chwili. – Nie zamierzam.

Gdyby odpowiedział od razu, wiedziałyby, że łże. Teraz nie miała pewności. Spojrzała na niego – ubranego w rozciągnięty sweter, z potarganymi włosami i z kubkiem w dłoni. Wyglądał tak... normalnie. I sprawiał wrażenie szczęśliwego. W tym momencie poczuła, że tak naprawdę nie potrzebuje żadnych gwarancji.

Podeszła do łóżka i podniosła Kłameczucha. Cisnęła nim w Lokiego.

– Masz go! – powiedziała. – Strasznie się za tobą stęsknił.
Kłamca spojrział z uśmiechem najpierw na miśka, a potem na Jenny.
– Mam nadzieję, że nie on jeden.

...tak i ja was posyłam

Idźcie, jesteście posłani

Barcelona



arty rozmyły się na krótką chwilę w jedną błękitną smugę. Dla obstawiającego turysty, Mike'a Connely'ego, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, czy patrzy wystarczająco uważnie, przeniósł więc wzrok na rozdającego, pragnąc wyczytać cokolwiek z jego oczu. Cokolwiek oprócz satysfakcji.

Na piknikowym stoliku leżało prawie pięćdziesiąt euro. Tyle zdążyło się uezierać w ciągu ostatniej, emocjonującej półgodziny wyrównanego pojedynku. Mike'owi – szczupłemu, znakomicie opalonemu Amerykaninowi w kremowym garniturze, nie zależało na tych pieniądzach, ale nie lubił przegrywać. I aż do tej pory wszystko wskazywało na to, że nie ma się czym martwić.

Chłopiec za stolikiem mógł być przecież całkiem niezły jak na pasaż dla turystów w Barcelonie, ale z pewnością nie dość dobry dla bywalca „Caesar's Palace”. Przy szybkim tasowaniu ustawiał karty bokiem pod takim kątem, że nim dotknęły stołu, można było zauważyć, którą z nich ma na dole. Jeżeli dama kier – po sprawie. Jeśli nie, ryzyko wynosiło dokładnie pięćdziesiąt procent. W grze to tyle co nic.

Tym razem jednak Connely nic nie podejrzwał. Dłonie chłopca poruszały się z niesamowitą szybkością, a ręce ułożone były prawidłowo. A potem karty opadły na stół.

– Raz, dwa, trzy – powiedział wesoło rozdający i odgarnął z oczu złocisty lok. Gdyby chciał, z całą pewnością mógłby zarabiać jako model. Miał pogodną, chłopięcą twarz, a do tego znakomicie wyrzeźbioną sylwetkę podkreśloną przez obcisłą białą koszulkę. Tak wyglądałyby cherubinki z obrazu Santiago, gdyby dorosły do szkoły średniej. – Jak poprzednio. Czarne przegrywa, czerwone wygrywa. Jedna karta idzie w górę.

– Jasne. – Amerykanin pokiwał głową i po chwili namysłu pacnął w kartę po lewej.

Zgromadzony wokół tłum gapiów mimowolnie wstrzymał oddech.

Rozdający westchnął głośno i rozłożył ręce.

Daje mi chwilę tryumfu – pomyślał turysta, wiedząc już, że przegrał. – *A ludzi karmi suspensem. Rzeczywiście jest niezły.*

W końcu chłopiec podniósł kartę, która okazała się być waletem pik. Udał zdziwienie i wzruszył ramionami przepaszając. Mike uśmiechnął się. Właściwie nie czuł goryczy porażki. Bawiło go, że dał się tak zrobić. Może to oduczy go szarżowania i zbytnej pewności siebie. Bóg jeden świadkiem, że miał jej za dużo. A parę euro nie stanowiło zbyt wygórowanej ceny za taką lekcję.

Ucisnął wyciągniętą dłoń chłopca i odwrócił się, by odejść od stolika. Gapie rozstąpili się, robiąc mu drogę. Tylko szczupły mężczyzna w czarnej koszulce i wielkich okularach przeciwsłonecznych stał dalej jak wmurowany w bruk. W zębach miał wykałaczkę, a w lewej ręce trzymał poskładaną białą laskę.

Ślepy i karty? – zdziwił się w myślach Mike, lekko ocierając się piersią o bok niewidomego.

– Sorry, znaczy... perdone – powiedział.

– Nie ma sprawy – mruknął tamten po angielsku i trącił go złożoną laską, żeby szybciej przechodził.

Connely'ego tak rozśmieszyła bezpośredniość ślepeca, że zupełnie zapomniał już o przegranej. Pogwizdując, ruszył w stronę postojów taksówek.



Złotowłosy chłopak złożył stół i wpakował go do leżącej obok torby podróżnej. Potem przeliczył zarobione pieniądze. Nie było wątpliwości, że trafił mu się dobry dzień. Za to właśnie naprawdę lubił Amerykanów – grali o duże stawki i zawsze traktowali to tylko jako zabawę. Jeszcze nie zdarzyło się, by

którykolwiek robił awantury.

Chłopak włożył pieniądze do tylnej kieszeni i podniósł torbę.

– Przepraszam – rozległo się za jego plecami. – Czy można zagrać?

Odwrócił się i dostrzegł ubranego na czarno niewidomego. Mężczyzna niby wyglądał na dwudziestoparolatka, ale trudno było powiedzieć to na pewno. Miał bardzo pospolite rysy, a do tego źle dobrane okulary zasłaniały mu nieomal pół twarzy.

Chłopiec widział go już wcześniej kilka razy. Dzisiaj też czał się w tłumie przez cały czas. Widać zbierał siły, by w końcu spróbować.

– Już wszystko zwinąłem, przyjacielu. – Blondyn uśmiechnął się, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że nieznajomy i tak nie może tego zauważyć. – A poza tym nie boisz się, że mógłbym cię oszukać? Powoli robi się ciemno i nie ma tu w tej chwili aż takich tłumów. Wszyscy rozleźli się po knajpkach.

– Wiem, że jest późno – odparł mężczyzna poważnie. Namacał ręką kieszeń koszuli i wyciągnął z niej pudełeczko wykałaczek. – Niewidomi nie tracą poczucia czasu, a poza tym czuję, że robi się chłodniej. Nie sądzę też, żebyś chciał mnie oszukać. A gdyby tak było, nie pomogłoby, gdybym widział. Jakoś w końcu musiałeś zapracować na te markowe ciuchy i buty. Takie nosił Michael Jordan, prawda? Mówią na nie *latające Nike*.

Młody człowiek uniósł zdumiony brwi.

– Skąd...

– ...wiem, jak wyglądasz? To bardzo proste. – Niewidomy uniósł rękę, w której zmaterializował się pistolet. – Ja cię widzę, Hermesie. Jak na cholernej dłoni.

Blondyn zareagował instynktownie. Od lat bał się, że taka chwila kiedyś nadejdzie, i nie ustawał w ćwiczeniach, by być na nią gotów.

Wziął zamach i cisnął torbę w napastnika, po czym zaczął uciekać.

Pędził pasażem, mijając spacerujących wolno turystów i ani na moment nie oglądając się za siebie. Wiedział, że fałszywy niewidomy nadal tam jest, nie potrzebował tego sprawdzać. Pewnie nawet już ruszył za nim.

Ale oczywiście nie uda mu się mnie dogonić – pomyślał Hermes, przyspieszając. – *Byłem przecież cholernym posłańcem cholernego Zeusa. Nikt nie jest szybszy ode mnie.*

Przeskoczył przez ławeczkę, na której obściskiwała się namiętnie jakaś para. Podeszwa jego buta musnęła czubek głowy chłopaka, ale on, przyssany do dziewczyny, nawet tego nie zauważył. Zareagowali natomiast klienci jednej z restauracji, nagradzając oklaskami nieprawdopodobny skok.

Grecki bóg pędził dalej.



Loki ściągnął okulary i schował pistolet. Nawet przez myśl mu nie przyszło, by gonić za Hermesem. To tak samo, jakby próbować złapać wiatr. Poza tym po co miał się męczyć, skoro wszystko szło zgodnie z planem?

Poprawił słuchawkę w uchu nieco zły, że Rafael znowu nie znalazł dość czasu, by zaangażować się w sprawę i połączyć ich wszystkich telepatycznie. *Po cholere im w ogóle taka umiejętność, skoro z niej nie korzystają?* – pomyślał. Uniósł nadgarstek.

– Faza druga, panowie – powiedział cicho do umieszczonego w rękawie mikrofonu.

Gdy usłyszał potwierdzenie, powoli ruszył przed siebie, recytując pod nosem stare zaklęcie. Na pasaż niemal w jednej chwili opadła gęsta mgła.



Gdy powietrze zaczęło gęstnieć, Hermes zwolnił odrobinę. Nie znał na pamięć rozstawienia stoisk ulicznych handlarzy i artystów, a wołał nie ryzykować zderzenia z którymś z nich. Jeszcze tylko kawałek i dotrze do pomnika Kolumba, a potem to już pójdzie jak z płatka. Jeszcze tylko kawałek...

Ktoś wyskoczył z mgły i usiłował złapać go za ramię. Hermes wyrwał się bez trudu i nawet nie stracił wiele na prędkości. Napastnik miał piękne oczy i kruczoczarne włosy. Według artystów tak właśnie wyglądali aniołowie.

Kurwa! – zaklął w myślach grecki bóg. Tego się właśnie najbardziej obawiał. Skoro raz go namierzyli, zrobią to ponownie. Zwłaszcza że mają na usługach tego nordyckiego boga. Jak mu było? Hermes gdzieś już o nim słyszał...

Loki, tak właśnie – skojarzył. – *Ciekawe, czy to on był tym ślepcem.*

Pasaż skończył się i w mgle zamajaczył cokół pomnika. Uciekinier skręcił lekko na bok, sprężył się i wyskoczył do góry.

Z jego butów, w miejscach, gdzie umieszczono logo firmy, rozwinęły się małe złociste skrzydełka. Trzepocząc jak kolibry, unosiły boga w górę coraz wyżej i dalej.

Już był na wysokości twarzy Kolumba, gdy nagle nad nim pojawiły się cienie. W pierwszej chwili pomyślał, że to harpie, bo miały ludzką sylwetkę, a do tego skrzydła, ale zaraz zdał sobie sprawę, że istnieją na świecie znacznie okrutniejsi prześladowcy.

Błyskawicznie zawrócił, pragnąc ukryć się we mgle, ale w tym samym momencie opadła na niego siatka i z ogromną siłą pociągnęła Hermesa w dół.

Uderzył o ziemię z głośnym łoskotem, słysząc, jak pękają mu zębra. Ból przyszedł zaraz potem i ogarnął z miejsca całe ciało.

Loki wyłonił się z mgły. W niczym nie przypominał już niewidomego. Ubrany był w czarny garnitur bez kamizelki oraz czarną koszulę. Włosy zaczesane miał na mokro do tyłu, a do butonierki włożył krwistoczerwoną chustkę.

Idąc, rozmawiał przez telefon i chwalił się komuś swym ogromnym sukcesem. Hermes nie miał wątpliwości, że chodzi o niego.

– I po co było uciekać? – Kłamca skończył rozmawiać i przykucnął przy spętanym posłańcu. Telefon położył na ziemi, a sam sięgnął po pistolet. – Przecież mogłeś się domyślić, że tak się to skończy.

Z kieszeni wyciągnął tłumik i dokręcił go do broni. Potem wstał i wycelował w głowę greckiego boga.

– A teraz powiesz mi, co chcę wiedzieć, a ja pozwolę ci żyć, Hermesie. Gdzie znajduje się królestwo Hadesa?

Młodzieniec zamrugnął gwałtownie. Chodziło im tylko o to? Po co im zapomniane królestwo podziemi, gdzie od dawna nie było już żadnej nowej duszy? A kto wie, może i nie ma już starych.

I naraz Hermes przypomniał sobie, co spotkało cały Olimp, gdy aniołowie przybyli obwieścić bogom ich zmierzch. To było dawno temu, a na dodatek bóg-posłaniec nie widział samej bitwy, ale mimo wszystko widok pogorzeliśka pozostawił w nim niezapomniane wrażenie. A teraz szukali królestwa Hadesa...

– Nie mam pojęcia, gdzie ono jest, naprawdę – zapewnił. – Od wieków tam nie byłem, a...

Loki wycelował mu w brzuch i strzelił. Rozległo się ciche puknięcie, a potem wnętrzości Hermesa zapłonęły żywym ogniem.

– Wierzę ci – powiedział Kłamca, chowając broń. – Ale to znaczy mniej więcej tyle, że do niczego nie jesteś mi potrzebny. A szkoda.

Odwrócił się i spojrzał na stojące wokół anioły.

– Niech nikt nie waży się go dobijać. Podobno cierpienie uszlachetnia, dajcie mu więc czas w samotności, by jego charakter nabrał odpowiednich rysów.

Powoli ruszył w stronę wciąż pogrążonego we mgle pasażu.

– Jak sobie coś przypomnisz, to krzycz – dodał, nie odwracając się. – Mamy na podorędziu archanioła, dla którego takie rany to ledwie draśnięcia.

Hermes przyglądał się, jak Kłamca znika, a zaraz potem jak kolejni aniołowie zgodnie z rozkazem unoszą się w górę.

Gdy został sam, powoli odwrócił głowę i uśmiechnął się.

Proszę, taki cwaniak, a zapomniał o telefonie – pomyślał. Chwilę zajęło mu, zanim wyplątał rękę z sieci, ale w końcu dosięgnął aparatu.

Wygrzebał z pamięci numer, na który miał zamiar nigdy nie dzwonić. Wystukał go i czekał, aż

rozlegnie się sygnał. Nikt nie nagrał tu żadnego powitania.

– Zeusie, mamy kłopoty... wszyscy.

Palermo, Sycylia

Alfred Jabłoński był niewątpliwie najlepszym recepcjonistą, jakiego kiedykolwiek w swej stuletniej historii miał hotel „Olimpia”.

Był bezdzielnym kawalerem całkowicie oddanym rozlicznym zawodowym obowiązkom. Zawsze miły i uprzejmy, biegle władał sześcioma językami i jakimś cudem zawsze wiedział dokładnie, czego dany klient oczekuje. Nigdy nie miał skarg, że pokój jest zbyt nasłoneczniony albo przeciwnie, że cały dzień jest w nim ciemno. Znał wszystkie plusy i minusy hotelu i potrafił tak nimi żonglować, by wszyscy byli autentycznie zadowoleni.

Pomimo swych sześćdziesięciu ośmiu lat bez problemu mógłby donieść walizki na ostatnie piętro hotelu, co zresztą zdarzało mu się robić, gdy z windą było coś nie tak, a boy miał akurat dzień wolny. Jakby tego było mało, kontrolował księgowość i nadzorował wszystkie hotelowe wydatki.

Zawsze schludnie ubrany, punktualny i oszczędny w słowach – idealny pracownik... aż do zeszłego tygodnia.

Wtedy to właśnie syn właściciela sprowadził do recepcji komputer.

– To dla ciebie, Alfredzie – powiedział, stawiając na kontuarze wielkie pudło i ocierając pot z pulchnej, różowej twarzy. Boy ostrożnie postawił na podłodze kolejny tekturowy sześciennik i pognął na zewnątrz po pozostałe. – To urządzenie z pewnością ułatwi ci pracę. Nie mogę już patrzeć, jak się męczysz.

Alfred uprzejmie skinął głową, choć wcale nie podzielał entuzjazmu pracodawcy. Jak się okazało, słusznie...



– Przepraszam.

Alfred oderwał wzrok od monitora. Przez krótką chwilę widać było na jego twarzy znużenie i beznadziejność wywołaną brakiem zrozumienia dla nowych technologii. Zaraz jednak recepcjonista wyprostował się i strzepnął z piersi niewidzialny pyłek. Potem z uśmiechem spojrzał na stojących po drugiej stronie kontuaru dwóch mężczyzn ubranych w czarne garnitury.

– Czym mogę służyć? – zapytał pewnym, mocnym, choć niepozobawionym odrobinki łagodności głosem. To także był jego atut. Gdy tak mówił, jego rozmówca niezależnie od urodzenia i stanu posiadania czuł się doceniony.

– Mam rezerwację w tym hotelu – powiedział pierwszy z mężczyzn, niski grubas o czarnych kręconych włosach i pulchnej, ale pocziwej twarzy filmowego braciszka Tucka. – Nazwisko Chus. Przez *ceha*.

Alfred odruchowo sięgnął pod blat po książkę rezerwacji. Zaraz jednak westchnął ciężko i przeniósł dłonie na klawiaturę. Wolno wstukał nazwisko, odczekał chwilę, sprawdzając, czy wszystko jest wprowadzone poprawnie, po czym zatwierdził, dokładnie tak, jak uczył go boy przez ostatni tydzień. Usłyszał nieprzyjemny dźwięk, a na ekranie pojawił się komunikat o błędzie. Spróbował ponownie, ale dokładnie z tym samym efektem. Alfred zawahał się, rozważając, czy nie powinien zadzwonić do domu boya i zapytać, co zrobić w tej sytuacji. W końcu zdecydował, że w żaden sposób nie poprawiłby tym wizerunku hotelu w oczach tych dwóch dżentelmenów.

– Najmocniej panów przepraszam – powiedział, sięgając ręką do szuflady i wyciągając stamtąd doskonale zachowaną książkę. – To po prostu nowy nabytek i jeszcze...

– Nic nie szkodzi – zapewnił gruby, uśmiechając się ciepło. – Nie spieszy się nam aż tak bardzo, prawda?

Jego towarzysz, przystojny, krótko przystrzyżony blondyn o niezwykle niebieskich oczach, wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie, jakby sprawa w ogóle go nie dotyczyła.

Alfred otworzył książkę i w mig znalazł właściwe nazwisko.

– Zgadza się. Panowie Bartolomew i Andrew Chus?

Przystojny blondyn parsknął śmiechem, szturchnięty jednak przez towarzysza zaraz się opanował

i wlepił wzrok w wiszący nad recepcją zegar. Grubas tylko pokręcił głową.

– Nie, szanowny panie. Ja nazywam się Bartolomew Andrew Chus, używam obojga imion. A mój towarzysz ma osobną rezerwację. Na nazwisko Ros. Przez jedno es. Eliot Ros.

– Oczywiście – błyskawicznie potwierdził Alfred. Był tak zawstydzony, że zrobiłby to, nawet gdyby zmuszano go do przyznania się do morderstwa.

Ściągnął właściwe klucze z tablicy i podał je gościom.

– Proszę i życzę miłego pobytu w naszym hotelu. Chus ponownie się uśmiechnął.

– Czy nie powinniśmy czegoś najpierw podpisać? Zameldować się albo co?

– Ach, tak, rzeczywiście. – Drżąca ręka recepcjonisty podsunęła grubemu formularz, a zaraz potem podała pióro.

Gdy obaj goście wypełnili wszelkie formalności i zniknęli w windzie, Alfred po raz ostatni spojrzął na komputer.

Niemal bezwiednie sięgnął po pióro i kartkę, po czym w kilku słowach pożegnał się z pracą. Napisał, że z żalem odkrył, iż nie jest w stanie podołać nowym stawianym przed nim obowiązkom i że jest mu niezmiernie przykro, ale nie widzi już dla siebie miejsca w hotelu. Zaadresował list do właściciela, położył w widocznym miejscu i wezwał jednego z młodych kelnerów, by go zastąpił w recepcji.

Gdy chłopiec przybiegł cały w skowronkach, że nie musi już pomagać w kuchni, recepcjonista podniósł swoją walizeczkę, przewiesił płaszcz przez ramię i wyszedł.

Nigdy więcej nie pojawił się już w „Olimpii”.



– Nie musiałeś się z niego śmiać, Erosie – powiedział Chus, gdy byli już w windzie. – I bez tego facet jest kłębkiem nerwów.

Blondyn skrzywił się z niesmakiem.

– Gdzieś mam problemy tego śmiertelnika, Bachusie. Mogę się śmiać, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota. A już zwłaszcza gdy widzę, jak ktoś stary i mało pociągający zachowuje się przy tym jak idiota.

– Tak, kompletny kretyn. – Grubas podrapał się po głowie i zwilżył końcem języka grube, nabiegłe fioletem i spierzchnięte wargi. – Oczywiście zapomniałeś, jak po raz pierwszy dostałeś do ręki telefon komórkowy? Właściwie to można powiedzieć, że problemy naszego przyjaciela, pomimo że jest on człowiekiem, były dziś prawdziwie boskie, nie?

Eros posłał mu gniewne spojrzenie i uniósł prawą rękę z wyprostowanym środkowym palcem. Bachus parsknął śmiechem. Cichy dzwonek i rozsuwające się drzwi windy oznajmiły, że dojechali na miejsce.

Pokój wart był swej ceny. Przez olbrzymie okna widać było przepiękną panoramę miasta, a stojące na środku łóżko z baldachimem kusiło legionem przywdzianych w jedwab poduszek. Ściany pomalowano na lazurowy błękit, a na podłodze leżał bujny zielony dywan.

Naprzeciwko łóżka stały dwa fotele o przepięknie rzeźbionych poręczach. A między nimi zgrabny sekretarzyk, na którym ustawiono olbrzymi kosz z owocami.

– I co ty na to? – zapytał Bachus, kładąc klucz obok kosza. – Czy nie wygląda wspaniale? Jak w domu.

– Nie wiem jeszcze, jak wygląda mój pokój. Ale skoro ty go wybierałeś, pewnie równie uroczo jak młoda dziewczyna pierwszy raz na dionizjach – mruknął leniwym, niskim głosem Eros. – Czy też, jak wolisz, bachanaliach.

Gruby obejrzał się i ujrzał towarzysza rozłożonego na pościeli i wpatzonego w pofałdowany baldachim.

Pokręcił głową i podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę.

– Dziewczyny się spóźniają i strasznie dziś gorąco. Zamówię butelkę wina. – Odczekał chwilę, dając Erosowi czas na odpowiedź. Gdy ta nie nastąpiła, spróbował ponownie: – Co ty na to?

– A od kiedy to pytasz mnie w tej sprawie o zdanie? – zakpił bóg miłości. – I czy jeśli powiem, że to nie najlepszy pomysł, to zrezygnujesz? Nie do wiary!

Język Bachusa znów przemknął po wysuszonych wargach.

– Mogę wiedzieć, co cię ugryzło? – Słuchawka powędrowała na widelki, a w ręce grubego zmaterializowała się butelka. Nie miał czasu czekać. Konflikt należało rozwiązać przed robotą, a jemu źle się myślało o suchym gardle.

Postawił butelkę obok klucza i niemal w tym samym momencie w jego lewej dłoni zaiskrzyły dwa kryształowe kieliszki. W prawej pojawił się korkociąg w kształcie tańczącej bachantki.

– Bo jeśli chodzi ci o to, co powiedziałem w windzie, to doprawdy zaskakujesz mnie. Myślałem, że przez te wszystkie lata zrozumiałeś, o co w tym chodzi. Śmiertelni są ważni, Erosie. – Przerwał na moment mocowanie się z korkiem. – Jesteśmy od nich silniejsi i znamy sztuczki, o których oni marzą, ale to dzięki nim istniejemy. Dzięki temu, że w nas wierzą.

Podszedł do łóżka i podał towarzyszowi wypełniony krwistą czerwienią kieliszek. Sam opróżnił swój jednym haustem.

– Dajemy im te jabłka, by spotęgować ich wiarę, ale nie możemy sami jej stworzyć. Nie możesz o tym zapominać.

Ktoś zapukał do drzwi. Bachus postawił kieliszek na podłodze i poprawił krawat. Potem poszedł otworzyć.

Za progiem stała prześliczna mulatka o długich włosach splecionych w setkę drobnych warkoczyków. Ubrana była w dobrze dopasowaną suknię bez pleców i z dużym dekoltem. Poza, jaką przyjęła, świadczyła dobitnie, że wie, jak wywoływać wrażenie. Lewą rękę oparła na biodrze, a prawą nogę odstłoniła, wysuwając ją lekko do przodu.

Na jej widok Bachus znów się obliżał.

– Witaj, złotko! – Zrobił krok do przodu i ucałował ją w policzek. – Już jesteście?

– Tak, dziewczyny krążą po piętrach. Trochę miałyśmy problemów, żeby was znaleźć. Chłopak w recepcji tak się ślinił, aż zachlapał cały kontuar. I nie potrafił sklecić porządnie jednego sensownego zdania.

Grubas parsknął śmiechem. Znał dziewczyny od pięciu lat i wiedział, do czego są zdolne. On sam, pamiętał to dobrze, z trudem się opanował, gdy Eros przyprowadził je po raz pierwszy. Powiedział wtedy, że właśnie je nawrócił i one chcą odtąd służyć im pomocą. Oczywiście skorzystali...

– Kto dzisiaj? – zapytała dziewczyna.

Bachus wyciągnął z kieszeni spodni kartkę.

– Wymyśliliśmy, że najlepszy na dzisiaj byłby ten słynny okularnik od komputerów. Ten, co kiedyś zwykle chodził w swetrach. Ponoć jest w mieście i do tego incognito. Tu masz nazwę hotelu i wszystkie potrzebne informacje. Tylko się pospieszcie, bo jesteśmy już troszkę spóźnieni. Aha, i podejdźcie do niego ostrożnie. Facet jest obrzydliwie bogaty i może bać się prowokacji. I jeszcze...

Dziewczyna postąpiła krok i położyła mu palec na ustach.

– Wiem, co robić, panie. Znam się na tym.

Grubas uśmiechnął się.

– Wypijmy więc za pewny sukces!



Czarnowłosa piękność zgrabnie zsunęła się z poręczy fotela. Podeszła do stolika i wyjęła z kosza kiść winogron. Gość powiódł za nią spragnionym wzrokiem.

Eros uśmiechnął się. Sprawa wyglądała na niemal załatwioną... a tak naprawdę jeszcze jej nawet poważnie nie zaczęli.

Z łazienki wyszła druga ślicznotka, bliźniaczo podobna do pierwszej. Obie usiadły na łóżku po obu stronach okularnika. Ręka pierwszej pomknęła ku nodze mężczyzny, druga wplotła smukłe palce w jego włosy powyżej karku. Zdaniem Erosa nastrój sprzyjał poruszaniu poważnych tematów.

– Wydaje mi się, drogi przyjacielu, że powoli wypadałoby przejść do konkretów – powiedział Chus, czerwony bardziej niż zwykle, splatając ręce na ogromnym brzuchu. Tak mógł wyglądać Churchill w latach młodości. – Mamy pewne plany... Cóż, plany dotyczące twojej osoby.

Gość spał się gwałtownie i stracił błędzącą po jego udzie dłoń.

– Czy to porwanie?! Bo jeśli tak, to zaręczam, że nie ujdzie wam to płazem. Moi...

– Nie, przyjacielu, to nie porwanie – zapewnił grubas. Mówił spokojnym głosem, nie przestając uśmiechać się przyjaźnie. – Właściwsze byłoby użycie określenia: zaproszenie na spotkanie teologiczne.

– Jestem niewierzący... – stwierdził gość, ściągając okulary i przecierając je nerwowo o koszulę. Zawahał się, po czym dodał: – Ale oczywiście szanuję wszystkie religie.

Eros posłał Bachusowi zniecierpliwione spojrzenie.

Teraz ja – powiedział bezgłośnie.

Gruby bóg wzruszył ramionami i głębiej wbił się w fotel.

– Bardzo nas to cieszy, proszę pana – stwierdził Eros. – Szacunek to ważna rzecz. A co się tyczy pańskiej wiary, jest jedna kwestia, o którą chciałbym zapytać. Jeśli oczywiście nie jest to zbyt osobiste pytanie. Czy gdyby nagle stanął pan w obliczu cudu, stałby się człowiekiem wierzącym?

Gość wyraźnie zbity z tropu przebiegiem rozmowy zastanawiał się dość długo. Zgrabna dłoń rozpinająca jego koszulę wcale mu w tym nie pomagała.

– Tak, wydaje mi się, że wtedy z pewnością – odpowiedział w końcu.

– Bynajmniej. – Bóg miłości pokręcił głową. – Ale właśnie takiej odpowiedzi się spodziewałem. Tyle że to nie byłaby już wiara, a nietypowe doświadczenie, które odmieniło pańskie życie. Dlatego tak trudno być człowiekiem wierzącym. Jest nim tylko ten, kto nic z tego nie ma, ale wierzy, że kiedyś dostanie. I zwykle sam jest zmuszony dawać. Czyż nie?

Rozległo się cichutkie pukanie i kolejna piękność, tym razem blondynka, weszła do pokoju. Oparła dłonie na biodrach i z udawanym rozniewaniem zapytała:

– Długo jeszcze? Dziewczyny się niecierpliwią.

– Powiedz im, że to jeszcze chwilę potrwa – wybełkotał Bachus. – Niech się czymś ponacierają albo co...

Blondynka prychnęła i skinęła na siedzące na łóżku koleżanki.

Wszystkie trzy wyszły z pokoju.

– Na czym to ja stanąłem? – zapytał Eros, gdy zostali sami.

– Mówił pan coś o... – zaczął gość wciąż wpatrzony w drzwi.

– Żaden pan. Po prostu Eliot – wtrącił bóg miłości z uśmiechem króla akwizytorów. – I już sobie przypomniałem. Mówiłem o wierze i jej bezsensowności. Bo to, że nie ma ona sensu, sam pan potwierdził. Czy gdyby była ona opłacalna, taki biznesmen jak pan pozwoliłby sobie na jej brak? Brak wiary jednak nie musi oznaczać ateizmu...

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

– I tu właśnie wkraczamy my. Chcemy panu zaproponować religię, która... nie wymaga wiary. Nasi wyznawcy nie wierzą, oni wiedzą.

Gość ponownie zdjął okulary i wytarł szklą o rąbek koszuli. Na jego czole pojawiły się wielkie krople potu.

– Jesteście jakąś sektą? – zapytał w końcu. – Macie farmy, krowy i...

– Pewnie. – Bachus podrapał się po brzuchu. – Przechowujemy też świadków koronnych dla FBI, a w stołach trzymamy kosmitów. Jak wszyscy.

– Proszę wybaczyć, mój przyjaciel naoglądał się stanowczo za dużo filmów. My jesteśmy religią, proszę pana. Najwspanialszą ze wszystkich. Religią uwodzicielskich faktów.

Mężczyzna łożył okulary na nos i rzucił ukradkowe spojrzenie w stronę drzwi. Uśmiech na twarzy Erosa tylko się poszerzył.

– Potrzebny dowód? – zapytał. – Proszę. Niech pan określi swoje preferencje seksualne.

– Panie... Eliot, ja naprawdę nie rozumiem, po co...

– Krótkie pytanie, krótka odpowiedź.

– Heteroseksualny – niemal wyszeptał gość. Bachus skrzywił wargi w uśmiechu.

– Nie ma się co wstydzic – stwierdził Eros. – Dzisiaj to już normalne... Ale w związku z tym raczej nie ma możliwości, bym zainteresował cię... powiedzmy... bliżej, prawda? A już zwłaszcza po ekscesach,

jakich dokonały nasze przemiłe przyjaciółki?

– Nie ma takiej możliwości – stanowczo stwierdził gość. – W żaden sposób.

– Czyli, jak rozumiem – drążył dalej bóg miłości – taki fakt mógłby mieć miejsce tylko cudem?

Okularnik podniósł się z miejsca wzburzony.

– Zupełnie nie rozumiem, czemu mają służyć te insynuacje, ale nie życzę sobie, by ktoś...

– Tak właśnie myślałem. – Eros skinął głową i przymknął oczy. Wstał powoli i zdjął marynarkę, potem rozpiął koszulę.

Gość wiedział, że powinien wyjść, ale, zupełnie nie wiedząc czemu, wcale nie miał na to ochoty. Tłumaczył sobie, że bawi go ta cała sytuacja i zostaje, tylko by wykazać tym dwóm, jak bardzo się mylą. W głębi serca wiedział jednak, że nie o to chodzi. Tak naprawdę nie potrafił oderwać wzroku od opalonych, doskonale umięśnionych ramion blondyna, od jego idealnego torsu widocznego spod rozpiętej koszuli. I nagle wszystko zniknęło w rozbłysku białego światła.

Blask, mimo że oślepiający, nie ranił oczu, a gdy zniknął, nie zostawiał powidoków. Okularnik zamrugął kilkakrotnie. I wtedy też dostrzegł, co się stało.

Eros wciąż stał przed nim, teraz jednak całkowicie nagi. Jego skóra lśniła jakby właśnie natarta oliwą, a włosy wydłużyły się i zawinęły w loki. Bóg miłości trzymał głowę lekko opuszczoną i oddychał płytko. Potem otworzył oczy i spojrzał na gościa.

Wtedy wszystko przestało mieć znaczenie. Bo w oczach Erosa właśnie krył się cud. Swe schronienie znalazła tam cała ludzka pożądliwość, niezliczone marzenia o cielesnej rozkoszy i wszelkie mity, jakie kiedykolwiek na jej temat powstały... Bóg miłości zrobił krok i wyciągnął rękę w stronę siedzącego na łóżku okularnika. Ten marzył już tylko i wyłącznie o spełnieniu. Tym, które mógł mu dać stojący przed nim nagi mężczyzna. Tym, które kryło się w jego oczach...

– Dość, kochasie! – rozległ się z oddali głos Bachusa. Rozbłysnęło światło i wszystko wróciło do normalności.

Eros jak gdyby nigdy nic siedział na fotelu ubrany w swój srebrny garnitur, a stojący obok bóg wina popijał z cały czas pełnego kieliszka.

Gość starał się ze wszystkich sił opanować rozszalałe serce. Bachus, zataczając się lekko, podszedł do stolika i z kosza owoców wyciągnął jabłko.

– Niezwykłe przeżycie, prawda? – zapytał, nie kryjąc rozbawienia. – Ja sam znam parę sztuczek, ale gdzież im się równać z czymś takim!

Sięgnął po mały srebrny nożyk leżący obok kosza i przekroił jabłko na cztery części. Wziął jedną ćwiartkę i podał gościowi. Z uśmiechem patrzył, jak tamten bierze ją i zjada.

– Przejdźmy do interesów – powiedział po chwili Eros. – Proponujemy panu zostanie naszym wyznawcą. Ze swojej strony oferujemy obecność i od czasu do czasu pomoc w jakiejś trudnej sprawie. Oczekujemy tylko, że będzie pan o nas pamiętał i uzna za bogów. Resztę szczegółów uzgodni pan już z naszymi asystentkami, które czekają w pokoju obok.

– Nie są tak dobre jak mój przyjaciel. – Bachus uśmiechnął się lubieżnie. – Ale wystarczą... wierz mi.



– Zasłużyliśmy na buteleczkę z moich najlepszych rezerw – zakomunikował całkiem trzeźwym głosem Bachus.

Eros skrzywił się z niesmakiem:

– Ostatnio za dużo pijesz – powiedział, rzucając się na łóżko. – Stanowczo za dużo. Będzie ci śmierdziało z ust.

– Jestem przecież pieprzonym bogiem wina. – Grubas obruszył się. – To tak, jakby tobie miały zaszkodzić dziwki.

Pstryknął palcami. Butelka uformowała się do połowy, po czym nagle błysnęła parę razy i spadła. Migotliwa zawartość rozlała się po podłodze.

– Co jest, kurwa? – wrzasnął zaskoczony Bachus.

– Jak zwykle okazałeś się niezdarą – usłyszeli bogowie od strony okna. Obaj spojrzeli w tamtym kierunku.

Na parapecie siedziała dziwna, na wpół przezroczysta złotawa istota wyglądająca, jakby postanowiła się skroplić, ale pod koniec owego procesu zmieniła zdanie. Niewielkie drobinki wody, które nie wiadomo skąd wzięły się nagle wokół niej, teraz przyklejały się jedne do stóp, inne do pośladków przybyłego. Ten, zupełnie nie zwracając na to uwagi, podrapał się niematerialnym palcem po niematerialnym nosie i sięgnął do przezroczystej kieszeni po nie do końca istniejące papierosy. Eros, który częściej widywał takie pokazy, dość szybko zorientował się, z kim ma do czynienia.

– Starzejesz się, Gromowładny – powiedział z uroczym, ale złośliwym uśmiechem. – Wracasz do starych pomysłów. Złoty deszcz? Czyżby umysł nie funkcjonował już tak jak...

Postać zapaliła papierosa. Powoli nabierała kolorów, stając się przystojnym, na oko sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Teraz i Bachus dopatrzył się w przybyszu cech pana Olimpu.

– Czego tu chcesz? – warknął. – Nikt cię tu nie prosił, stary capie.

Zeus zaciągnął się papierosem i puścił kółko z dymu.

– Może trochę więcej szacunku – powiedział. – Jestem w końcu twoim ojcem.

– O tak – zgodził się bóg wina. – *Ojciec Wirgiliusz liczył dzieci swoje, a miał ich wszystkich sto dwadzieścia troje* – zaśpiewał, potwornie fałszując. – A czym ojcem nie byłeś?

– Moim – powiedział krótko Eros.

– Co?

– Mówię, że ja nie jestem jego synem.

Bachus posłał przyjacielowi pogardliwe spojrzenie.

– No tak, to akurat wiemy od twojej matki. Gziła się ze wszystkimi prócz męża, no tak czy nie? – Ponownie przeniósł wzrok na Zeusa. – Pytałem, czego tu chcesz?

– Uspokój się, Dionizosie – rzekł ten pojednawczo.

– Tylko nie Dionizosie! Zmieniłem imię na rzymskie, żeby nie mieć z tobą nic wspólnego! Mów, czego chcesz, albo spłyni rynną!

Bóg gromów zgniótł niedopałek o parapet i westchnął ciężko.

– Odebrałem dziś wiadomość ze skrzynki kontaktowej. Hermes nie żyje, a my wszyscy mamy poważne kłopoty...

– Co się stało? – Grubasowi zaczęły trząść się ręce. Pospiesznie stworzył kolejną butelkę i łyknął z gwinta. Dopiero po chwili przypomniał sobie o kieliszku. Stworzył go zaraz i podał ojcu. – I o jakich kłopotach mówisz?

– Anioły szukają Hadesu – odparł Zeus. Uniósł kieliszek do ust i wypił jednym haustem. – Nie do końca wiem po co, ale muszą mieć w tym jakiś ważny cel.

I z całą pewnością nie szukają z nami pojednania. Hermes jest tego najlepszym przykładem.

Eros przeczesał włosy.

– Nie za bardzo rozumiem, o co tyle szumu. Ciemno, smutno i...

– To nasz ostatni bastion – przerwał mu Bachus. – Dowód na to, że istniejemy.

Zeus pokiwał głową.

– Od lat szukali sposobu, by mnie znaleźć – stwierdził. – Może teraz odkryli, że nie muszą się aż tak wysilać.

– Co więc robimy? – zapytał bóg wina. – To co zwykle?

Władca Olimpu wzruszył ramionami.

– A mamy inne wyjście?

Pielęgniarz Leo Katsapolis przykucnął obok siedzącej na schodach dziewczynki i podał jej chusteczkę.

– No już, mała – powiedział. – Nie płacz. Myślę, że uda nam się coś zrobić.

Dziewczynka, na oko dziesięcioletnia, o twarzy jak piegowate serduszko, spojrzała na niego z wdzięcznością. Głośno pociągnęła nosem i poprawiła plisowaną spódniczkę.

– Naprawdę? – zapytała. – Pomoże mi pan wejść do babci?

Katsapolis skinął głową. Jako ojciec najbardziej niesfornej dwójki urwisów w całej Grecji potrafił docenić, że są jeszcze dobre dzieci. Takie, co przynoszą babci zrobione własnoręcznie ciasteczka.

– Chodźmy – powiedział. – Tylko następnym razem nie przychodź tu sama. Pan doktor to straszny krzykacz, ale ma rację, że dzieci nie powinny same tu przychodzić.

Przeszli przez hol, który bardziej przypominał recepcję ekskluzywnego hotelu niż dom spokojnej starości. Podłogi wyłożone turkusowymi płytkami, wielkie donice z drzewami cytrusowymi, miękkie skórzane kanapy – z całą pewnością robiło to odpowiednie wrażenie na rodzinach pensjonariuszy. Uspokajało ich sumienia i przekonywało, że zostawiają swych starszków pod czujną opieką profesjonalnego personelu.

Leo westchnął i pokręcił głową. Wciąż jeszcze pamiętał, jak ciężko żyło im się z jego umierającą teściową. Odchodziła w dużo gorszych warunkach niż te, ale przynajmniej nikt nie bronił jej kontaktów z wnukami, kiedy tylko miała ochotę. Przeniósł wzrok na małą.

– Z czym masz te ciasteczka? – zapytał, przeciągając kartą po zamku magnetycznym. Pchnął przeszkłone drzwi prowadzące do pokoi.

Dziewczynka uniosła głowę i mocniej przytuliła do siebie wiklinowy koszyczek nakryty kraciastą chustką.

– To dla mojej babci, panie żarłoku! – Pogroziła mu palcem.

Pielęgniarz roześmiał się i puścił ją przodem.

Przeszli przez pół korytarza, gdy nagle dziewczynka zatrzymała się i zgięła mocno, zaciskając nogi i przyciskając ręce do podbrzusza.

Katsapolis wiedział, co to znaczy.

– Ubikacja jest za rogiem w drugim korytarzu – powiedział. – Biegnij szybciotko, a ja tu zaczekam. Jakby co, mów, że twoi rodzice są u babci, dobrze?

Dziecko spojrzało na niego z oburzeniem.

– Mam kłamać? – zapytało. I nie czekając na odpowiedź, dziewczynka pognęła w stronę toalety, zostawiając pielęgniarza sam na sam z jego rozbawieniem.



Minęła pierwsze drzwi, potem drugie i trzecie. Na tych ostatnich zamocowany był znaczek z dziewczynką na nocniku. Zatrzymała się dopiero przy czwartych. Złapała za klamkę i pchnęła.

Znalazła się w trzyosobowym pokoju, całkiem ładnym, ale nieszczególnie luksusowym. Dziewczynka była pewna, że w całym tym przybytku znajdowała się masa apartamentów dużo lepszych niż ten i wyposażonych w coś więcej niż w trzy łóżka, tyleż nocnych stolików, jedną dużą szafę i stół z trzema krzesłami. Zaletą były natomiast okna wychodzące na morze i wyjście wprost na olbrzymi taras. Z całą pewnością mieszkające tu starszki nie mogły narzekać na brak ładnych widoków.

Pensjonariuszki siedziały przy stole i żując suszone owoce, grały w karty. Dowcipkując, i co jakiś czas obrzucające się wyzwiskami zupełnie nie zwróciły uwagi na stojącą w progu dziewczynkę. Nawet wtedy, gdy ta w jednej chwili zmieniła się w dorosłego mężczyznę.

– Niespodzianka – powiedział Loki i wyciągnął z koszyczka pistolet z tłumikiem.

Starszki niemal równocześnie spojrzały w jego stronę, a na twarzy każdej gościł wyraz politowania. Jedna nawet popukała się w czoło.

Kłamca potrzebował chwili, by zrozumieć ich zachowanie.

– No tak – powiedział w końcu. – Palnąłem. A przy okazji, dziękuję za przepowiednię. Bo jak rozumiem, to wam ją zawdzięczam?

Jedna z kobiet, chyba najstarsza, podniosła się z krzesła i podeszła do nieproszonego gościa. Pachniała lawendą i morskim piaskiem.

– Nie przyszedłeś tu, by dziękować – stwierdziła. – A żadna z nas nie zamierza odpowiadać na twoje głupie pytanie o Hades, synu olbrzymów. Zwłaszcza że wcale nie chcesz znać na nie odpowiedzi.

Loki uniósł pistolet, ale po chwili wahania opuścił go.

– W takim razie napiszecie kartkę. Podyktuję wam, co ma na niej być.

– Napiszemy, jeśli tak jest przeznaczone – powiedziała najstarsza z kobiet. Pozostałe parsknęły śmiechem.

– A chyba jest, bo już widzę, co chce nam podyktować – dodała inna z siostr. Była grubsza od pozostałych i o niej jedynej dałoby powiedzieć, że wyglądała sympatycznie. Sprawiała też wrażenie najmłodszej, choć trudno to było stwierdzić w przypadku kobiet, z których każda miała po kilka tysięcy lat. Włosy nosiła spięte w kok, a na nosie okulary-połówki.

– O tak, będzie z tego niezły ubaw i śliczniutkie nieporozumienie – dodała trzecia, milcząca dotąd staruszka, chichocząc jak amerykańska nastolatka z głupiego sitcomu. Patrząc na nią, Kłamca uznał, że serial ten mógłby nosić tytuł „Nastoletnia mumia”.

Loki zacisnął zęby. Nienawidził rozmów z jasnowidzami. Wiedział, że nigdy nie powiedzą niczego, co mogłoby tak naprawdę zmienić bieg wydarzeń. Teraz też nie spodziewał się, by chciały mu służyć wyjaśnieniem, jakie nieporozumienie może wynikać z realizacji jego planu. Zwłaszcza że jędze mogły kłamać, grając na zwłokę. Nie było czasu, by to sprawdzać.

– Ty – wskazał na najgrubszą – weź asa pik i napisz na nim: *Największy spośród was niech zstąpi i obejmie królestwo ciemności*. I przestań się tak głupio uśmiechać!

Staruszka natychmiast spoważniała i ze stosu kart wybrała właściwą. Gdy spełniła polecenie, rzuciła ją na stos i odwróciła się do Kłamcy.

– Zrobione – powiedziała, pulchną ręką przeczesując siwe włosy. – A teraz kończmy już to spotkanie. Nie sprawia nam ono przyjemności, prawda, moje kochane?

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Strzał był cichy jak szept, a wchodzący w jej ciało pocisk bolał niewiele bardziej od użądlenia pszczoły. Potem nie było już nic...



Bachus wrócił do samochodu, wsiadł i wałnął pięścią w kierownicę. Eros westchnął.

– To jednak one?

Bóg wina pokiwał głową. Odpalił silnik i ruszył, mijając budynek domu spokojnej starości, na którego podwórzu roilo się teraz od radiowozów. Skręcił w boczną uliczkę dwie przecznice dalej i zatrzymał samochód. Spojrzał na towarzysza.

– Dziwię, czemu aż tak mnie to wkurza. Nigdy nie lubiłem tych wiedźm. Nie wiem, czy ktokolwiek je lubił. Eros przeczesał włosy.

– Wściekasz się, ale mnie zaczyna interesować ten cały Loki od aniołów – wyjaśnił. – Jest od nas lepszy.

– Gówno tam lepszy! – Bachus raz jeszcze wałnął pięścią w kierownicę. – Zabijanie bezbronnych staruszek to według ciebie...

– Miały w pokoju nożyczki? – Eros wszedł mu w zdanie. – Bo jeśli tak, nie były bezbronne i ty dobrze o tym wiesz. To nie były zwykłe babcie.

Otworzył drzwi i wysiadł. Z kieszeni marynarki wyciągnął paczkę papierosów mentolowych. Zwykle nosił je tylko, by częstować nimi kobiety, ale teraz uznał, że przyda mu się mały dymek.

– Gorzej, że nie mamy teraz pojęcia, co robić – powiedział. – Będziemy musieli coś kombinować, a wobec przewagi aniołów mamy tak naprawdę marne szanse.

– Wcale nie – odezwał się Bachus z wnętrza samochodu. – Zobacz.

Eros pochylił się i wziął od przyjaciela małą foliową torebkę na dowody. W środku znajdowała się karta. As.

– Zwinąłem to policji. – Bóg wina podrapał się po nosie. – Im raczej się nie przyda, a dla nas to niezła wskazówka, prawda?
– *Największy spośród was...* – zaczął czytać Eros. – To prostak, ale trzeba mu pomóc. – Wyrzucił niedopałek i wsiadł do samochodu.
– Ruszaj – polecił. – Musimy zarezerwować bilety na samolot.



Gabriel sfrunął z dachu i stanął za Lokim.
– Jak idzie? – zapytał.
Kłamca przyłożył palec do ust i wskazał na trzymaną w ręce policyjną krótkofalówkę. Właśnie podsłuchiwał akcję.
Archanioł skinął głową. Stał, wpatrując się w zachodzące słońce i starając się pośród trzasków wychwycić, o czym rozmawiają przez radio policjanci. Zrozumiał tylko tyle, że zaginęła jakaś karta.
– To ta karta? – upewnił się. – Znaczą twój plan się posypała?
Loki posłał mu zniecierpliwione spojrzenie, po czym wyłączył krótkofalówkę i wsadził ją do kieszeni spodni.
– Tak, to ta karta, Sherlocku – powiedział. – I nie, nic się nie posypało. Jak myślisz, co się z nią stało? Zwinął ją jakiś skorumpowany glina, bo mu brakowało do talii? Ktoś połknął haczyk.
– Skoro tak twierdzisz... – W głosie archanioła słyhać było zwątpienie.
Loki pokręcił głową i wyciągnął z kieszeni wykałaczki.
– W ogóle nie powinno cię tu być. Dostałem wolną rękę w tej sprawie. A może się stęskniłeś, mój drogi Messaggero?
Archanioł wzdrygnął się na wspomnienie wydarzeń z Monte Carlo, gdzie Kłamca spowity w uwodzicielską iluzję rozpuścił pogłoskę, że Gabriel jest homoseksualistą.
– Mam ci przekazać, żebyś się pospieszył, Loki – powiedział chłodno. – Zaczynasz się robić za mało wydajny, a do tego angażujesz do swych akcji zbyt wiele naszych sił potrzebnych gdzie indziej.
Kłamca spojrzał na Gabriela z pogardą i wypluł wykałaczkę.
– Takie gównu to wciskaj swemu Bogu, jak wpadnie na inspekcję. Od Walhalli nie zrobiliście niczego, co warte byłoby uwagi. – Odwrócił się i ruszył wzdłuż plaży. – Potrzebuję jeszcze tygodnia. Jeśli to dla ciebie za długo, zwolnij mnie.
Skrzydlaty zacisnął zęby, patrząc, jak Loki odchodzi. Denerwował go jego ton... a najbardziej to, że miał rację. We wszystkim.



Los Angeles jakoś nigdy nie zdobyło zaufania bogów. Może z powodu nazwy, a może przez mieszkających tam ludzi, którzy tak głęboko wierzyli w samych siebie, że powoli stawali się dla nich konkurencją. W grę wchodziły pewnie jeszcze i inne powody, ale ani spluwający na płytę lotniska Eros, ani krzywiący się z niesmakiem na widok panoramy miasta Bachus z pewnością nie zamierzali ich szukać. Wystarczyło im, że muszą tu być.
– Przypomnij mi raz jeszcze, jak on się teraz nazywa? – poprosił bóg wina. – Wiesz, że nie siedzę jak ty w tych plotkarskich gazetach...
– Leon Negerblack – powiedział Eros z naganą w głosie. – Jest teraz gwiazdorem kina akcji. Zaczynał, grając samego siebie i nie rozumiejąc słowa po angielsku.
– I nazwał się Negerblack? – Bachus pokręcił głową. – Stuprocentowy idiota. Nie pojmuję, jak taki może uchodzić za największego spośród nas.
– Pozwól zatem, że ci wyjaśnię. – Bóg miłości uśmiechnął się ironicznie. – Ze sławą jest jak z powodzeniem w miłości, liczy się opinia. Dziś nazywa się to public relations. Wsławił się najbardziej, więc do dziś wszyscy go pamiętają. By stać się gwiazdą, potrzeba albo szczęścia, albo...

Przerwał i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej zdjęcie i obaj bogowie mogli przyrzeć się ubranemu w garnitur brakującemu ogniwu ewolucji.

– Ten to raczej miał szczęście – uznał Bachus.



Kate Gibbons, od ponad roku pełniąca funkcję osobistej sekretarki Negerblacka, z entuzjazmem spełniała wszelkie prośby, jakie skierował do niej pięknooki blondyn. Nie kryła przy tym żalu, że żadna z nich nie wiąże się bezpośrednio z miejscem powyżej jej pończoch. Nie tylko wpuściła go (wraz z tym pociesznym grubasem, którego nie wiadomo po co przyciągnął ze sobą) do biura szefa, ale i pozwoliła przejrzeć wszystkie dokumenty i wręczyła im sekretny klucz do osobistego barku pracodawcy. Mieli dość czasu, by z niego skorzystać, ponieważ zgodnie z informacjami dziewczyny, aktor był właśnie na spotkaniu z prezydentem, bo miał zostać jego doradcą do spraw sportu i rekreacji. Podobno ostatnimi czasy Negerblack dość poważnie interesował się polityką.

Było już dobrze po siedemnastej, gdy gwiazdor wpadł do swego biura i ze zdumieniem odkrył, że na jego wypoczynkowym komplecie siedzi już dwóch mężczyzn ubranych w T-shirty z identycznym nadrukiem, wyraźnie sugerującym, jakie preferencje seksualne mają mieszkańcy Hollywoodu.

– Kim panowie są? – zapytał. – I co chcecie zareklamować?

Mężczyźni posłali sobie wiele mówiące spojrzenia. Bez żadnych wątpliwości mieli do czynienia z idiotą. W dodatku o pamięci przeciętnego karpia.

– Oj, biedny Heraklesie! – westchnął bóg miłości z udawaną troską. – Nie pamiętasz nas?

Negerblack wysilił wzrok i przyjrzał się gościom.

– Pierwszy raz was widzę – mruknął i dodał: – Macie góra pięć minut.

– Ot, jak mylnie mogą być ludzkie wrażenia – ciągnął Eros. – Jak zdradliwa może być pamięć, gdy się jej należy nie utrwali...

– Pamięć to dziwka – potwierdził Bachus znad kieliszka.

Bóg miłości spojrzał głęboko w oczy stojącego przed nim olbrzyma, z wielkim trudem zachowując powagę. Aktor nie wytrzymał:

– Wypierdalać z mojego biura, świry! – wrzasnął. – Bo jak nie, to tak wam nakopię, że nie odróżnicie...

Przerwał na widok wzniesionej przez Bachusa fotografii. Zdjęcie to, pochodzące z prywatnej kolekcji Kate, pokazywało wyraźnie, do czego tak naprawdę potrzebna była olbrzymowi sekretarka. Tak po prawdzie to nawet zbyt wyraźnie. Bóg wina dał Negerblackowi chwilę na zastanowienie się, czy to aby nie jest sztuczka czy podstęp. Gdy uznał, że wystarczy, zapytał:

– Winka? I powiedz, drogi przyjacielu, czy zapomniawszy nas, wymazałeś już z pamięci niejaką Hebe?

Wielkolud zbladł. Uśmiech na twarzy Bachusa dawał wyraźnie do zrozumienia, że jego zdaniem rozmowa zmierza właściwym torem. Takiej właśnie reakcji się spodziewał.

– O ile mnie pamięć nie myli, Hebe, określana kiedyś mianem bogini młodości, poślubiła na polecenie matki pewnego olbrzymiego gościa. Kogoś kubek w kubek, tylko że zamiast garnitur miał na sobie zwykle...

Negerblack nie wytrzymał.

– Czego chcesz, Dionizosie? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Tylko nie Dionizosie! – Grubas poderwał się jakby do bitki i oblał sobie koszulkę winem.

– Mów do niego Bachus – poprosił z uśmiechem Eros. – Widzisz, nie tylko ty zmieniłeś imię. Jego nie jest może tak medialne, takie mocarne, ale za to krótsze. Trudniej zapomnieć po pijaku. Obiecujesz?

– Dobra – mruknął Herakles. – Po co tu przyleźliście?

Gruby podniósł wzrok znad plamy, którą rozmazał jeszcze bardziej rękawem. Posłał Erosowi rozbawione spojrzenie.

– Przypomniał sobie. Nie mówiłem, że najlepsza będzie terapia szokowa? To wprost idealny sposób na amnezję. – Ponownie zwrócił się do olbrzyma: – Zrezygnowałem z greckiego imienia, by wnerwić Zeusa. Jako przyrodni brat chyba mnie rozumiesz... Mogę już schować zdjęcie, prawda?

Heros przytaknął z rezygnacją.

– Powiedzcie mi, czego potrzebujecie – powiedział, siadając za biurkiem. – A spróbuję wam pomóc. Jeśli trzeba forsy... Wszystko, byleby was już tu nie było.

– Wszystko, powiadasz? – uśmiechnął się Bachus. – To się bardzo dobrze składa, bo mamy ostatnio dosyć poważny kłopot z Hadesem. Problem, że się tak wyrażę, niecierpiący zwłoki.



Opowiadali na zmianę. Herakles słuchał, wlepwszy tępy wzrok w błękitną ścianę i w wiszącą na niej białą półeczkę ozdobioną wszystkimi trofeami, jakie może zdobyć kulturysta. I chyba tylko kurz na pucharach, mały pyłek rzeczywistości, uświadamiał mu, że to wszystko nie okaże się za chwilę tylko sennym koszmarem. Nie usłyszy zaraz melodyjnego głosu żony zapewniającego, że to tylko sen, nie poczuje na torsie jej delikatnych pocałunków, które...

Goście umilkli. Zaczerwienił się niemal pewien, że słyszeli wszystkie jego myśli, i przez moment szukał w pamięci ich ostatniego zdania. Było nim coś w stylu: *I to jest właśnie twoja rola*. Albo jakoś tak.

– A co, jeśli odmówię? – zapytał, nawet nie marząc, że zaskoczy tym przybyszy. Grał na zwłokę.

– Oczywiście niczego ci nie nakazemy – z niewinną miną zapewnił Eros. – Jak byśmy mogli? Zwracamy się przecież do ciebie jak do przyjaciela. No ale rozumiesz, że jesteśmy w trudnym położeniu. Jeśli będziemy musieli, mamy zdjęcie i...

– ...damy Hebe namiary na paru znajomych prawników – dokończył Bachus. – Przy nich taki Cerber to ledwie sikający pod siebie szczeniak! Miałeś już do czynienia z takim papugą?

Herakles westchnął. Oczywiście, że miał. I to nieraz. A ci od rozwodów byli podobno najgorsi.

– Wygląda na to, że mnie macie – powiedział w końcu, a słowa te opadały powoli niczym rzucony na ring ręcznik. Bachus potwierdził skinieniem głowy. Eros wstał i podszedł do stojącego przy oknie biurka. Podniósł z niego kopertę.

– Tu masz bilet do Grecji. Rezerwacja na jutro rano.

– Będę – zapewnił olbrzym, drapiąc się po potylicy. – A was niech szlag trafi!

– Nic z tego, kochanieńki – odparł bóg wina. – Tatusz co prawda nie za bardzo mnie lubi, ale nie będzie teraz do mnie strzelać. Poniekąd właśnie dla niego pracujemy.

Uniósł się z fotela i powoli ruszył ku drzwiom. Eros podążył za nim.

Olbrzym został sam. Zza ściany dotarło doń jeszcze tylko pełne zachwyty piśnięcie Kate, a potem głośnie trzaśnięcie drzwiami.

Siedząc w najgorzej urządzonym gabinecie w caluteńkim Los Angeles, największy heros antycznej Grecji zdał sobie sprawę, że nadal nie jest ulubieńcem losu.



– Jak to posłaliście Heraklesa?! – Głos władcy Olimpu ociekał wręcz wściekłością. – Przecież to idiota!

– Dziedziczne! – zarechotał Bachus, krztusząc się winem. – No, może nie zawsze... – zaczął, ale urwał mu się wątek. Wolał zacząć kasłać.

Teraz Eros parsknął śmiechem.

– Tego chciały Mojry – powiedział. – Taką dały nam radę.

– Nie zasłaniajcie się Mojrami! – zagrzmiał po raz kolejny Gromowładny. – Gdybym chciał Heraklesa, sam bym do niego poszedł. Ale nie poszedłem. Bo to idiota!!! Jak wszyscy pierdoleni herosi!!!

– Proszę! – westchnął Eros. – Mamy wspólny kłopot i wydaje mi się, że powinieneś przestać się na nas wydzierać. Popatrz na siebie. Wielki pan niebios i ziemi jako tronu używa przegniłego konfesjonau w jakichś syjących się ruinach kościoła. Z każdej ściany kpi z nas konkurencja. Jakieś śmiertelne wymoczki, które awansując, otrzymały moc równą z twoją. A może i większą.

Zeus, choć rozkład obrazów znał już na pamięć, odruchowo powiódł wzrokiem po ścianach. Wiedział,

że zaraz za pochylonym nad zwłokami smoka Jerzym zobaczy boskiego biedaczynę Franciszka ściskającego prawicę świętego Dominika. Spojrzawszy dalej, ujrzy świętą Teresę od Dzieciątka i Jana od Krzyża. Żeby obejrzeć sobie doktorów kościoła, Augustyna i Tomasza, musiałby wstać i podejść kilka kroków. Nie wstał. Zgarbił się za to i spokorniał.

– Wiem, jak to wygląda – powiedział cicho. – Ale tu stała największa z moich świątyń. Tu jest mój dom. Eros wzruszył ramionami.

– Nie da się ukryć, że ktoś cię wyeksmitował. I teraz jesteśmy twoją jedyną nadzieją. My i Herakles właśnie.

– Lepiej do tego przywyknij – dodał Bachus, wysączaając do końca wino i odrzucając pustą butelkę. Chciał trafić Augustyna, tego zdrajcę dawnej wiary, ale wymierzył tak niedokładnie, że oberwało się biednemu smokowi. Jakby przez Jerzego miał biedak nie dość kłopotów...



Samolot gładko i bez najmniejszych kłopotów wylądował na lotnisku w Atenach.

Herakles wyszedł na podstawione schody i zaczerpnął powietrza. Gdzieś w natłoku spalin, pomiędzy smrodem przepoconych koszul i skażonymi czosnkiem oddechami, wyłowił jakąś drobną woń. Zapach pędzącego polaną wiatru, świeżych jabłek i natłuszczonych oliwą kobiecych włosów. Delikatny posmak cielesnej rozkoszy doprawiony odrobiną krwi i cierpkim posmakiem wdowich łez. Olbrzym uśmiechnął się. Tak pachniała przygoda. Tak pachniała jego Grecja... Hellada.

Przez chwilę rozkoszował się wypełniającą płuca mieszanką wspomnień, po czym westchnąwszy głęboko, ruszył. Zgromadzeni za nim pasażerowie również odetchnęli, bo choć wielu z nich bardzo się spieszyło, to jednak nikt nie miał ochoty popędzać wielkiego olbrzyma.

Tego samego dnia wieczorem, wywłókszy się z ciasnej taksówki i przeszedłszy kilka metrów pomiędzy drzewami, Herakles odnalazł starą studnię...



Dość szybko poradził sobie z przegniłą drabiną i po chwili stał już pewnie na wyłożonym ceramiką dnie studni. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, zapalił ją i rozejrzał się. Podobnie jak dno, wszystkie ściany wyłożone były ceramicznymi odłamkami. Niektóre z nich, pochodzące z antycznych waz, przedstawiały sceny pojedynków i bitew, inne mieniły się w blasku ognia maleńkimi drobinkami złota.

Heros zaklął. Upuścił zapalniczkę i włożył palce do ust. Stał przez chwilę w całkowitej ciemności, a potem przykucnął i zaczął na oślep szukać swej zipo z monogramem. I wtedy właśnie to dostrzegł.

Na niewielkiej płytce niecałą stopę nad ziemią ktoś wymalował białe x. Heros przysunął się na klęczkach do oznaczonego miejsca i zastukał. Odpowiedział mu głuchy dźwięk. *Tuś mi* – pomyślał olbrzym i z całej siły uderzył w ścianę. Ręka, która jeszcze przed chwilą chroniła się przed bólem w ustach olbrzyma, przeszła teraz przez płytki niczym rozgrzany nóż przez masło.

Ukryty za ścianą tunel nie wyglądał zachęcająco. Oślizłe ściany wygładzone sączącą się zewsząd wodą, błoto i wyrastające gdzieśgdzie kłujące rośliny, których nazwy dawno już zostały zapomniane. Mimo to Herakles bez wahania położył się na brzuchu i wczołgał do środka. Do kąpiącej na kark lodowatej wody, szarpiących ciało kolców i wążącego za niedopiętą koszulę błota po chwili dołączyły pojawiające się znikąd szczury, które wyraźnie upodobały sobie buty olbrzyma. No i jeszcze smród. Zupełnie jakby droga prowadziła do kilkusetletniego szamba. Co zresztą wcale nie było tak dalekie od prawdy. Tunel był coraz węższy, by po kilkunastu metrach urwać się gwałtownie. Droga prowadziła już tylko w dół. Do najstarszego kanału na świecie...



Właściwie nie wiadomo, czyj był to pomysł. Przez długi czas mówiono, że Hefajstosa, ale ten zapierał

się twardo, przekonując, że to nie jego metody. Samego Hadesa nie brał nikt pod uwagę, bo najbardziej pieklił się na tę koncepcję. Twierdził, że to obniży prestiż jego królestwa i wystawi go na pośmiewisko. Poza nim jednak wszyscy byli podejrzani...

A cała sprawa rozpełtała się wokół sposobu na zapewnienie spokoju zaświatom. Stwierdzono, że żywi zbyt często schodzą, by odwiedzić umarłych i pomóc im w cierpieniu, co rzecz jasna nie przypadło do gustu podziemnej władzy. Postanowiono temu zaradzić. Przede wszystkim należało więc uświadomić wszystkim bohaterom i herosom, że ich miejsce jest wśród żywych. I tylko tam.

Nad sposobem, jak tego dokonać, radzono długo, a każdy nowy pomysł, choć w teorii świetny, w praktyce okazywał się być niewypałem. Aż wreszcie po drugiej z kolei wizycie Heraklesa ktoś wpadł na ową kontrowersyjną koncepcję. Rzecz prezentowała się nadzwyczaj prosto. Wystarczyło wykorzystać jako wejście kanały. Skoro fali herosów nie powstrzymywał ani Cerber, ani furie, trzeba było sięgnąć po środki ostateczne. No bo jaki szanujący się bohater ruszy na swą krucjatę kanałami zanurzony po kostki w gównie?

Podziałało. Liczba wizyt zmniejszała się co najmniej o jedno zero rocznie, a po kilkuset latach nikt już nawet nie chciał wierzyć, że to może być droga do Hadesu.



Herakles miał coraz bardziej dosyć. Za każdym krokiem łamał butem skorupę zaschniętego mułu, uwalniając kolejną dawkę mdłego odoru, a bryzgające błoto zastygało na jego piersi i łaskotało go potem niemiłosiernie.

Był już bliski tego, by zawrócić, gdy wtem jego przywykłym już do ciemności oczom ukazała się... szafa.

Z początku wziął ją jedynie za stojący krzywo kamienny blok, ale coraz bardziej przypominała mebel. Zwłaszcza że, nie wiedząc czemu, z każdą chwilą w tunelu robiło się jaśniej.

Szafa wyglądała jak z innej epoki. Na masywnych, prawdopodobnie dębowych drzwiach wyrzeźbiono sceny żywcem wzięte z siedemnastowiecznego pikniku. Na pierwszym planie jacyś mężczyźni grali w piłkę, w tle kobiety raczyły się herbatką. Ktoś tam usiłował brzdąkać na lutni, jakiś dzieciak puszczał latawiec...

Najciekawszym pomysłem była jednak rola, jaką dawny rzemieślnik przeznaczył widzowi. Stojące na środku, przedzielone skrzydłami drzwi drzewo dawało złudzenie, jakby patrzący krył się za nim i podglądał prawdziwe życie. Heros uważniej przyjrzał się pniowi. Mniej więcej na środku zdobiło go koślawe serce i napis: $H+P=WGM$.

Herakles uśmiechnął się pod nosem. Palcem wskazującym lewej dłoni przejechał po literach. „G” wydało mu się podejrzane. Nacisnął.

I nagle wszystko ożyło. Piłka naprawdę pofrunęła przez drewniane powietrze, dębowa herbatka spłynęła do rzeźbionych gardeł. Ku sklepieniu pomknęła muzyka. Heros cofnął się o krok. Z drzewa, prosto z serca, wystrzelił ku niemu ostro zakończony mosiężny konar. Herakles patrzył na niego przez chwilę w niemym osłupieniu, po czym ujął go w obie ręce i z całej siły szarpnął w dół. Skrzypnęło i drzwi szafy stanęły otworem.

W środku wbrew obawom olbrzyma nie było niczego prócz starych futer. Te, ściśnięte w niewielkiej przestrzeni niczym stado niedźwiedzi w podrzędnym ZOO, tak potwornie śmierdziały naftaliną, że zapach przebijał nawet odór kanału. Mimo to Herakles doskonale wiedział, co ma robić. Powoli wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Raz jeszcze otoczyła go ciemność. Z zewnątrz nadal dobiegały ciche dźwięki lutni i rozbawione męskie głosy, co świadczyło o tym, że na drzwiach zabawa trwa w najlepsze. *Ciekawe, jak długo jeszcze będą tak szaleć* – pomyślał, przeciskając się między futrami. Pchnął tylną ścianę szafy i jego oczom ukazała się rzeka Styks.



Zeus bębnił nerwowo palcami w blat przy drzwiczkach konfesjonału. Niecierpliwił się. Był już najwyższy czas, by poczuli, że pieczęć królestwa podziemi została złamana, a jej wrota otwarte.

– Mówiłem, że to idiota – powtórzył Gromowładny zrezygnowanym głosem. Już nawet nie miał siły krzyczeć. – Nie trzeba było mu powierzać tak trudnego zadania. To wszak nie rozdzwiecenie byle młódki.

– Da se radę – uspokajał go Bachus. W rękę trzymał złoty kielich z resztką znalezionej przed godziną wina mszalnego. Było całkiem niezłe.

– Wiele się tam zmieniło – poparł go Eros. – Może szuka drogi.

– Tyle czasu? – nie dowierzał Zeus.

Bóg miłości uśmiechnął się.

– Czasem droga do raju rozkoszy kryje się w gąszczu fatałaszków – rzucił. – Ale nie ma się co martwić. Kto jak kto, ale Herakles robił nie takie rzeczy. Poza tym...

– Ciii! – pijany bóg przyłożył do ust palec. – Czujecie?

Zeus chciał zaprzeczyć, ale zaraz też coś poczuł. Najpierw lekkie drżenie rąk. Potem przez głowę przebiegł mu w jedną stronę gorący impuls, a chwilę później w przeciwnym kierunku mroźny. Po jego ciele rozlało się przyjemne ciepło, ciepło, które jednak zmieniło się zaraz w taki ukrop, że aż wrzasnęła. Gdzieś na granicy świadomości usłyszał, że Bachus i Eros również krzyczą. I wtedy właśnie pojawiła się wizja. Ta, na którą czekali, z którą wiązali tak wielkie nadzieje...

– Widzisz, Zeusie?! – wykrzyknął Eros z tryumfem. – Udało się. Przeszedł!



Herakles stał na skarpie, wpatrując się w dawno niewidziany krajobraz.

Patrzył, jak czarne fale Styksu uderzają miarowo o piaszczyste nabrzeże, kusząc, by choć na chwilę zanurzyć stopy w zatrutej wodzie. Odległy drugi brzeg, niegdyś mieniący się blaskiem niezliczonych światel królestwa podziemi, teraz był skryty za kotarą mroku nadającą rzece pozór nieskończoności.

Ciekawe, czy gdzieś tam jest jeszcze Charon – pomyślał Herakles. – Za dawnych czasów starsuszek wyglądał, jakby miał przetrzymać nas wszystkich.

Ostrożnie zszedł powoli na plażę i ruszył wzdłuż brzegu.

Po blisko kwadransie znalazł łódź. Nic się nie zmieniła od czasu, gdy heros był tam ostatnim razem. Wciąż wyglądała jak źle wydrążony, spróchniały pień ogromnego drzewa, niezdolny przeniesić kogokolwiek przez wodę głębszą niż do kolan.

W środku leżał ubrany w łachmany szkielet przyciskający do siebie sakiewkę.

– Kto by pomyślał, Charonie – westchnął Herakles, wchodząc do łodzi i łapiąc za wiosło – że kiedyś przyjdzie czas, gdy to ja będę przewoził ciebie przez Styks.

Odbił od brzegu i wypłynął na środek rzeki.

Za dawnych czasów był naprawdę dobrym żeglarzem, więc nie sprawiło mu większej trudności lawirowanie między wirami czy podwodnymi skałami. Bardziej obawiał się mieszkających w rzece stworów, ale żaden jakoś nie podpłynął do łodzi. Herakles spokojnie dobił do drugiego brzegu.

Wyskoczył ostrożnie, by nie wpaść do wody, i postąpił do przodu w stronę bramy zamku Hadesa. I nagle masywne wrota otworzyły się. Dokładnie na środku wejścia stał wysoki, szczupły mężczyzna o długich blond włosach i krótkiej, równo przystryżonej brodzie. Ubrany był w skórzany płaszcz, a w zębach trzymał wykałaczkę.

– Witaj Zeu... – zaczął mężczyzna, lecz zaraz przerwał, marszcząc brwi. – Kim ty jesteś, do cholery?

Herakles sięgnął do paska i ze skórzanej pochwy wyciągnął myśliwski nóż.

– Jam jest Herakles, syn Gromowładnego Zeusa – powiedział z dumą. – I przybyłem, by odzyskać swoje dziedzictwo.

Nieznamy uśmiechnął się i wypuścił wykałaczkę. Zrozumiał teraz, co tak bardzo rozśmieszyło Mojry.

– A ja jestem Loki i gównie mnie obchodzi twoje dziedzictwo – odparł. – Czekam tu na twojego starszuka. Może powiesz mi łaskawie, kiedy się zjawi, o największy spośród Greków?

Herakles prychnął tylko i ruszył w stronę Kłamcy, cały czas trzymając przed sobą nóż. Zbliżał się

powoli lekko pochylony, w każdej chwili gotów, by skoczyć, jeśli zajdzie taka konieczność.

Loki przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym zrzucił płaszcz i rozłożył ręce.

To, co nastąpiło, jako żywo przypominało sceny, których heros był świadkiem, oglądając swoje filmy. Najpierw włosy obcego stały się krótsze, a szczeka bardziej kanciasta. Potem zaczęła mu rosnać klatka piersiowa, ramiona i nogi. Chwilę później do złudzenia przypominał już Heraklesa. Uśmiechnął się i postąpił krok naprzód.

– Myślę, że to wyrówna nieco szanse – powiedział.

Prawdziwy syn Zeusa nabrał powietrza i rzucił się do ataku, mierząc ostrzem noża w szyję swego sobowtóra. Nie było możliwości, by ten błyskawiczny cios chybił. I rzeczywiście, nóż sięgnął celu, tyle że jakby nigdy nic przeniknął przez ciało Lokiego. Niemal w tej samej chwili Herakles poczuł mocne kopnięcie w krocie.

Z trudem zrobił krok do tyłu, łączywie chwytając powietrze. Jego wróg-bliźniak tylko się uśmiechnął.

– Nie tak łatwo walczyć z samym sobą, prawda? – zakpił. – Potraktuj to jako ćwiczenie w nauce samokontroli. Starcie ze swoim drugim Ja. Możesz mnie nazywać swoją ciemną stro...

Rozłożył ręce, przyjmując kolejne pchnięcie, tym razem w serce. Ostrze ponownie przeniknęło przez odmienionego Kłamcę, ten zaś zrewanżował się ciosem w krtań. Prawdziwy Herakles zachwiał się, ale jakoś ustał na nogach. Powoli, nie spuszczać wzroku z przeciwnika, wycofał się o kilka kroków.

– Musi być na ciebie sposób – wycharczał. – A jeśli tak jest, to ja z całą pewnością go znajdę. Pokonałem Hydrę i znalazłem sposób na Anteusza syna Gai. Na ciebie też...

I w tym momencie go olśniło. Wzniósł nóż do góry.

– Stałeś się mną – powiedział. – I tylko raniąc siebie, mogę cię zabić.

Dostrzegł, że jego sobowtór zawahał się, a przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju. To jeszcze bardziej utwierdziło herosa w przekonaniu, że ma rację. Zamknął oczy i z całej siły wbił sobie nóż w serce.

Loki, który właśnie zmaterializował się obok iluzji Heraklesa, pokręcił z dezaprobatą głową.

– Herosi to debile – stwierdził.

Odczekał chwilę, aż olbrzym skona, po czym podszedł i wyciągnął z jego kieszeni telefon komórkowy. Ku jego niemałemu zdziwieniu, aparat był w zasięgu sieci. *Widocznie magiczne podziemia funkcjonują na osobnych zasadach* – pomyślał Kłamca, przeglądając numery. Znalazł jeden nieopisany, ten sam, na który Hermes dzwonił ze swojego telefonu w Barcelonie. To dawało Lokiemu nadzieję, że nie zawałił sprawy tak do końca. Wybrał numer i przyłożył aparat do ucha.

Po chwili rozległ się sygnał jak przed nagraniem wiadomości.

– Jestem w środku – powiedział Kłamca głosem Heraklesa. – Musisz tu przyjść, Zeusie. Musisz to koniecznie zobaczyć. To jest niesamowite...



Zeus brnął przez rzekę zaschniętego gówna, a za nim podążali Eros z Bachusem. Gromowładny tryskał wręcz entuzjazmem.

– Myślę, że teraz, kiedy już udało nam się przejąć królestwo podziemi, może zbudujemy tam coś na kształt klasztoru, jak myślicie? Zbierzemy naszych wiernych, zapewnimy im miejsce do spania, trzy posiłki dziennie, trochę rozrywek... no i oczywiście pracę, by nie mieli kiedy myśleć o głupotach. U Boga aniołów to się sprawdziło, może uda się i nam...

Bachus burknął coś w odpowiedzi, po czym zgięty w pół zwymiotował. Eros wciąż jakoś się trzymał, ale i jemu niewiele już brakowało. W przeciwieństwie do

Heraklesa, prawdziwej legendy wśród stajennych Augiasza, im nigdy nie przyszło przebywać w takim smrodzie. Z ulgą powitali szafę i dobywający się z niej zapach naftaliny.



Loki obserwował trzech przybyszów, od chwili gdy przekroczyli Styks. Zastanawiał się, czy żaden nie

zacznie główkować, co łódź Charona robi po tamtej stronie, skoro Herakles dotarł aż do pałacu Hadesa. Po namyśle jednak Kłamca uznał, że w podekscytowaniu nie zwrócą na to uwagi. Poza tym odkąd zstąpili do podziemi, wszystko było już przesądzone. Mogło co najwyżej dostarczyć mu mniej lub więcej zabawy.

Skinął głową ukrytym po obu swych stronach aniołom i sam przysunął się bardziej do ściany, czekając na odpowiedni moment.



– Myślę, że Herakles powinien wyjść i nas przywitać – stwierdził Zeus. – To w końcu mój syn.
– Jeżeli ma do tego podobne podejście co ja... – Bachus pochylił się, by wyciągnąć z buta kamyczek. – ...to nie licz na szczególnie miłe powitanie, tatusiu.

Gromowładny prychnął w odpowiedzi, po czym ruszył pewnym krokiem w stronę wejścia.

Zanim jednak przekroczył próg królestwa podziemi, przystanął i wciągnął głęboko powietrze. Coś było nie tak z zapachem, zupełnie jakby czuł woń mokrego pierza. I wtedy zrozumiał.

– Uciekajcie! – wrzasnął do stojących przy brzegu bogów. Sam rozłożył ręce, by uwolnić moc. Jego skóra zaczęła lśnić złotem, a po ciele przebiegły wyładowania, gromadząc się wokół zaciśniętych pięści. Brakowało mu kutyh przez Hefajstosa piorunów, w które mógłby tchnąć swą moc, ale i tak wiedział, że tanio życia nie odda.

– Chodźcie tu, skrzydlate dranie! – zawołał. – Poznajcie, czym jest moc Zeusa, pana nieba i ziemi.

Tupnął, a maleńkie błyskawice niczym robactwo zaczęły pełzać po ziemi. Jego blask zdawał się być coraz jaśniejszy, z każdą chwilą Zeus stawał się bardziej sobą z dawnych dni. Takim musiała widzieć go Semele, matka Bachusa, zanim zginęła od błyskawic. Bóg w całym swym majestacie.

I wtedy właśnie tuż obok niego zmaterializował się mężczyzna. Trzymany w dłoni pistolet przyłożył do skroni Gromowładnego. I bez słowa, nie dając bogu cienia szansy, pociągnął za spust.

Rozległ się ogromny huk spotęgowany przez echo. Zeus zadrżał, a potem runął na ziemię. Zaraz potem Loki usłyszał szum, jakby tysiące ptaków naraz wleciało w powietrze.

Bachus, który pierwszy otrząsnął się z szoku, już chciał pognać w kierunku łodzi.

Tyle że przy niej stali już dwaj uzbrojeni w miecze skrzydlaci. Zaszumiało i nagle plaża wypełniła się aniołami. Ustawili się na kształt litery U, zagradzając greckim bogom wszystkie drogi ucieczki prócz bramy królestwa Hadesa. A w niej wciąż stał zabójca Zeusa z dymiącym pistoletem.

– Kim jesteście? – zapytał, ruszając powoli w ich kierunku.

– Ja nazywam się Eros – przedstawił się stojący bliżej bóg miłości. – Cóż, może w tej sytuacji zabrzmi to nieco dziwnie, ale słyszałem już o panu i mimo wszystko cieszę się ze spotkania. A mój towarzysz to Bachus. Byliśmy... współpracowaliśmy z Gromo... z facetem, którego właśnie zabiłeś.

Loki skinął głową.

– Rozumiem zatem, że czujecie się w obowiązku pomóc przyjacielowi i nie spoczniecie, póki...

– Ależ skąd! – Bachus wszedł mu w zdanie. – Nie znosiłem palanta i uważam, że dobrze się stało. Kłamca uniósł brwi.

– Nie spodziewałem się podobnej odpowiedzi – przyznał. – Ale i tak nie mogę tak po prostu pozwolić wam odejść. – Uniósł pistolet i wycelował w głowę Erosa. – Mam swoje obowiązki, rozumiecie, prawda?

– Nie rób tego! – krzyknął Bachus, sięgając do kieszeni.

Aniołowie przyglądali mu się z niepokojem, a jeden nawet sięgnął po przypięty do pasa sztylet, by w razie czego rzucić w boga wina, zanim ten zrobi coś naprawdę głupiego. On jednak wydobyl z kieszeni jabłko. Uniósł je do góry niczym kapłan świętą relikwię.

– Jeśli pozwolisz nam odejść, damy ci to – powiedział. – Mamy więcej.

– Ten pan nie ma pojęcia, co to, Bachusie – stwierdził Eros.

Loki wzruszył ramionami.

– Przeciwnie – powiedział. – Doskonale wiem. To jest jabłko, owoc z drzewa zwanego jabłonią. Całkiem smaczny, choć bywa kwaskowaty, zależy od odmiany. Ale teraz wybaczenie, nie jestem głodny.

Ponownie uniósł pistolet, tym razem celując w Bachusa.

Bóg wina zadrżał, ale nie opuścił owocu.

– To jabłko z gaju Hesperyd – oznajmił, kładąc nacisk na dwa ostatnie słowa. – Ma prawdziwą moc. Taką, która sprawia, że...

– Dość – przerwał mu Kłamca. – Nie mam zamiaru o tym słuchać.

Skinął na dwóch spośród aniołów.

– Wy dwaj, zwiążcie ich. Po zastanowieniu nie będę do nich strzelał. Nie miałem ich w kontrakcie, a może archaniołowie mają co do nich jakieś plany. Reszta niech leci... tam gdzie zwykle latają anioły, gdy mają wychodne. Już was nie potrzebuję. A, i niech ktoś da znać Gabrielowi, że wykonałem robotę i teraz wisi mi parę piórek. No i że czekam tu na niego.

Skrzydłaci posłusznie wzbili się w powietrze, pofrunęli nad Styksem. Dwaj, którzy pozostali, sprawnie uwinęli się ze związaniem bogów, po czym również odlecieli w stronę drugiego brzegu.

Loki schował pistolet do kabury i przysiadł na leżącym nieopodal kamieniu.

– Chyba zbyt słabo znałem waszą historię – odezwał się do związanych. – Nie przyszło mi do głowy, że największym spośród was może być człowiek, a nie ojciec bogów. Muszę się jeszcze wiele nauczyć.

Podniósł z ziemi płaski kamyczek i puścił go po wodzie. Z uśmiechem patrzył, jak ten odbił się sześć razy, zanim zniknął w czarnych odmętach. Kłamca znów przeniósł wzrok na swoich więźniów.

– O co chodzi z tymi jabłkami?

Bachus odchrząknął.

– To owoce ze świętego drzewa, którego strzegł smok, zanim... – zaczął.

– Ja wyjaśnię – przerwał mu Eros. – Panu trochę się spieszy, więc przechodząc do sedna: one sprawiają, że ludzka wiara staje się potężniejsza. To coś jakby wzmacniacz dla mocy tkwiącej w ludziach. Bo to oni tworzą takich jak my, wie pan o tym, prawda?

Coś zaczynało świtać w głowie Lokiego. Kłamca sięgnął do kieszeni po wykałaczki.

– A czy czasem nie sprzedaliście żadnego z tych jabłek? Na przykład Anubisowi?

Bogowie spojrzeli po sobie ze zdumieniem.

– Jakież trzy – cztery lata temu natknęliśmy się na tego sukinsyna – mruknął niechętnie Bachus.

– No to mamy ze sobą coś wspólnego. – Uśmiechnął się Loki, ale zatrzymał dla siebie to, jak upokorzył egipskiego boga, który próbował zdobyć nowych wyznawców.

– Doprawdy? – Eros również się uśmiechnął, tylko dwa razy życzliwiej. – Ja od razu sobie pomyślałem, że nas różni tylko drobiazgi. Jest w panu coś bardzo sympatycznego. A ten Anubis powiedział wtedy, że ma pomysł, jak pozbyć się aniołów. Odmówiliśmy mu oczywiście, a on, proszę sobie tylko wyobrazić, ukradł nam kilka jabłek. Potem słuch po nim zaginął. Dopadł go pan? No jakże się cieszę!

– Nieważne! – Kłamca machnął ręką. – Więc jak rozumiem, w zamian za koszyk cudownych jabłek mam dać wam wolność, tak? Na to liczyście.

– Tak – powiedział Bachus.

– Nie – stanowczo zaprzeczył Eros.

Bóg wina posłał przyjacielowi zdumione spojrzenie. Tamten tylko wzruszył ramionami.

– Widzę, że jest pan człowiekiem solidnym i poważnie traktuje pan pracę – powiedział. – Cóż to więc dla nas za interes, że teraz nas pan uwolni, a jutro znowu zacznie obławę? Dziś chodziło panu o Zeusa, nie o nas, ale jeśli dostanie pan rozkaz... Przecież wszyscy tu jedziemy na jednym wózku, może dojdziemy do porozumienia?

Loki pokiwał głową i uśmiechnął się. Podobał mu się sposób myślenia boga miłości, tak daleki od sposobu rozumowania aniołów.

– Co zatem proponujesz? – zapytał.

Eros zmrużył oczy, zastanawiając się.

– Myślę, że mógłby pan wziąć nas na służbę – powiedział i dodał szybko: – Ja osobiście czułbym się zaszczycony.

– Ze swojej strony – Bachus podłapał wątek – zapewniam pełną dyspozycyjność.

Wykałaczka przewędrowała z jednego kącika ust Lokiego do drugiego. Propozycja wydała się kusząca.

– Tylko że ja nie jestem Zeus. U mnie trzeba naprawdę pracować – powiedział Kłamca, uśmiechając

się. Wstał i spojrzał na Styks. – Zobaczymy, co się da zrobić.

W ich stronę leciała sześćoskrzydła postać. Z całą pewnością wezwany Gabriel.



– Tam leży ciało Zeusa – Loki wskazał leżące w bramie zwłoki.

Gabriel skinął głową. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kopertę z piórami. Podał ją Kłamcy.

– A tamci? – spytał, wskazując brodą związane bóstwa. – Co to za jedni i co tu robią?

Loki wziął kopertę i po raz pierwszy w życiu schował, nie sprawdzając zawartości. Uśmiechnął się przymilnie.

– Wiesz, myślę, że jestem ci winien przeprosiny, Gabrieliu – powiedział, ruszając wzdłuż brzegu Styksu. Archanioł podążył za nim.

– Za co chcesz mnie przeproszać?

– Za to, co mówiłem wtedy na plaży – wyjaśnił Kłamca. – Rzeczywiście miałeś wtedy rację co do tego, że nie pracuję już równie szybko jak kiedyś. Szczerze mówiąc, są chwile, gdy martwię się, czy podołam zadaniom. – Spojrzał Gabrielowi prosto w oczy. W jego wzroku znać było smutek. – Wiesz, wróg ciągle się zmienia, a ja jestem tylko podrzędnym bogiem... Jednym.

Ukradkiem przetarł oczy rękawem.

– Zwłaszcza od śmierci Sygin nie potrafię tak bardzo oddać się pracy.

Gabriel westchnął głęboko i położył rękę na ramieniu Kłamcy.

– No, daj spokój! Mogę ci jakoś pomóc?

– Tak – wyszeptał Loki. – Myślę, że możesz.



Bachus przyglądał się pożegnaniu Lokiego i Gabriela. Oczywiście z tej odległości nie sposób było usłyszeć, o czym mówią, ale widać było, że rozstają się w przyjacielskiej atmosferze. Zanim archanioł odleciał, kilkakrotnie uścisnęli sobie ręce, a gdy skrzydlaty był już w powietrzu, Kłamca nawet mu pomachał. Potem dziarskim krokiem ruszył w ich kierunku.

– I co? – zapytał Bachus.

Loki wzruszył ramionami.

– Powiedział, że musi jeszcze obgadać to z pozostałymi, ale on sam jest skłonny dać wam szansę. Powiedzmy, okres próbny. – Kucnął i przeciął więzy najpierw Erosa, a potem Bachusa. – Żadnego picia i dziwek w pracy. Żadnych *ale ja nie wiem, ale ja nie potrafię*. Nasi szefowie będą oczekiwali określonej ilości nawróceń czy usuniętych demonów i innych takich, ale...

– Potrafimy ciężko pracować, Kłamco – wszedł mu w zdanie Eros.

Loki uśmiechnął się, widząc, że bóg miłości poczuł się pewniej i przestał mówić do niego na pan. Ale nie skomentował tego.

– To się okaże. Póki co odpowiadacie przede mną i słuchacie każdego mojego polecenia. To, mam nadzieję, jest jasne?

Bogowie pokiwali głowami.

Kłamca wstał i schował nóż. Sięgnął do kieszeni po wykałaczki.

– W takim razie cóż mogę wam jeszcze powiedzieć? Idźcie, jesteście posłani.



– Panowie nie byli umówieni! – wrzasnęła sekretarka, ale żaden z dwóch ubranych w idealnie skrojone garnitury mężczyzn nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Przeszli koło niej i wkroczyli do gabinetu prezesa.

Za biurkiem siedział ich niedawny gość, specjalista od komputerów i od paru dni gorliwy neopoganin.

Na widok swych bogów skulił się za biurkiem.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytał drżącym głosem.

Bachus sięgnął do kieszeni i wyciągnął Biblię.

– Pamiętasz, o czym mówiliśmy ci ostatnim razem? Biznesmen pokiwał głową.

– Więc zapomnij – polecił bóg wina, rzucając mu księgę na stół. – Tu masz nowe wytyczne.

Słudzy Metatrona

Nowy Jork
środek lata



idok Bachusa tańczącego i śpiewającego w strugach deszczu wart był każdych pieniędzy. Ale jak na ironię w dniu, gdy postanowił on zaprezentować światu swoją wersję „Deszczowej piosenki”, na ulicy nie było zupełnie nikogo. Żadnego policjanta, pod którego wzrokiem bóg wina przestałby rozchlapywać kałuże, żadnych nieszczęśników, którym można by oddać parasol. Świat nigdy nie patrzy, gdy dzieją się rzeczy wielkie.

Bachus jednak wcale nie wydawał się być urażony. Wręcz przeciwnie, promieniał szczęściem. Nic sobie nie robiąc ze swej tuszy, wirował wokół latarni, wkładał głowę pod każdą rynnę i robił miny do sklepowych manekinów. Przez chwilę usiłował nawet stepować, ale potknął się o własne nogi i wyrznął w kałużę. Pech chciał, że akurat przed wielkim finałem. Mimo to bóg wina nie stracił animuszu.

– *...Ja śpiewam, a z nieba pada deszcz* – zakończył, ściągnając kapelusz i wznosząc głowę ku niebu. Stał tak przez chwilę, po czym zrobił krok w stronę najbliższej bramy i wcisnął przycisk domofonu.

– To ja – powiedział, zanim padło jakiegokolwiek pytanie.

Zabzyczały otwierane drzwi.



– Skąd ten dobry nastrój? – chciał wiedzieć Eros. Siedział na kanapie z kieliszkiem brandy w dłoni i ołówkiem nanosił poprawki do amerykańskiego wydania „Kamasutry”. – Wyglądasz, jakbyś znalazł sposób na przemienienie całego tego deszczu w wino.

– Lepiej – odparł Bachus, zdejmując płaszcz. W miejscu gdzie stał, zdążyła już nakapać spora kałuża. – Zakończyłem nasz okres próbny.

Eros odstawił kieliszek i przyjrzał mu się z uwagą.

– Doprawdy? A cóż takiego wymyśliłeś?

– Zaraz ci wyjaśnię. – Bóg wina ściągnął przemoczone buty i równie mokre skarpetki. – Tylko się przebiorę. Tymczasem zobacz to.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął plik zrolowanych kartek i podał je przyjacielowi. Sam udał się do łazienki.

Gdy wrócił, z satysfakcją stwierdził, że Eros również uśmiecha się szeroko.

– Brawo – pochwalił bóg miłości. – Rzeczywiście ty to masz łeb. Taki reżyser, a ty go tak... Jak tego dokonałeś?

Zadowolony Bachus wzruszył ramionami.

– Wiesz, wstąpiłem do producenta, dokonałem kilku zmian w jego barku i dorzuciłem parę nowych buteleczek. Potem to już był banał.

– No coś ty! – nie dowierzał jego przyjaciel. – Dla paru marnych flaszek zgodził się zrezygnować z Theodora Knoxa, najślynniejszego reżysera teatralnego na świecie?

– To nie były jakieś tam flaszki – oburzył się bóg trunków. – Była tam nawet flaszeczka wina z Kany Galilejskiej rocznik trzydziesty. I wcale cię nie rozumiem. Z czego zrezygnować? Przecież to ja go właśnie namówiłem. Poszedłem do niego, najpierw zmiękczyłem mu serducho winem, a potem nakłoniłem, by sfinansował ten spektakl. Nieźle, nie? Chodzi przecież o „Prawdziwe życie Jezusa”, coś idealnie dla nas. Nie ma chyba lepszej metody, by głosić to, co mamy głosić, niż korzystać z takich narzędzi jak Knox. To będzie przebój i nawrócą się tysiące! A my mamy w tym swój udział, bracie. Więc, można powiedzieć,

okazaliśmy aniołom swą przydatność.

Uśmiech spelzł z twarzy Erosa, a zastąpiła go rezygnacja. Głową wskazał rozłożone na stoliku kartki.

– Nie czytałeś tego, prawda? – zapytał. – Znaczą scenariusza, który otrzymałeś od Knoxa?

– Nie – odparł zgodnie z prawdą Bachus. – Ale zapewnił mnie, że marzy o opowiedzeniu prawdziwej historii o Jezusie. Mówił, że to ma być wydarzenie na miarę „Jesus Christ Superstar”. Widziałeś? Ja nie. Więc coś w tym stylu, tylko bez tego całego hipisostwa, za to z masą nieznanymi faktów. Dlatego poszedłem do tego producenta i...

Eros podniósł jedną z kartek.

– *Akt czwarty, scena druga* – przeczytał. – *Wieczernik.*

JEZUS: *Robi się coraz niebezpieczniej, Magdaleno. I nie wiem, komu mogę ufać. Najchętniej zostawiłbym to wszystko i wyjechał gdzieś na parę dni. Ale z drugiej strony nie mam nikogo, komu mógłbym powierzyć interesy rodziny.*

MAGDALENA (*sięga ręką do jego szaty i powoli rozwiązuje mu pas*): *Nie myśl teraz o tym. Powinieneś odpocząć... I myślę, że znam sposób, żebyś się odprężył.*

Zrzuca z siebie szaty. Jezus robi to samo... Mam czytać dalej? – Bóg miłości uśmiechnął się z drwiną. – Bo znalazłem już lepsze kawałki, a przejrzałem tylko pobieżnie.

Bachus stał z szeroko otwartymi ustami niezadowolony wydobyć z siebie ani słowa. Wodził tylko wzrokiem od twarzy Erosa do trzymanej przez niego kartki. Tam i z powrotem.

Jego przyjaciel wstał, przeciągnął się i ruszył w stronę kuchni. Przechodząc koło boga wina, poklepał go po ramieniu.

– Ty mówisz o tym szefowi.



Loki rozłożył ręce i zamknął oczy. Chłonał atmosferę.

Przed nim wielotysięczny tłum ludzi wykrzykiwał nazwę zespołu na przemian z tytułami utworów, które jeszcze powinien ich zdaniem zaśpiewać. Nie dbał o to, miał w planach jeszcze tylko jedną piosenkę, a potem zejdzie ze sceny. Mogą sobie krzyczeć.

Gitarzysta dał mu znać pojedynczym akordem, że powinni zaczynać. Skinął głową i otworzył oczy. Światła reflektorów, jeszcze przed chwilą tańczące na niebie, teraz znów skierowane były w niego. Oślepiły.

– Następny utwór dedykuję Jenny! – zawołał do mikrofonu. – To dla ciebie, moja piękna!

Rozbrzmiały gitary, a zaraz potem dołączyła do nich perkusja. Loki wyczekał właściwy moment, po czym zaczął śpiewać. Tłum zawył z zachwytem...



– To było bardzo miłe z twojej strony, Loki – powiedziała Jenny z uśmiechem, gdy wracali do domu. – Ale nie powinieneś więcej tego robić.

Kłamca spojrzał na nią z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

– Tego? Znaczą czego?

– Nie powinieneś... patrz na drogę!... Naprawdę uważam, że nie powinieneś wchodzić w przebraniu za kulisy, terroryzować Micka Jaggera ani pod jego postacią śpiewać dla mnie na scenie jego piosenek.

– Nie podoba ci się, jak śpiewam? – Loki wyraźnie posmutniał.

– To nie o to chodzi. – Jenny westchnęła ciężko. – Ty po prostu oszukałeś tych wszystkich ludzi. Oni przyszli posłuchać jego, nie ciebie. I nieważne, że wyglądałeś jak on i że miałeś podobny głos. Oni przyszli dla niego, dla nich. Dla ich legendy.

Loki pokiwał głową, udając pokorę, zaraz jednak uśmiechnął się szeroko. Sięgnął do schowka na rękawiczki i wyciągnął z niego pudełeczko wykałaczek. Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

– Swoją drogą, nie bardzo wiem – odezwała się po chwili Jenny – dlaczego zadedykowałeś mi właśnie

tę piosenkę. Chciałeś dać mi coś do zrozumienia?

– Ależ skąd! – zaprzeczył gorliwie Kłamca, choć jego niegasnący uśmiech sugerował coś zupełnie przeciwnego. – Po prostu „Satisfaction” był ostatnim kawałkiem Stonesów, jaki znałem. Gdyby nie to...

Rozległ się dźwięk telefonu. Loki sięgnął do kieszeni i wydobył aparat. Odebrał. Przez chwilę słuchał czyjś rozedrganego głosu.

– Zaraz tam będę – powiedział w końcu i rozłączył się. Spojrzał na Jenny. – Gdzie cię podrzucić?



Kłamca odłożył scenariusz i przeniósł wzrok na siedzącego w fotelu naprzeciw Bachusa.

– Powinieneś mieć na czole etykietę: *Częste spożywanie wina grozi uszkodzeniem mózgu, wiesz?* – stwierdził, po czym dodał: – Zatrudnij się w jakiejś cholernej kampanii *Nie alkoholowi*. Jako żywa przestroga.

Grubas opuścił głowę. Wyglądał żałośnie i Erosowi zrobiło się żal starego przyjaciela.

– Może za bardzo przeceniamy tego Knoxa, co? – rzucił, siląc się na wesołość. – Przecież takie motywy jak w tym scenariuszu nie są niczym nowym i jakoś to Kościołowi dotąd nie zaszkodziło. Może i tym razem...

– Cztery lata temu – zaczął Loki, rozsiadając się na kanapie – premiera „Prawdziwego życia Rzeszy” omal nie doprowadziła do uchwał o wypłacie odszkodowań rodzinom osądzonych w Norymberdze. Rok później po „Prawdziwym życiu Nathana Forresta” twórcy Ku-Klux-Klanu postawiono pomnik w Waszyngtonie. Sfinansowało go Stowarzyszenie im. Martina L. Kinga. Na cokole jest napisane: *Źle cię oceniliśmy. Wybacz*. Naprawdę uważasz, że go przeceniamy?

Eros nie odpowiedział.

– Jedyne, co możemy teraz zrobić – ciągnął dalej Kłamca – to zniechęcić go jakoś do tego projektu. Lub skłonić, by go przemysłał.

Wstał i przeszedł się po pokoju, skubiąc czubek nosa. Obaj bogowie wodzili za nim wzrokiem.

– Albo jeszcze inaczej. – Kłamca zatrzymał się, wyciągając w górę rękę z wysuniętym palcem wskazującym. – Chyba mam już plan.

Półtora miesiąca do premiery „Prawdziwego życia Jezusa”

– Pan nie rozumie! – Podenerwowany młody chłopak o rudych włosach i czerwonej od pryszczu twarzy wymachiwał dłonią uzbrojoną w legitymację prasową. – Ja muszę się widzieć z panem Knoxem. Jestem... jestem umówiony i właśnie się spóźniam.

Ochroniarz, barczysty Murzyn o długich wąsach, podrapał się po łysej głowie.

– Widzisz, synku – powiedział spokojnym głosem – musiało tu nastąpić straszne nieporozumienie. Pewnie pan Knox chciał mi powiedzieć, że mam cię wpuścić, ale przejęzyczył się i ostatecznie zabronił mi wpuszczać kogokolwiek. Jakoś jeszcze nie przyszedł sprostować tej pomyłki, ale to pewnie dlatego, że jest bardzo zajęty. Pewnie więc i tak nie miałby dla ciebie czasu. Spływaj.

Chłopak patrzył na niego z wściekłością w oczach. To miał być jego pierwszy porządny materiał. Dość kpin wysłuchiwał w pracy i ani myślał pozwalać na nie jeszcze czarnemu ochroniarzowi. Niezależnie od tego, jaki był wielki.

– Słuchaj pan – zaczął ostro, ale w tej samej niemal chwili za plecami Murzyna otworzyły się drzwi. Wyszli z nich dwaj bogato ubrani dżentelmeni. Pierwszy, ze sporą nadwagą, miał kapelusz, płaszcz narzucony na ramiona i wyglądał jak filmowa wersja Ala Capone. Drugi, smukły przystojniak, jeżeli nawet był aktorem, z pewnością nie pasował do kina gangsterskiego. Zarówno jego wygląd, jak i ruchy klasyfikowały go do ról amantów w barwnych romansach.

Chłopak dostrzegł, że ochroniarz usuwa się na bok, by ustąpić im miejsca. Dla młodego dziennikarza to była prawdziwa szansa. Nie zastanawiając się długo, ruszył do przodu, wyciągając przed siebie ręce i celując dokładnie w szczelinę między wychodzącymi. I trafił. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Nagle poczuł ból w wyciągniętych palcach, usłyszał jęknięcie, najpewniej własne – wszak nikogo nie dotknął – i wylądował u stóp Murzyna.

Ten uśmiechnął się szeroko. Podniósł dziennikarza za kark i jedną ręką cisnął nim na bok. Chłopak uderzył bokiem w hydrant i ogarnęła go fala bólu. Syknął głośno.

Bogato ubrani dżentelmeni zdążyli tymczasem zniknąć za rogiem.



Ernest Thumb, kierownik sceny, nigdy nie narzekał. Choć mógłby. Współpraca z Knoxem nie należała do najłatwiejszych.

Genialny reżyser dość powszechnie uchodził za piniacza. Każdy, kto choć odrobinę interesował się teatralnym światkiem, musiał słyszeć o jego ekscesach.

Kiedyś, gdy wyraźnie nie szły mu przygotowania do jednego z przedstawień, przyniósł do pracy kij bejsbolowy. Po skończonej próbie, kiedy wszyscy byli jeszcze w garderobach, wyszedł na parking i pracowicie zmasakrował samochody wszystkich swych aktorów. A potem powiedział im tylko, że role najlepiej obmyśla się podczas długich spacerów.

Mimo podobnych zagrywek Thumb lubił swojego szefa. No, może z wyjątkiem takich chwil jak ta.

– Co znaczy, kurwa, że musimy odwołać próbę?! – wrzasnął mu Knox prosto w twarz. Drobne kropelki śliny zatrzymały się na szklach okularów kierownika sceny. – Nigdy jeszcze nie odwołałem próby i nie zamierzam robić tego teraz. Choćby mi nawet główny aktor padł trupem.

– W pewnym sensie, panie Knox – powiedział Ernest cicho – właśnie mamy taki przypadek.

– Dawson nie żyje?!

– Nie, panie Knox – zaprzeczył kierownik sceny. – Ale leży zalany w trupa w garderobie.

Reżyser zrobił zdziwioną minę.

– Przecież on nie pije. Z tego, co wiem, jest członkiem Ligi Wstrzemięźliwych.

Thumb wyciągnął z kieszeni chusteczkę, ściągnął okulary i zaczął czyścić szklę. Na scenie, pod którą obaj stali, uwijała się ekipa, montując dekoracje. Technicy byli właśnie na etapie domu Łazarza z drugiego aktu. Tę scenę mieli dziś ćwiczyć aktorzy.

– Też byłem zdziwiony, panie Knox – zapewnił Ernest. – Zwłaszcza że jeszcze chwilę temu widziałem go i wyglądał na zupełnie trzeźwego, a nie znaleźliśmy u niego żadnych butelek. Ale fakty mówią same za siebie. Dawson leży na podłodze i pochrapuje, a w garderobie śmierdzi jak w gorzelnii. A to jeszcze nie wszystko...

Przezornie cofnął się o krok. Reżyser zauważył to i rozluźnił zaciśnięte pięści. Spróbował się nawet uśmiechnąć. Lubiał swojego kierownika sceny i wcale nie zamierzał go straszyć. Zwłaszcza że nie był on przecież niczemu winien.

– Co jeszcze, Erneście? – zapytał, starając się, by jego głos zabrzmiał miło i przyjaźnie. Wyszło mu to średnio, był zdecydowanie lepszy jako reżyser niż aktor.

– Mary odmówiła udziału w scenach erotycznych. Stwierdziła, że chce jej się wymiotować na widok Dawsona i czuje, że nie dałaby rady powstrzymać się na scenie.

– Tylko dlatego, że raz się upił? – nie dowierzał reżyser. – Przecież zdarza się każdemu, a...

– Nie sądzę, by o to chodziło, panie Knox. Powiedziała mi to, kiedy Dawson wyglądał jeszcze na trzeźwego. Minął nas, a ona autentycznie dostała dreszczy.

Na scenę wyszli statyści, pięciu rzymskich żołnierzy, dwie kobiety z glinianymi dzbanami i żebrak. Knox przyjrzał się im uważnie.

– Masz krzywo zapięty płaszcz – powiedział do mężczyzny w zbroi dekuriona. – Leży nierówno i sprawiaś wrażenie niechlujka. A tego nie ma w charakterze tej postaci. I nie ma być. Bo to perfekcjonista.

Który na dodatek pojawia się na scenie na całe trzydzieści sekund – pomyślał Thumb z rozbawieniem.

– I nawet słowa nie mówi.

Reżyser pociągnął nosem.

– A ty, Miles? – zwrócił się do żebraka. – Wcale nie czuję, żebyś śmierdział. I ile razy mam ci powtarzać, że ówczesni żebracy nie byli brudni od sadzy, tylko od pyłu? Idź i doprowadź się do porządku. Pozostali mogą być. Zaczekajcie chwilę. – Odwrócił się do Thumba. – Nad tym, jak to się stało, że abstynent się spił, a aktorka filmów porno brzydzi się grać w scenach erotycznych z przystojnym młodzieńcem, zastanowimy się później. Teraz ściągnij drugi skład i zaczynamy. Jesteśmy już spóźnieni.

Ernest Thumb skończył przecierać szkła i powoli założył okulary na nos. Nie miał pojęcia, kto wymyślił slogan, że złe wiadomości lepiej podawać na raty, ale najpewniej ów ktoś sam nigdy tego nie robił.

– Wyszli przed chwilą. – Kierownik sceny postanowił nie owijać w bawełnę. – Podobno pół godziny temu przyszedł tu i zatrudnił ich osobiście sam Spielberg.

– Kto?!

– Spielberg – powtórzył Thumb. – „E.T.”, „Park Jurajski”...

– Znam Spielberga, idioto! – warknął Knox. – Pracowałem z nim przecież. Był tutaj? Spielberg?!

– Tak, panie Knox.

Trzeba było przyznać reżyserowi, że choć czerwony z wściekłości, naprawdę starał się nad sobą panować. Thumb jednak przezornie cofnął się jeszcze o krok, uważnie patrząc to na twarz, to na rękę szefa. Dał mu czas na uspokojenie.

– Więc jak, panie Knox? – zapytał po chwili. – Mam odwołać dzisiejszą próbę?

Reżyser ledwo zauważalnie pokiwał głową. Statyści na scenie odetchnęli z ulgą.



Telewizyjny prezenter z czerwonym krawatem do zielonej marynarki wyglądał jak idiota. Głos za to miał ciepły i głęboki. Z pewnością byłby doskonałym radiowcem.

– ...reżyser zapowiedział jednak – mówił do kamery, ale zezując lekko na bok, jakby miał źle ustawiony ekran z tekstem – że zmiany personalne nie wpłyną ani na jakość sztuki, jej przekaz, ani też nie opóźnią zapowiedzianej rekordowo szybko, bo już na przyszły miesiąc, premiery.

Na ekranie pojawił się materiał filmowy z „Prawdziwego życia Rzeszy” ukazujący Knoxa, nieco podstarzałego, łysiejącego mężczyznę w sztruksowej marynarce i z papierosem w kąciку ust. Właśnie instruował stojących w szeregu nazistów. Nastąpiło rozmycie i na ekranie pojawiła się niemal identyczna scena, z tym że nazistów zastąpili rzymscy legionieści. Odezwał się głos z offu:

– Oczekiwane przez wszystkich „Prawdziwe życie Jezusa” zaprezentowane zostanie trzeciego września. „Time” już określił to największym wydarzeniem kulturalnym ćwierćwiecza, biskupi kościołów protestanckiego i katolickiego wyrazili niepokój, powstrzymali się jednak z komentarzami do czasu...

Bachus wyłączył telewizor.

– No i kłapa – westchnął zrezygnowany. – Cała ta szopka nie zdała się na wiele. Można się było domyślić.

– Czego? – zapytał Loki. Wyraz jego twarzy sugerował, że jest w nastroju skrajnie odmiennym od boga wina.

– Że niezależnie od naszych sztuczek on i tak znajdzie sobie ekipę, która u niego zagra. Aktorzy wręcz modlą się do niego!

– Zwłaszcza że z tym Spielbergiem to i tak przesadziłeś – poparł przyjaciela Eros. – Nie powinieneś zmieniać się w tak znane postaci, bo kiedyś narobisz tym sobie kłopotów.

– Jakbym już to gdzieś słyszał – mruknął Kłamacz. – A co do sprawy przedstawienia, to wdrożyliśmy dopiero pierwszą część planu. Druga będzie trudniejsza, ale jak mawiają, przez ciernie do gwiazd, nie?

Obaj bogowie popatrzyli na niego z wyrazem niezrozumienia na twarzach. Loki uśmiechnął się.

– To przecież oczywiste, że Knox nie zarzuci spektaklu z powodu kłopotów z aktorami – wyjaśnił. – Jasne też, że wszyscy będą walić drzwiami i oknami, byle u niego zagrać. A żeby nie dać im szansy,

musimy być po prostu najlepsi.

Eros zakrzuszył się swym martini.

– Ty chcesz, żebyśmy my... znaczy... żebyśmy... – nie mógł się wysłowić.

– Tego właśnie chcę – potwierdził Kłamca. – Jeśli nie możesz pokonać wroga, przyłącz się do niego, to moja dewiza. Zagramy u Knoxa.



– Nie chcę grać Szymona Piotra! – zaperzył się Bachus, gdy Kłamca odczytał mu jego rolę. – Z tego, co słyszałem, ten cały Knox każe mi śmierdzieć rybami!

– I schudnąć – dodał Eros, nie kryjąc rozbawienia. Miał powód do radości, jemu dostała się rola Piłata, a ten raczej nie śmierdział. – Ale dobrze ci to robi. Od dawna wyglądasz już jak skórzany bukłak.

Grubas wykonał obelżywy gest i z kieliszka boga miłości zapachniało nagle octem. Eros roześmiał się i wylał wszystko do doniczki.

– Mnie niepokoi tylko jedno, szefie – powiedział. – Choćbyśmy nie wiem jak się starali, jest nas tylko trzech. Jesteś pewien, że zdołasz utrzymać taką bandę iluzyjnych postaci na wodzy?

– Nie zamierzam ich wszystkich tworzyć – odparł Kłamca. – Nie są nam potrzebni. Dla mojego planu wystarczy obsadzić najważniejsze role. Jak wasze właśnie czy moja, no i...

Przeszedł się po pokoju, rozważając krążący mu po głowie pomysł. Nie był do końca przekonany, ale musiał działać szybko, a aniołowie nie patrzyliby przychylnie na nowy nabór do jego małego oddziału. Nie pozostał mu więc żaden wybór.

– Potrzebujemy jeszcze kogoś, panowie.



Jezus podniósł się powoli zza stołu i podszedł do wyprężonego jak struna Jana. Poklepał go przyjaźnie po policzku.

– Znakomicie się spisałeś – wyszeptał. – Naprawdę jestem z ciebie dumny, synu. Cała moja rodzina jest. Apostoł jeszcze bardziej wyprężył pierś.

– Zrobiłem to z przyjemnością, Panie.

– Z pewnością tak właśnie było. – Jezus pokiwał głową. Sięgnął po stojący za nim na ławie dzban i nalał sobie wody do glinianego kubka. – A powiedz mi, proszę, jak tam ostatni połów?

– Znakomicie, Panie. Jak zawsze. – Jan na krótką chwilę obejrzał się, by zobaczyć, co robi Chrystus, po czym ponownie wbił wzrok w ścianę przed sobą.

Jezus, który zauważył ten ruch, uśmiechnął się. Z kubkiem w dłoni wrócił za stół.

– W takim razie weźmiesz jedną z największych ryb – polecił uczniowi. – Weźmiesz ze sobą Jakuba i Andrzeja i zaniesiecie ją do domu celnika Mateusza. Z pozdrowieniami od Boga Ojca, który wciąż czeka na należny mu procent od jego zysków. A jeśli to nie pomoże, zabijcie tego konia od namiestnika, a jego łeb włóżcie mu do łożnicy.

Jan skinął głową.

– Tak, Panie. Przyrzekam, że zrobię wszystko, co w mo...

Jezus uniósł rękę, by go uciszyć. Uśmiechnął się do stojącej w progu kobiety.

– Witaj, Marto...

– Stop! – krzyknął reżyser. Momentalnie zmieniły się światła: te na scenie przygasły, za to rozbłysły na widowni. – Jezus, do kurwy nędzy, co miałeś teraz zrobić?!

Aktor speszył się odrobinę.

– Ja miałem teraz powiedzieć... – zaczął, ale Knox nie dał mu skończyć.

– Miałeś się lekko skrzywić, bałwanie! – wrzasnął. – Napisałem to przecież wyraźnie. *Jezus krzywi się lekko, dając widzowi do zrozumienia, że jest pewien, że Marta słyszała ich rozmowę i właśnie wydała na siebie wyrok.* Jak widz ma się tego domyśleć, skoro dajesz mu tylko ten swój tępy wyraz twarzy i prostacki

uśmieszek? No jak, ja się pytam?!

Na moment zapanowała cisza. Reżyser sięgnął po papierosa, a siedzący obok niego kierownik sceny odpalił zapalniczkę i podał mu ogień. Knox zaciągnął się.

– Ty, Marto, byłeś w porządku – powiedział już spokojniej. – Tylko jeśli mogę prosić, odrobinę więcej pogardy w spojrzeniu. Tak jak to ćwiczyliśmy, dobrze? Pamiętaj, że naprawdę go nie znosisz. Przecież on i jego ludzie niemal zakatowali twojego brata, zanim ten przysiągł im lojalność.

Dziewczyna pokiwała głową. Zgasły światła, a aktorzy zajęli.

– Jeszcze jedna taka akcja i szukaj mi nowego Jezusa – szepnął Knox do Thumba.

Ten skinął głową, zastanawiając się, gdzie go znajdzie. Bo że *akcja* będzie mieć miejsce, tego mógł być pewien.



Jenny przenosiła wzrok z jednego boskiego oblicza na drugie. Na każdym z nich szukała choć cienia rozbawienia. Nic z tego, wyglądało na to, że mówili poważnie.

– Że co mam zrobić? – zapytała. Wolała mieć pewność.

– Dołączyć do naszej trupy, kochanie – wyjaśnił Loki. – I wraz z nami zagrać u Theodora Knoxa w największym kulturalnym wydarzeniu ćwierćwiecza.

– To zdaniem „Time’a” – wyjaśnił Eros.

Jenny pokręciła głową przecząco.

– Nie jestem...

– Aktorką? To chciałaś powiedzieć? – Bachus wszedł jej w zdanie. – No to witamy w klubie. Tobie przynajmniej nie każą chudnąć.

– Inaczej nie zmieścisz się do łodzi, tłumaczyłem ci przecież. – Eros poklepał przyjaciela po ramieniu. Loki uciszył ich niecierpliwym syknieniem.

Z przedpokojem dobiegł ich odgłos otwieranego zamka. Wszyscy spojrzeli w tamtą stronę.

– To pewnie Ola – powiedziała Jenny. – Moja nowa współlokatorka. Pochodzi z Polski i nie miała się gdzie podziać, więc ją przygarnęłam na parę miesięcy.

– No świetnie... – mruknął Loki. – Właśnie teraz? – Ja się nią zajmę – stwierdził Eros, wstając. Zaczął już promienieć swym blaskiem, więc Bachus zasłonił Jenny oczy. Nie chciał, by jego przyjaciel miał potem kłopoty z szefem.

Bóg miłości przeszedł przez pokój i zatrzymał się w progu.

– Witaj, piękna – rzucił swym aksamitnym głosem. – Jeśli mogę cię o to prosić, nie zdejmuj płaszcza. Wybieramy się na kolację.

Kłamca odczekał, aż zamkną się za nimi drzwi. Dopiero wtedy ponownie się odezwał.

– Widzisz – zaczął, szczerząc się w przymilnym uśmiechu – kiedy dowiedzieliśmy się, że historia ma mocno rozbudowany wątek Marii Magdaleny, od razu pomyślałem, że nie ma lepszej kandydatki do tej roli niż jej pra-, pra-, pra-i tak dalej -wnuczka. Poza tym...

– Poza tym to nie znamy żadnej innej dziewczyny, która... – zaczął Bachus, ale umilkł spiorunowany spojrzeniem Kłamcy.

– Nie pomagasz mi, Bachusie.

Bóg wina wtulił głowę w ramiona.

– Przepraszam – szepnął.

– Tak czy inaczej, musimy to zrobić na chwałę Pana. – Loki zapomniał, o czym mówił wcześniej, uznał jednak, że to zdanie jest dobre na wszystko. – Bo jeśli my tego nie zrobimy, to kto?

– Profesjonalni aktorzy? – Jenny wcale nie wydawała się przekonana. – Jak ci, których zatrudnił Knox?

Kłamca i bóg wina wymienili spojrzenia. Nadszedł czas na ostateczny argument.

Bachus wyciągnął z kieszeni scenariusz. Położył go na biurku.

– Przeczytaj zaznaczone fragmenty – polecił.

Dziewczyna podniosła kartki i zaczęła czytać. Już przy drugiej miała różowe policzki.

– Sama widzisz – powiedział Loki. – Oczywiście nie będziemy tego robić dosłownie, znam w końcu parę sztuczek, ale i tak jesteś niezbędna. I nie powinnaś się tak wzbraniać. Wiesz, kto zagra Jezusa?



– Jak chcecie, to sami mu to powiedzcie – pisnął Thumb. – Nie zamierzam się dla was narażać. A poza tym...

Kątem oka dostrzegł, że drzwi zaplecza otwierają się, więc natychmiast umilkł. Na salę wszedł Knox, zapinając rozporek.

– Co się dzieje, Erneście? – zapytał.

Kierownik sceny westchnął zrezygowany.

– Aktorzy domagają się przerwy, panie Knox. Mówią, że należy im się po tych czternastu godzinach. Reżyser zrobił zdziwioną minę.

– No to przecież właśnie ją mieli – odparł. – Nie można przecież odpoczywać w nieskończoność, a poza tym... Cliff, mówiłem ci, żebyś się nie garbił, twoja postać była w młodości atletą. Ma mieć plecy proste jak deska. Wracamy do pracy.

Aktorzy posępnie pokiwali głowami i wrócili na miejsca. Kierownik sceny również chciał odejść, ale Knox złapał go za ramię.

– Kto narzekał najgłośniej?

– Piotr – odparł Thumb głosem pełnym rezygnacji. Wiedział, jak będą brzmieć następne słowa reżysera.

– Zwolnij go jutro – polecił Knox. – Nie potrzeba nam buntowników.



Gdy wrócili, bóg miłości siedział na kanapie z nogami na oparciu i czytał książkę. Jego płaszcz leżał na podłodze, a marynarka przerzucona przez krzesło. Butów nie zdjął.

– Kim jesteś i co zrobiłeś z Erosem? – zapytał Bachus, nie kryjąc zdumienia. Takie podejście do własnej garderoby było niepodobne do jego przyjaciela.

– A, to wy? – Ten nawet nie oderwał wzroku od książki. – Przepraszam za ten bałagan, ale zaczytałem się trochę.

– Dziewczyna jednak brzydka? – Loki zdjął płaszcz, a po namyśle również sweter. W mieszkaniu było naprawdę gorąco.

– Wręcz przeciwnie. – Bóg miłości przewrócił stronę, ze stolika podniósł służący mu jako zakładka wycinek gazety i zamknął książkę. – Śliczna i do tego bardzo inteligentna. To ona dała mi tę książkę. Świetna rzecz.

– To co ty tu robisz tak wcześnie w takim razie? – zapytał Kłamca. Dyskretnie zerknął na tytuł książki. Był to *Wróbel* Mary D. Russell.

– Posiedzieliśmy trochę w knajpie, a potem odprowadziłem ją do domu – wyjaśnił Eros. – Ona ma kogoś tam u siebie. Sympatyczny gość, widziałem zdjęcia.

– A od kiedy ci to przeszkadza? – zakpił Bachus. Nareszcie miał okazję odegrać się za te wszystkie przytyki do swej tuszy.

Bóg miłości popatrzył na niego z politowaniem, po czym przeniósł wzrok na Lokiego.

– Wskóraliście coś, szefie? – zapytał. – Znaczy u Jenny.

Kłamca uśmiechnął się.

– Z przyjemnością zawiadamiam, że nasza teatralna trupa jest w komplecie. Brak nam tylko nazwy.

Eros podniósł się powoli i sięgnął do książki. Wyciągnął z niej zakładkę. Wstał i podał ją Lokiemu.

– To artykuł o tej grupie, do której należała współlokatorka Jenny – powiedział. – Jeszcze w starym kraju. Zachowała go sobie na pamiątkę. Uważam, że nazwę mieli całkiem ładną.

Kłamca wziął do ręki świstek i przeczytał. Po chwili pokiwał głową.

– Świetne – stwierdził z uśmiechem. – Naprawdę genialne i poniekąd prawdziwe. Przemawiamy wszak

w imieniu samego Boga, czyż nie?

Podniósł głowę.

– Panowie. Słudzy Metatrona rozpoczynają tournée.

Miesiąc do premiery

– Dobrze, panie i panowie – zakomunikował Knox. – Koniec przerwy. Aktorzy ustawiają się na miejscu. Teraz spróbujemy scenę, gdy Jezus kupuje sobie ochroniarzy wśród rybaków. Piotr... gdzie jest Piotr?

Thumb podrapał się po głowie.

– Zwolniliśmy go przecież – powiedział. – Nikt się jeszcze nie zgłosił na jego miejsce.

– A, tak – przypomniał sobie reżyser. Nie zmartwiło go to szczególnie. Miał w końcu jeszcze całe mnóstwo scen bez Piotra, które mógłby teraz ćwiczyć. Ta zaczeka, aż znajdzie się jakiś solidny aktor.

– Odpowiednia Magdalena też się jeszcze nie zgłosiła? – zapytał. – Ile to już dni czekamy?

– Przeszło tydzień, panie Knox. – Kierownik sceny zerknął do notatek. – A skoro już przy tym jesteśmy, to wciąż nie ma Piłata. Ten cały Ramirez, którego pan wyrzucił, rozsiewa straszliwe plotki w środowisku.

– Co tylko potwierdza moją decyzję. – Reżyser przekartkował scenariusz. – Dobra, dawać mi tu Jezusa, przeciwiczymy scenę z wynajęciem fałszywego ślepcą.

– Tu też jest problem, panie Knox.

Ten przejechał dłonią po twarzy, co mogło oznaczać i chwilową rezygnację, i rodzącą się wściekłość.

– Nie mów... Nie mamy ślepcą?

– Gorzej. Nie mamy Jezusa. Aktor numer jedenaście wziął sobie do serca pańskie uwagi i wyszedł z początkiem przerwy.

– Uwagi? – zdziwił się reżyser. – A co ja mu takiego powiedziałem?

– Nie potrafię zacytować, ale był tak ciężko obrażony, że najpewniej przekaże to prasie i przeczyta pan o tym w jutrzejszej gazecie.

Knox machnął ręką i przeszedł się wzdłuż sceny. Spomiędzy dekoracji spoglądały na niego pełne niepokoju oczy statystów i aktorów drugoplanowych.

Reżyser po schodkach wszedł na podwyższenie. Oparł się o gipsową kolumnę i zerknął na widownię. Powiódł oczami po pustych krzesłach, fotelach na zdobionych złotymi kwiatami balkonach, kryształowych żyrandolach i wzdłuż czerwonego dywanu przymocowanego złotymi prętami do stopni schodów. Kończył się przy dużych wahadłowych drzwiach głównego wejścia i tam właśnie spoczął wzrok Knoxa.

Nie był człowiekiem mocno wierzącym, a już na pewno nie zwykł się modlić, ale w jego życiu zdarzały się chwile, kiedy uznawał, że pakt z Bogiem może przydać się obu stronom. Zwykle wtedy właśnie przedstawiał w myślach swą ofertę.

Boże – szepnął bezgłośnie – to, co chcę zrobić, może ci się opłacić. Wszak cenisz sobie prawdę, nie? A te wszystkie plotki o Jezusie tak naprawdę tylko szkodzą. Uwierz mi więc, że chcę ci tylko pomóc, ale nie zrobię tego, jeśli ty nie pomożesz mi. Pomoż więc, pomóż mi sobie pomóc. Daj mi Jezusa!

I w tej samej niemal chwili wahadłowe drzwi otworzyły się z impetem. W progu stały cztery postaci otoczone niezwykłym blaskiem. Na ich czele długowłosa blondyn.

– Panie Knox – zawołał radośnie, gdy tylko dostrzegł reżysera – Słudzy Metatrona są do pańskich usług!



– ...I wtedy właśnie – Loki zbliżał się do finału swej barwnej i uzupełnianej na poczekaniu opowieści – dowiedzieliśmy się, że szuka pan ludzi. Nie mogliśmy przepuścić takiej okazji.

Knox pokiwał głową w zamyśleniu, po czym przeprosił Kłamcę na moment i podszedł do Thumbę.

– Co o nich sądzisz? – zapytał szeptem. Jego głos sugerował, że sam nie jest przekonany.

– Z wyglądu znakomici – stwierdził kierownik sceny. – Ten cały Val Hallen to idealny Jezus, dziewczyna ma w sobie mnóstwo niewinnego wdzięku, ale zarazem też jakąś taką... ja wiem, drapieżność. Idealna Magdalena. Grubas, gdyby tylko zapuścił brodę, spokojnie mógłby być Piotrem, a ten, co wygląda jak Valentino, powinien się nadać na Piłata. Idealnie!

– Tak. – Reżyser podrapał się po nosie. – I to mnie właśnie niepokoi. Zbyt ładnie. Poza tym niby pasują, ale...

– ...nie będziemy niczego pewni, dopóki ich nie sprawdzimy – dokończył kierownik sceny. – Już leczę po scenariusze!



Bachus popatrzył dyskretnie, czy nikt go nie widzi, i podrapał się w tyłek. Boga wina najbardziej krępowała świadomość, że zaraz będzie musiał zrobić to znowu, bo przyczyna łaskotek, cienki strumyczek potu spływający wzdłuż kręgosłupa, wcale nie wysechł.

– Czy tylko mnie jest tak gorąco? – zapytał stojącej obok Jenny.

– Trudno powiedzieć – odpowiedziała dziewczyna. – Ja jestem zbyt zdenerwowana, by czuć cokolwiek innego. To przecież sam Theodor Knox, widzisz?

– Trudno nie zauważyć – mruknął Bachus. – Mam nadzieję, że znaleźli już kogoś innego do roli Piotra i nie będę im potrzebny.

Zerknął ukradkiem na Erosa. Ten oczywiście wcale się nie pocił. Wyglądał nieskazitelnie, jak zawsze. I do tego cały czas się uśmiechał. W chwilach takich jak ta Bachus nienawidził go z całego serca.

Kłamca skończył rozmawiać z Knoxem i wrócił do nich.

– Wszystko idzie po naszej myśli – powiedział wyraźnie zadowolony z siebie. – Są przyparci do muru.

– Chcesz powiedzieć, że idzie po twojej myśli – uściślił Bachus.

– W łaskawości swojej nie przypomnę, kto nas w to wszystko władował, dobrze?

Przez moment mierzyli się wzrokiem, aż w końcu bóg wina skapitulował. Trudno wpatrywać się z powagą w oczy kogoś, kto nieustannie zmienia kolor tęczy. Loki był mistrzem peszenia przeciwników.

– Co teraz zrobią? – zapytała Jenny.

– Pewnie zaraz przyniosą scenariusz i każą nam się zaprezentować. – Kłamca wyciągnął pudełko wykałaczek. – Masz na sobie bieliznę?



Theodor Knox rzadko klaskał, teraz jednak tłukł rękami tak mocno, że mało mu nie poodpadały.

– Brawo, Jezus! – zawołał. – Doskonale. Piotr też świetnie, reszta trzyma się z dala. Tak, chcę widzieć niepokój na waszych twarzach. Nareszcie prawdziwe emocje. Brawo! Zasłużyliście na przerwę. Panie Val Hallen i panie, ee... Piotrze, pozwólcie tu do mnie.

Loki odgarnął włosy z twarzy, poprawił szatę i ruszył ku krawędzi sceny, zostawiając za sobą jęczącego statystę. Bachus ruszył za nim.

– Przesadziłeś – szepnęła Kłamcy do ucha, gdy się z nim zrównał.

– No coś ty? – Loki wzruszył ramionami. – Przecież żyje, nie?

Zeskoczył ze sceny niemal wprost w objęcia reżysera.

– Podobało się? – zapytał.

Knox złapał go za rękę i mocno nią potrząsnął.

– Było znakomicie. Przyznam, że pańska gra rzuciła nowe światło na moje rozumienie tej sceny. Cały czas myślałem, że Jezus, wyganiając kupców ze świątyni, jedynie wywracał stoły i niszczył mienie. Wie pan, byłem przekonany, że grał twardziela, bo miał za sobą swych wynajętych zbirów. Nie pomyślałem, że

mogło nim kierować wrodzone szaleństwo i zakorzeniona w dzieciństwie agresja. A co najwspanialsze, widać to było w pana twarzy. Ta wściekłość wymieszana z cynizmem uśmiechu, gdy kopał pan tego kupca. Cudowne.

Jakby dopiero w tym momencie dostrzegł Bachusa.

– Pan też był niezły – pochwalił. – Niemal uwierzyłem w pańskie przerażenie. Ćwiczyliście to już kiedyś? Bachus otwierał usta, by zaprzeczyć, Loki go ubiegł.

– Raz czy dwa – przyznał. – Znaczy nie dokładnie taką scenę, ale w podobnym układzie.

– Jeszcze raz brawo. – Knox skinął na kilku statystów w rzymskich zbrojach. – Zabierzcie tego jęczącego za kulisy i wezwijcie mi technicznych, niech zmieniają dekoracje. Tak, chcę mieć dom Magdaleny. Scena pierwszego spotkania. Migusiem!

Odszukał wzrokiem Thumba i pokazał mu wzniesiony ku górze kciuk. Nareszcie wszystko się układało.



Loki wiedział, że to beznadziejne, mimo to spróbował raz jeszcze.

– Kochanie, naprawdę nie rozumiem twojego wzburzenia – rzucił ociekającym słodyczą głosem. – Dałem ci możliwość zagrania u największego reżysera świata, a na dodatek przyczynienia się do ratowania sytuacji Kościoła. Wszystkie dziewczyny o tym marzą, a ty tak mi się odwdzięczasz?

Jenny nie odpowiedziała. W ogóle nie patrzyła w jego kierunku. Wlepiła wzrok w szybę po swojej stronie i przyglądała się mijanym samochodom. Siedzący za kierownicą Bachus zerknął w lusterko i pokręcił głową. Loki wzruszył ramionami.

– Wiesz, kochanie – spróbował z innej strony – mnie też się to nie podobało, że tak publicznie muszę cię dotykać i... sama rozumiesz. Ale wiesz, tego wymagał scenariusz i musiałem się dostosować.

– Powiedz temu obleśnemu typowi – Jenny poleciła Bachusowi – że może sobie te bajeczki zachować dla ulicznych panienek. Swoje lepkie łapska też. I całą resztę.

– Ona powiedziała ... – zaczął bóg wina do lusterka, ale zmrożony spojrzeniem Kłamcy umilkł.

– Obiecuję, że następnym razem ukuję tę scenę z iluzji – zapewnił Loki. – Ale musiałem zobaczyć, jak to będzie wyglądało na żywo, by potem zrobić to bardziej wiarygodnie. Zresztą to przecież nic takiego...

– Świnia! – burknęła Jenny, nie odrywając wzroku od szyby.

Siedzący za nią Eros pochylił się do przodu i dotknął jej karku. Szepnął kilka słów, po czym odwrócił się do Kłamcy z szelmowskim uśmiechem.

Już – szepnął bezgłośnie. Jakby na potwierdzenie Jenny odezwała się. Z jej głosu w jednej chwili wyparowała cała złość. Odwróciła głowę i patrzyła teraz na Lokiego. Z sympatią.

– Mam nadzieję, że następnym razem wymyślisz to jakoś, by było... no, powiedzmy, mniej dosłownie.

– Oczywiście, kochanie – zapewnił Kłamca, wyciągając do niej rękę i ściskając delikatnie jej dłoń. – Postaram się z całych sił.

Jenny uśmiechnęła się i posłała mu całusa. Samochód stanął. Loki poczekał, aż Bachus i Jenny wysiądą. Boga miłości przytrzymał w środku.

– Dzięki za pomoc – powiedział, choć ton jego głosu nie sugerował wdzięczności. – Ale dotknij ją jeszcze raz, a... wiesz, że coś wymyślę. Coś paskudnego. Zrozumiałeś?

Eros zrozumiał.

Tydzień do premiery

Loki zastukał cichutko i wśliznął się do mieszkania. Zanim wszedł do salonu, zsunął buty i wyrównał wstążki na trzymanym w ręce bukietcie.

– To dla mnie? – Siedzący przy stoliku Eros uniósł głowę. – Nie trzeba było.

Na kolanach miał rozłożony biały ręcznik, a obie dłonie trzymał w misce z wodą. Teraz wyciągnął je,

strzepnął i wytarł starannie.

– Jeżeli szukasz Jenny, to wyszła – wyjaśnił. Znowu włożył ręce do miski. – Powiedziała, że musi wrócić do swojego mieszkania i porozmawiać z Olą. Wiesz, jak aktorka z aktorką. Jak ci poszło z Knoxem? Bardzo się pieklił?

Kłamca wzruszył ramionami.

– Trochę – przyznał. – Głędził coś, że to nieodpowiedzialne, że on nie urnie tak pracować. Ale mu wyjaśniłem, że muszę wyjechać, a przecież widział, jak sobie radzę z rolą. No i ostatecznie musiał się poddać. Nawet on nie znajdzie odtwórcy głównej roli w tygodnień.

Podszedł do stolika i wrzucił bukiet do miski Erosa.

– Ej! – oburzył się bóg miłości. – Ja tu ćwiczę przecież.

– Co ćwiczysz? – zapytał zdziwiony Loki.

– No... umywanie rąk. Wszystko inne mam już zrobione, ale to wychodzi mi średnio.

– No tak – westchnął Loki. Mógł się przecież domyślić. Przez te ostatnie tygodnie, od kiedy grali u Knoxa, całą trójkę ogarnęło prawdziwe wariactwo. Nie mówili o niczym innym, jak tylko o przedstawieniu, reżyserze lub własnych rolach. Obejrzeni wszystkie chyba filmy o Jezusie i rozmawiali z każdym, kto przedstawiał się jako aktor. Totalne wariactwo. Kłamca był naprawdę bardzo szczęśliwy, że został im niespełna tydzień do premiery. Był to też najwyższy czas, by wdrożyć ostatnią część planu. Miał nadzieję, że nie pojawi się więcej niespodziewanych kłopotów. Jak na przykład ta nadplanowa robota.

– Gdzie jest Bachus? – mruknął.

Eros ponownie wyciągnął ręce, strzepnął wodę palcami, zaklął niezadowolony i włożył je z powrotem do miski.

– O co pytałeś? Aha, biega w parku.

– Co? – Loki nie dowierzał własnym uszom.

– No, biega. – Bóg miłości wzruszył ramionami. – Zmienił się ostatnio. Schudł, zmężniał... i ciągle się drapie. To przez tę brodę. Podobno strasznie swędzi.

Wzdrygnął się.

Kłamca pokręcił głową z niedowierzaniem. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął z niej zwinięte w rulon kartki.

– Jak się oboje pojawiają, daj im po jednym egzemplarzu – polecił. – To są poprawki do scenariusza. Michał powiedział, że ta nowa robota zajmie mi pewnie z kilka dni, więc spotkamy się dopiero na próbie generalnej.

– Co za poprawki? – Wzrok Erosa ociekał pogardą. Zupełnie jakby patrzył na zdrajcę. Stanowczo za bardzo się zaangażował w ten projekt.

– Konieczne – stwierdził stanowczo Loki. – Są dalszą częścią mojego planu. I radzę ci się do nich zastosować, jak przyjdzie co do czego.

Bóg miłości sięgnął po scenariusz z miną, jakby miał dotknąć zdechłego szczura.

Dzień premiery

Podwójne drzwi otworzyły się z impetem i do Wieczernika wpadli Szymon Piotr i Juda Tadeusz, ciągnąc po ziemi skatowanego Judasza.

Jezus, który właśnie jadł wieczerzę z pozostałymi uczniami, nawet nie spojrzął w kierunku przybyłych. Zamoczył w misie kolejny kawałek chleba i włożył go do ust.

– Znaleźliśmy zdrajcę, Panie – powiedział Piotr. – Pochwyciliśmy go, gdy wychodził od faryzeuszy.

– To nieprawda, Panie – wybełkotał Judasz. – Ja wcale...

Kolejny cios Piotra sprawił, że przerwał w pół zdania.

– Przestań, Szymonie – polecił Jezus. Podniósł się i mrugnął do siedzącej nieopodal Marii Magdaleny. –

Czyż nie powołałem jego tak samo jak i ciebie?

Minął stół i przykucnął przy Judaszu. Chwycił go za podbródek i lekko unióśł głowę pobitego. Przez chwilę przyglądał mu się z czułością, po czym pocałował go w usta.

– Wybaczam ci, synu – powiedział.

Wstał i ruszył na swoje miejsce.

– Zabierzcie go stąd – polecił, siadając. – I niech to wygląda na wypadek. Albo lepiej... samobójstwo.

Nagle Judasz szarpnął się, uderzył tyłem głowy w twarz Piotra i błyskawicznie skoczył do wyjścia. Ktoś chwycił go za szatę, urwał rękaw, ale nie powstrzymało to uciekiniera. Pchnięte ramieniem drzwi otworzyły się szeroko i...

– Dobrze, wystarczy! – zawołał Knox. – Znakomicie. A już się bałem, panie Val Hallen, że te dni wolne panu zaszkodzą. Ale talentu nie da się stłamsić. Piotrze, przyłóż sobie coś do tego nosa, by nie zachlapać krwią kostiumu. Myślę, że jesteście już gotowi. Co uważasz, Erneście?

Odwrócił się do kierownika sceny, który gorliwie pokiwał głową.

– Myślę, że powalimy ich na kolana, panie Knox. Wszystkich.

Reżyser uśmiechnął się tak do niego, jak i do własnych myśli. Chwilę trwał w zadumie.

– Dobrze, robimy próbę generalną, potem dwie godzinki przerwy na obiad, który radzę wam zjeść w kantynie, bo na ulicę nie da się już wyjść. No a potem damy światu kolejną porcję prawdziwej sztuki. Dziś jest nasz wielki dzień, kochani. To będzie dzieło naszego życia.



Ktoś zapukał cichutko do drzwi garderoby. Martha Thomas, kolegom z grupy bardziej znana jako Marta siostra Łazarza, oderwała wzrok od lustra.

– Proszę – powiedziała głośno.

Drzwi uchyliły się i do środka wszedł Ernest Thumb. W rękach miętosił jakieś kartki.

Martha, jak większość aktorów, lubiła kierownika sceny. Uważała, że w przeciwieństwie do reżysera był on całkiem miłym facetem, z którym można było normalnie pogadać. Teraz, widząc jego zboląłą minę, obdarzyła go najładniejszym ze swych uśmiechów.

– Cóż takiego wymyślił znowu nasz kochany reżyser? – zapytała.

Ernest podszedł, wręczając jej plik kartek.

– Doznał objawienia w czasie obiadu – powiedział. Jego głos był równie zboląły jak mina. – I stwierdził, że musi zmienić scenariusz. Oto on, poprawiony.

– Teraz? – zdumiała się aktorka. – Na pół godziny przed premierą? Zwariował?

Kierownik sceny wzniosł oczy ku niebu.

– Stwierdził, że tak dobrze siedzicie w tych postaciach, że nie sprawi wam to większego problemu. Dacie radę.

Pomimo całego swego wzburzenia i niepokoju Martha Thomas nie potrafiła nie docenić komplementu pochodzącego od największego reżysera wszech czasów. Uśmiechnęła się lekko.

– No skoro on tak twierdzi, to wybaczy pan, ale muszę przejrzeć te poprawki.

Ernest wybaczył. Wycofał się grzecznie z dziwnym, zupełnie do niego niepodobnym uśmiechem.



– Sługa Metatrona powrócił do domu! – zawołał radośnie Loki, wchodząc do ich wspólnej garderoby. Wcześniej wymusił na Thumbie, by całą czwórka mogli zajmować jeden pokój. Oczywiście największy. – Wszystko już załatwione. Idzie jak po maśle... Co jest z wami?

Miny pozostałych Sług sugerowały, że nie podzielają jego entuzjazmu.

– Uważam, że robimy mu świństwo – powiedziała Jenny. – To w końcu jego przedstawienie i nie powinniśmy niczego zmieniać.

– Zgadzam się z nią – stwierdził Bachus. – Każdy ma prawo do własnej opinii, na tym polega sztuka.

Nieważne, czego dotyczy.

– Teraz was naszło?! – warknął Loki. – Teraz, gdy wszystko już gotowe?

– Właściwie to myśleliśmy nad tym od tygodnia – wyjaśnił Eros. W stroju Piłata, czerwonym płaszczu na białej todze, wyglądał bardziej jak cesarz niż zwykły namiestnik. – Od kiedy dałeś nam te scenariusze, tylko nie było jak pogadać. Zgodnie uważamy, że tak nie wolno. Nawet Jenny zgodziła się już zagrać w tych wszystkich scenach... no, w których grać nie chciała. Dla dobra sztuki, prawda, Jenny?

Dziewczyna pokiwała głową.

Kłamca z niedowierzaniem patrzył na swoich przyjaciół. W oczach całej trójki widział ten sam fanatyczny blask. Nie było go tylko przez tydzień, a oni już patrzyli na świat oczyma Knoxa. Musiał coś z tym zrobić. I to szybko.

– Słuchajcie – powiedział w końcu nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Bardzo się cieszę, że doceniliście sztukę pana Knoxa, cieszę się też, że odkryliście w sobie artystycznego ducha. Pióro mocniejsze od miecza, jak mawiają, prawda? Ale jeśli zaraz się nie opamiętacie, spuszczę wam na głowy i pióra, i miecze. W pakiecie, wraz z całą resztą anielskich legionów. Czy to jasne?

Przeniósł wzrok na Jenny.

– Na ciebie też coś znajdę, więc się tak nie uśmiechaj. Są rzeczy, przed którymi nie obroni cię nawet archanioł, kochanie.

Klasnął w ręce i podszedł do swojego stoliczka. Ściągnął bluzę przez głowę.

– Skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy, czas brać się do roboty. Ja gram według wersji poprawionej – zapewnił, po czym uśmiechnął się rozbrajająco. – Pozostali zresztą też. Właśnie pilnie studiują zmiany. Będzie kłapa, gdy tylko wy zagracie według starego scenariusza, nie? I ludzie uznają to za pierwszą porażkę Knoxa, a chyba tego byście nie chcieli, co? Mam więc nadzieję, że oprócz głupich rozważań znaleźliście czas, by przeciwzyć to, co wam dałem?

Trójka Sług Metatrona popatrzyła po sobie niepewnie. Oczywiście nie zdążyli.

Pędem rzucili się ku scenariuszom.



– Weź udział w trudach i przeciwnościach losu jako dzielny żołnierz Jezusa Chrystusa – powtórzył sobie raz jeszcze ojciec Maksymilian, zanim wszedł na salę.

Bał się i nie zamierzał tego ukrywać. Lękał się jak zawsze, gdy przyszło mu obcować z prawdziwym dziełem Szatana. Ten spektakl zaś z całą pewnością do takich należał. A Theodor Knox był sługą księcia ciemności.

Kapłan rozejrzał się, przypatrując z uwagą innym wchodzącym na salę ludziom. Byli tam dżentelmeni we frakach, damy w wieczorowych sukniach, ale i zwykli robotnicy o przepitych twarzach i zgrubiałych od ciężkiej pracy dłoniach. Przy kasach awanturowała się właśnie banda skinheadów, większość w koszulkach z innego spektaklu Knoxa, „Prawdziwe życie Rzeszy”, a obok toalet dyskutowała zacięcie grupka mniej lub bardziej znanych scjentystów. Ze schodów, gdzie stał ojciec Maksymilian, nie dawało się dostrzec końca kolejki.

Książd przeżegnał się pobożnie na widok kurtyny, na której namalowano ukrzyżowanego Jezusa, po czym ruszył wzdłuż rzędów, by dopchać się na swoje miejsce.

Westchnął ciężko. Nagle jego misja polegająca na napisaniu uczciwej i rzetelnej recenzji do „Harold's Tribune” przestała mu się wydawać tak istotna. Przecież cokolwiek by napisał, i tak ludzie będą interpretować spektakl po swojemu. A raczej po Knoxowemu.

Chryste – pomyślał – chroń swój Kościół!



– Sporo ich – mruknął Bachus, wyglądając zza kurtyny. – Chyba zaczynam się denerwować.

– To łyknij sobie na uspokojenie – zaproponował Eros. On wydawał się dużo spokojniejszy, przede

wszystkim dlatego, że do jego scen było jeszcze daleko.

– Zwariowałeś? – zachnął się bóg wina. – Przecież pan Knox...

– Cii! – syknął ktoś.

Na publice zgasyły światła i kurtyna powoli zaczęła się rozsuwać.



Ojciec Maksymilian oglądał spektakl z coraz bardziej mieszanymi uczuciami. W pewnym sensie czuł się zawiedziony. Te wszystkie buńczuczne słowa o odnienieniu oblicza Kościoła, o odkryciu skrywanej prawdy okazały się być jedynie marnymi sloganami. Sensacyjną reklamą nastawioną na zysk.

Tak naprawdę jednak kapłana przepelniało szczęście. Wszystko bowiem, co do tej pory ujrział, było zgodne z prawdą ewangeliczną, a w dodatku grane nader porywająco. Trochę co prawda gubiła się chronologia wydarzeń, ale ich przebieg przedstawiono nienagannie.

Chociaż właściwie... Miejsce należące do Knoxa było puste. Nie oglądał własnego spektaklu, a to mogło oznaczać tylko jedno – bał się reakcji tłumu. Więc może po prostu zło w spektaklu jeszcze się nie ujawniło? Może dopiero się pokaże...

Kapłan zadrżał.

Na scenie Jezus wraz z uczniami weszli właśnie do świątyni.



Jezus odwrócił się, a na jego twarzy gościł smutek wymieszany z gniewem. Z trzymanego w ręce sznurka skręcił bicz i jął przewracać stragany stojące w świątyni. Wywracał wszystko, aż doszedł do sprzedawców gołębi.

– Zabierzcie je stąd – polecił, uspokajając się nieco. – I nie czyńcie z domu Ojca mego targowiska.

Wszyscy, łącznie z jego uczniami, wpatrywali się w niego ze zdumieniem, ale on tylko wzniosł oczy ku niebu i zaczął się bezgłośnie modlić.

Po chwili pojawili się faryzeusze, ale widząc go pogrążonego w modlitwie, bali się podejść. On zaś wkroczył na podwyższenie i zaczął nauczać.



Ernest Thumb nie był od rozumienia. Nie zdziwiło go zatem szczególnie, że nie rozumiał, co się właśnie działo. Znał scenariusz Knoxa na pamięć i wiedział, że nie miał on nic wspólnego z tym, co działo się właśnie na scenie. Z drugiej jednak strony przecież rozmawiał z reżyserem osobiście przed samym spektaklem i ten powiedział mu, że wprowadził pewne zmiany. Nie ostrzegł tylko, że ai tak wielkie. Poza tym chyba po raz pierwszy zdecydował się nie oglądać swojej premiery. Ba, nie chciał nawet czekać za kulisami, wołał pójść do domu.

Kierownik sceny westchnął. Stanowczo nie był od rozumienia.



Rzucona do jego stóp niewiasta całkowicie zamazała znaki, które kreślił na piasku.

Jezus lekko uniośł głowę. Uśmiechnął się smutno, gdy dostrzegł uczonych w piśmie.

– Ta kobieta winna jest cudzołóstwa! – nieomal krzyknął jeden z nich, ten stojący na przedzie. – Mojżesz kazał nam takie kamienować. A ty co polecisz?

Jezus zerknął na kobietę, potem na jej oprawców i na powrót wrócił do kreślenia liter.

– Zaprawdę powiadam wam – niemal szeptał – kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień.

Uczeni w piśmie zmieszali się. Krzyczeli coś jeszcze przez chwilę, ale coraz bardziej zaczęli się wykruszać.

Gdy wszyscy już zniknęli z placu, kobieta powoli wstała. Lekko rozchyliła szatę, ukazując drobne, jędrne piersi.

– Potrafię się odwdzięczyć, jeśli chcesz.

Ale on tylko uniósł wzrok i przez chwilę patrzył jej w oczy. Zawstydzona poprawiła szatę.

– Nie potępili cię – stwierdził Jezus.

– Nie, Panie.

– I ja cię nie potępiam. Idź i nie grzesz więcej.

Raz jeszcze opuścił głowę i zaczął kreślić patykiem po piasku...

Zgasły światła. Zakończył się akt pierwszy.



...A potem drugi...



– I jak wypadłem? – zapytał Eros-Piłat, schodząc ze sceny.

– Znakomicie – odparł aktor grający Judasza. Mówił nieco chrypliwie, bo kostiumolog zrobił mu zbyt ciasną pętlę do sceny samobójstwa. – Zwłaszcza umywanie rąk wyszło panu doskonale.

Eros dumnie uniósł głowę i posłał Bachusowi pełne wyższości spojrzenie.

– Widzisz? – powiedział. – I ani razu się nie pomyliłem. Nie to co ty.

– Cicho – skarciła ich Jenny. Stała przy samym wejściu i przyglądała się drodze krzyżowej. Obok niej wyglądali zza kulis aktorzy grający Marię i Jana.

Ze sceny dobiegł ich przeciągły jęk przybijanego do krzyża Jezusa. Był to dla nich sygnał. Powoli wyszli na scenę i wmieszali się w tłum statystów. Nadchodził czas na wielki finał.



Co prawda reflektory nie pozwalały mu widzieć publiczności, ale Loki był pewien, że jednak plan się udał. To nadal był spektakl Knoxa, to jego nazwisko widniało na plakatach i biletach. Jemu też dziękowano na początku przedstawienia. A ludzie nauczyli się wierzyć Knoxowi, zawsze i wszędzie.

Kłamca poruszył palcami zdrętwiałych od wiszenia rąk i podciągnął się do góry.

– Wykonało się! – zawołał w głębi duszy rozbawiony dwuznacnością tych słów.

A potem skonał.



Ojciec Maksymilian nie czuł już rąk, a mimo to nie przestawał klaskać. Łzy ciurkiem płynęły mu po twarzy. I widział, że nie był osamotniony w swym wzruszeniu. W zasięgu jego wzroku wszyscy mieli mokre policzki. Płakali nawet operatorzy umieszczonych na wysięgnikach kamer.

Ktoś krzyknął nazwisko reżysera i zaraz głośnie i miarowe *Knox*, *Knox* niosło się po sali raz za razem. Ksiądz też krzyczał. Młody skinhead chwycił go za rękę i podniósł ją do góry. Krzyczał coś o Jezusie, który jest dobry. To było szaleństwo, prawdziwa histeria. Ale jeśli Bóg patrzył na nią z góry, z pewnością też wiedział, że jest dobra.

Dzień po premierze

– ...Myślę więc, że powinieneś uznać to za spełnienie warunku – zakończył swój wywód Loki. – Tym

przedstawieniem nawrócą setki, może i tysiące. A co do choroby psychicznej tego Knoxa... Jest wojna, to są i drobne straty.

Gabriel zamyslił się. Nawet z samym Lokim mieli już sporo problemów. Perspektywa, że teraz będzie on miał własną grupę, wciąż napawała archanioła przerażeniem. Choć z drugiej strony się spisali. Przedstawienie było niesamowite.

– Kościół pamięta już takie zrywy – powiedział skrzydlaty. – W jednej chwili wszyscy się jednoczą, kibice piłkarscy wpadają sobie w ramiona, politycy deklarują uczciwość, a potem pstryk i nikt już o nawróceniu nie pamięta... Tak to jest, gdy podstawą wiary są emocje.

– Nawet jeśli naprawiliśmy świat na tydzień, to uważam, że zasłużyli na zaufanie – stwierdził Loki. – A poza tym... jak rany, Gabrielu. Coś nam się, cholera, należy za udział w tej bladej. Bajeczka o Jezusie nie miała lepszej promocji od pierwszego wydania Nowego Testamentu.

Twarz boskiego posłańca spochmurniała.

– Dlaczego uważasz, że to błaga? – zapytał.

Loki wzruszył ramionami.

– Wiesz, te wszystkie zakazy, które was blokują... Gdyby był tu naprawdę, to jako syn Boga mógłby je z was zdjąć, czyż nie? Naprawić niedopatrzenia tatusia...

– Owszem – westchnął archanioł. – Mógłby, gdybyśmy mieli dla niego wówczas jakiegokolwiek znaczenie. Ale jemu, gdy przybył, zależało tylko na ludziach. Zstąpił jako człowiek, by ocalić swoich ukochanych braci i siostry. A potem, gdy dokonał aktu zbawienia, po prostu odszedł. Żaden z nas nie zamienił z nim nawet słówka.

Loki patrzył na Gabriela z niepewną miną. Przez moment wydało mu się nawet, że tamten ma łzy w oczach.

– Gdy dowiedzieliśmy się, że ma przybyć – kontynuował archanioł – zgotowaliśmy mu powitanie. Zstąpiliśmy na ziemię, by śpiewać i grać dla niego oraz ogłosić jego przyjście. A wiesz, co zrobił on, gdy zakończył swą misję? Zstąpił do piekła, by pomówić z Lucyferem. Żaden z nas nie dostąpił takiego zaszczytu jak ten upadły...

Loki wstał i poklepał skrzydlatego po ramieniu.

– Tak to już jest z przełożonymi – powiedział. – Jeśli robisz coś dobrze, nikt cię nie widzi. Dopiero jak coś spieprzysz, masz szansę spotkać prezesa. Ale gdy przychodzi do ogłoszenia wyników firmy, kogo zaproszą na przyjęcie?

Archanioł przetarł oczy i uśmiechnął się.

– Równy z ciebie gość, Kłamco – powiedział.

– Nie zapominaj o tym przy wypłacie – rzucił wesoło Loki.

Zadzwoił telefon, a po chwili z kuchni dobiegł ich głos Erosa.

– Szefie, dzwoni jakiś facet z Polski. Mówi, że jest producentem i współzałożycielem grupy Słudzy Metatrona, a my bezprawnie wykorzystaliśmy ich nazwę i coś im się z tego tytułu należy. Słyszę, że stoi z nim jakiś inny gość, podobno etatowy reżyser grupy, i straszy się piekła. Co mam im powiedzieć?

Kłamca skrzywił się w uśmiechu.

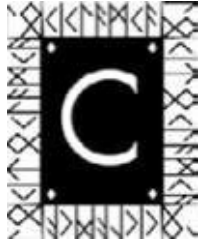
– Powiedz mu, że bardzo im dziękujemy – powiedział. – Dodaj też, żeby przygotowali się na wielką karierę, bo Słudzy Metatrona są teraz sławni, a my nie zamierzamy więcej używać tej nazwy.

Sięgnął po pudełko wykałaczek.

– Aktorstwo jest przereklamowane.

Bóg marnotrawny

Rzym



hodź, przystojniaczku, zabawimy się.

Niewysoki, łysiejący jegomość o prezencji księgowego mafii zatrzymał się w pół kroku i rozejrzał niepewnie. Nikt go jednak nie widział, więc podszedł do wspartej o ścianę kobiety.

Na swój delikatny, dziewczęcy sposób była bardzo piękna. Miała drobny, lekko zadarty nos, wydatne usta i naprawdę wielkie, ciemne oczy. Nosila dżinsową kurtkę i także spodnie. Wyglądała raczej na koleżankę z sąsiedztwa niż prostytutkę, ale wystarczyło, że się uśmiechnęła, a cała jej niewinność zniknęła w jednej chwili. Ta dziewczyna była wcielonym pożądanym.

– No dalej, złociutki – zachęcała. – Wiem, że bardzo chcesz mi go wsadzić. Za dwadzieścia dolców zafunduję ci wycieczkę do nieba i z powrotem. Co ty na to?

Wysunęła lekko język i zwilżyła wargi. Palec wskazujący jej lewej ręki krążył wokół piersi, zataczając coraz mniejsze kręgi.

Mężczyzna raz jeszcze rozejrzał się, po czym sięgnął do kieszeni po portfel. Widocznie uznał, że stać go będzie na tę wycieczkę, bo uśmiechnął się szeroko.

– Gdzie pójdziemy? – zapytał.



Zaczęła od tańca. Była w tym naprawdę dobra. Każdy ruch jej bioder poruszał zmysły, a ręce falowały płynnie przed twarzą mężczyzny niczym węże tańczące w takt melodii fakira. Jędrne piersi lśniły od potu i wonnych olejków.

– Raduj się swym szczęściem, człowieku – wyszeptała w ekstazie, odrzucając do tyłu głowę – bo dziś dostąpisz zaszczytu napełnienia mnie swym nasieniem.

Mężczyzna zrobił głupią minę, ale uznał to za znak, że skończyło się bierne oglądanie. Niecierpliwym ruchem rozpiął pasek i ściągnął spodnie. Gwałtownym szarpnięciem zsunął szorty i wyciągnął ręce w stronę dziewczyny. Ta skoczyła na niego, dociskając swoje usta do jego ust... A potem zabrała go na przejażdżkę.



Gdy już była pewna, że zasnął, ostrożnie wysliznęła się z jego objęć i sięgnęła ręką do szuflady. Pomacała przez chwilę, aż natrafiła na długi metalowy przedmiot. Wyciągnęła go i obejrzała pod światło. Wciąż były na nim ślady krwi po poprzednim razie. Kiedy to było? Dwa lata temu? Trzy? Nie pamiętała. Miała jednak pewność, że i tym razem jej ukochana broń spisze się jak należy.

Szpikulec do kruszenia złodowaciałych serc bezdusznych mężczyzn – czy nie kryła się w tym jakaś poetycka sprawiedliwość?

Ujęła przedmiot w prawą dłoń, odwróciła się... i zamarła.

Leżący obok niej klient w niczym nie przypominał już podstarzałego księgowego. Teraz wyglądał raczej jak muzyk rockowy z okładki pisma dla nastolatek albo serialowy bad guy. Miał długie blond włosy i równo przystrzyżoną brodę okalającą nieco kanciastą twarz. Gdy się uśmiechnął, niedoszła zabójczyni ujrzała dwa rzędy równych zębów.

– Cóż to, kochanie? – zapytał Loki. – Czyżbym zrobił coś nie tak? Przypominam, że to ja tutaj płacę i wym...

Błyskawicznie rzucił się na bok, unikając starannie wymierzonego ciosu. Jego lewa ręka wystrzeliła w górę, łapiąc dziewczynę za nadgarstek i blokując kolejne uderzenie.

– Oj, moja droga – stęknął – tak to się bawić nie będziemy.

Prawą dłonią chwycił gardło prostytutki, po czym z całej siły pchnął ją w stronę drzwi.

Dziewczyna przeleciała przez pokój i uderzyła plecami o ścianę.

Kłamca tymczasem doskoczył do swoich spodni. Wyciągnął z nich maleńką buteleczkę, odkorkował i chlusnął zawartością na twarz dziewczyny.

Ta wrzasnęła przeciągle, a jej ciałem targnęły drgawki. Potem nagle znieruchomiała... i rozplynęła się w powietrzu.



– To nie tak, że się nie cieszę, Loki – powiedział Gabriel. – Naprawdę jestem zadowolony, że wypowiedziałeś walkę sukubom i dbasz o moralność ludzi o słabszej woli. Ale nie uważam, że musisz przez to sypiać z każdym z nich. Pracujesz dla nas i to trochę psuje nasz wizerunek.

Kłamca włożył do ust wykałaczkę i wzruszył ramionami.

– To jedyny sposób, by się upewnić, z kim mam do czynienia – stwierdził. – Myślisz, że mnie się to podoba? Że robię to dla przyjemności? Jestem teraz z Jenny i całkowicie spełniam się w tym związku.

Mówiąc to, przez cały czas patrzył Gabrielowi głęboko w oczy. Ani razu nie mrugnął, za to kilka razy zmienił kolor tęczy. To dekoncentrowało wszystkich. Archanioł nie był wyjątkiem.

Kłamca uśmiechnął się i wyciągnął z kieszeni wykałaczkę.

– A teraz, skoro zapomnieliśmy już o tej sprawie, czy możesz powiedzieć mi, po co naprawdę tu przyszedłeś? Przecież nie żeby mnie pochwalić, co?

– Chciałem zapytać o postępy w sprawie Luigiego.

– Pytasz o naszego ukochanego fryzjera, który do niedawna przewodniczył grupie przestępczej handlującej organami świętych? – upewnił się Loki. – Tego, który podawał się za filistyńskiego demona, nie mając pojęcia, że ów był kobietą? Niech pomyślę... Nie, żadnych postępów.

Gabriel wyprostował się i rozłożył skrzydła. Natychmiast otoczyła go jasność.

– To poważna sprawa, Kłamco – powiedział stanowczym głosem, zarezerwowanym dla zwiastowań i oficjalnych poselstw. – I nie wolno ci jej lekceważyć. Przypominam ci, że święci zapracowali sobie na swoje tytuły. Należy im się z naszej strony gwarancja, że będą mieli przynajmniej spokój.

– Dobra, dobra, bez nerwów! – Loki machnął ręką. – Odkąd przejąłeś tę sprawę, pieklisz się, jakby to była co najmniej apokalipsa. Zapewniam cię, że wyjaśniłem wszystko chłopakom i nie ustają w poszukiwaniach tego typka. Naprawdę mocno się zaangażowali. Prawie nie sypiają przez tę sprawę.

– To mimo wszystko za mało – westchnął Gabriel, powoli wracając do swojej normalnej postaci. Złożył skrzydła i wspiął się na parapet. – Święci zaczynają szemrać, mówić coś o nieudolności...

– Nic nie poradzę. – Wzruszył ramionami Kłamca. – Czasem zdarza się zastój i... Zresztą idź, zapytaj Jeffersona, może on coś...

– Właśnie od niego wracam – archanioł wszedł mu w zdanie. – I owszem, miał pewien pomysł, ale jego wykonanie wymagałoby od niego opuszczenia dzielnicy, a w tym miesiącu mają tam jakiś festyn i alkohol wręcz płynie ulicami. Dlatego przyleciałem po ciebie, żebyś mi pomógł... Tak więc zbieraj się.

– Jaki pomysł? – chciał wiedzieć Loki. Lata, jakie spędził na służbie u aniołów, nauczyły go, że im mniej mówią mu o sprawie, tym mniej jest ona przyjemna.

– Dowiesz się, jak będziemy na miejscu – powiedział Gabriel, ucinając dalsze dyskusje.

Kłamca westchnął ciężko i sprawdził, czy pistolet dobrze siedzi w kaburze. Ostatecznie doszedł do wniosku, że lepiej pozostać przy jednym, bo dwa strasznie dużo ważyły, a poza tym wypychały marynarkę.

Podszedł do okna i pozwolił chwycić się archaniołowi pod pachy.

– Gdybym miał własne skrzydła... – zaczął, ale pęd powietrza sprawił, że umilkł w pół słowa. Wylecieli za okno.

Noc zapowiadała się bezsenna.

Bratysława Słowacja

Bachus był niby spokojny, ale jego oczy pały rządzą mordy. Nie odrywając wzroku od stojącego nad nim kelnera, powoli odstawił kieliszek i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej gruby plik banknotów spięty srebrną klamrą.

– To są pieniądze, jakie planowałem przeznaczyć dziś na napiwek – powiedział, kładąc na blacie sześćdziesiąt euro w pięciu dziesiątkach. Odczekał chwilę, po czym zabrał z powrotem jeden banknot. –

Tyle kosztował cię brudny kieliszek. Tyle wino... – sięgnął po drugiego dziesiątaka – ...które miast chilijskim Sauvignon Blanc okazało się dwuletnim niemieckim Rieslingiem. I w końcu tyle... – trzeci banknot wrócił na swoje miejsce w pliku – płacisz za opryskliwość. Zrozumiałeś lekcję?

Kelner, wysoki chłopak o śniadej cerze i wyželowanych włosach, wzruszył ramionami, po czym bez słowa zwinął ze stołu pozostałe trzydzieści euro. Nie patrząc więcej na Bachusa, odszedł w stronę kuchni.

Bóg wina pokręcił głową z dezaprobatą i odchylił się w wiklinowym fotelu. Westchnął głęboko.

– Ciężki przypadek – powiedział do siedzącego naprzeciw Erosa. – Ale mam nadzieję, że czegoś go to nauczyło.

Jego towarzysz uśmiechnął się z drwiną.

– Myślę, że zapamięta sobie ten dzień na długo – stwierdził. – Wiesz, że nie jesteśmy już w Paryżu?

– Co z tego? – nie zrozumiał Bachus.

– To, że tu, na cholernej Słowacji, mają świetny dzień, gdy trafi im się klient, który zamówi za trzydzieści euro – wyjaśnił bóg miłości, nie kryjąc rozbawienia. – O napiwku tej wysokości nikt nawet nie marzy. Uczyniłeś chłopaka legendą wśród tutejszych kelnerów... I pomyśleć, że chciałeś go ukarać!

Bachus zaczerpnął tchu, by odpowiedzieć, ale po chwili, w trakcie której nie przyszła mu do głowy żadna cięta riposta, wypuścił powietrze.

Eros pokręcił głową i zabrał się za stojący przed nim smażony ser z frytkami, który z całą pewnością nie był ciepły już nawet wtedy, gdy lądował na stole.

Siedzieli w Bratysławie drugi dzień, ale tak naprawdę po raz pierwszy jedli większy posiłek. A już na pewno pierwszy wspólny. Zaraz po opuszczeniu samolotu rozdzielili się bowiem, by szybciej sprawdzić wszystkie otrzymane adresy, kontakty i możliwe kryjówki Luigiego. W Paryżu zapewniono ich, że tu na pewno go znajdują, ale dostali tylko kolejną porcję adresów i potencjalnych znajomych. Po samym fryzjerze nadal nie było śladu. Jakby zapadł się pod ziemię.

To Bachus wybrał tę restaurację. Powiedział, że nie potrafi myśleć na głodnego, a w miłej atmosferze, z pełnym brzuchem i kieliszkiem dobrego wina z całą pewnością wpadnie na pomysł, co robić dalej. Trudno powiedzieć, dlaczego wybrał akurat lokal „Lutecja”. Może dał się skusić kolumnom przy wejściu, zgrabnemu kamiennemu sztyldowi albo starym beczkom ustawionym wzdłuż fasady budynku. Wszystko to wyglądało zachęcająco. Aż do teraz.

Na dodatek – pomyślał bóg wina – znowu wyszedłem na idiotę.

– Jeśli nie znajdziemy nic do jutra, przyjdzie nam zawiadomić szefa – powiedział, zmieniając temat. Wiedział doskonale, że jeżeli jest coś, co może powstrzymać Erosa od złośliwych docinków, to właśnie rozmowa na temat pracy. – A przyznam szczerze, że z tego, co mamy teraz, to nie jestem nawet w stanie wydumać, gdzie powinniśmy dalej lecieć. Loki nie będzie zadowolony.

Eros wzruszył ramionami.

– Są rzeczy, na które nic nie poradzisz – stwierdził. – Facet zdaje sobie sprawę, przed kim ucieka, i nie jest głupi... Jak na człowieka, znaczy.

Bachus przez chwilę wpatrywał się w kieliszek, by zmienić gatunek trunku i dokonać w nim niezbędnych procesów fermentacji właściwych dla rocznika dwudziestego szóstego. Z całego stulecia ten jakoś najbardziej mu smakował.

W końcu zadowolony z efektu podniósł kieliszek do góry, jakby wznosząc toast. Upił odrobinę i skrzywił się z niesmakiem.

– To jednak nadal nie załatwia sprawy brudnego szkła – powiedział. – Ohyda! Zobacz, tu nawet...

Nie dokończył, bo nagle ktoś potrącił jego krzesło. Bachus szarpnął się, łapiąc równowagę i przy okazji wylewając na siebie zawartość kieliszka. Zaklął pod nosem.

– Tak bardzo mi przykro – rozległ się za jego plecami kobiecy głos mówiący po angielsku i zaraz potem smukła dłoń podała mu chusteczkę. – Proszę, niech się pan powyciera, ja tak bardzo... ja nie chciałam i teraz...

Pachniała słodko – wanilią z lekką domieszką pomarańczy. Zbyt słodko, zdaniem Bachusa, który przedkładał kwaśną woń wina nad wszelkie perfumy. Ale w jej zapachu było coś jeszcze, coś dziwnie ostrego, jak imbir albo...

Bóg opilstwa odwrócił głowę... i zamarł. Tuż obok niego stała bowiem najpiękniejsza kobieta na świecie.

Była doskonała. Miała ciemnoniebieskie oczy, twarz o idealnych rysach, z wyraźnymi kośćmi policzkowymi i pełne, naturalnie czerwone usta. Rozpuszczone blond włosy opadały jej na odkryte ramiona.

Ubrana była w kwiecistą sukienkę z dużym dekoltem, sięgającą nie dalej jak do pól uda.

Bachus zmuszał się, by patrzeć jej w twarz. Jego wzrok przypominał piłeczkę na sznurku – sam zjeżdżał w dół i trzeba było sporego wysiłku woli, żeby go podciągnąć.

– Nic się nie stało – powiedział. – Niech się pani nie przejmuj. To tylko białe wino. Nie zostawi nawet śladu.

Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco.

– Naprawdę bardzo mi przykro – wyszeptała, powoli cofając się w stronę baru.

Gruby bóg chciał ją zatrzymać, ale ona wyglądała na naprawdę zażenowaną sytuacją i wołała jak najszybciej zniknąć mu z oczu.

Wzruszył ramionami i odwrócił się do stolika. Westchnął ciężko.

– Możesz ją mieć dziś w nocy, jeśli chcesz – rzucił z rozbawieniem Eros.

Jego towarzysz wyprostował się gwałtownie i przyłożył palec do ust.

– Zamknij się, może cię usłyszeć – wycedził. – I nie potrzebuję twojej pomocy. Jeśli będę chciał...

Eros parsknął.

– Przyjacielu, kiedy ostatni raz patrzyłeś w lustro, co? – zapytał, poprawiając marynarkę. – Bez obrazy, ale gdyby ziemniaki miały bogów, wyglądałoby jak ty. Mały, gruby, kanciasty i...

– Zrozumiałem! – warknął Bachus. Przez chwilę wpatrywał się z wściekłością w Erosa, po czym szybkim ruchem podniósł kieliszek, dopił resztkę wina i energicznie odstawił go na stół. – Nie wierzysz, że mi się uda? Więc patrz... Tylko się nie wtrącaj.

Bóg miłości uniósł ręce i zrobił niewinną minę. Zaraz potem kolejny raz parsknął śmiechem.

– Zatem bierz ją, tygrysie! – zadrwił. – Pokaż, na co cię stać.

Arktyka

– Mogłeś mnie uprzedzić, że wybieramy się na cholerny biegun północny – syknął Loki, trzęsąc się z zimna. – Wziąłbym choć rękawiczki.

Gabriel strząsnął śnieg z bluzy i owinał się skrzydłami.

– Pomyślałem, że skoro jesteś nordyckim bogiem, takie temperatury nie robią na tobie żadnego wrażenia – zakpił.

Kłamca westchnął ciężko.

– Na pewno nie tak wielkie jak anielska głupota – odparł. – Ale czy mam ci przypomnieć, że

przeniosłeś mnie tu z cholernego Rzymu? Tam w dzień jest teraz przeszło trzydzieści stopni w cieniu!

Archanioł uśmiechnął się tylko.

– Spokojnie, zaraz się ogrzejesz, musimy tylko przejść parę metrów.

Loki rozejrzył się. Co prawda porywany potężnymi podmuchami wiatru śnieg mocno ograniczał widoczność, nie na tyle jednak, by nie można było stwierdzić, że otaczały ich jedynie lodowce. No i woda, cały cholerny ocean za ich plecami.

– Jeżeli masz w planach zrobić igloo – powiedział Kłamca – to ostrzegam, że piłę do śniegu zostawiłem w drugich spodniach. Co my tu właściwie robimy? Szukamy fok-zabójców czy jak?

Archanioł pokręcił głową z rozbawieniem i ruszył przed siebie. Choć miał złożone skrzydła, swobodnie unosił się nad zwałami śniegu, ledwie tylko muskając je stopami.

– No rusz się, bo zamrzniesz! – zawołał, nie odwracając się.

Loki zaklął. Gabriel najwyraźniej nie miał zamiaru ani niczego wyjaśniać, ani też pomóc. Kłamcę czekała zatem solidna śnieżna przeprawa...



Gdy Loki dotarł wreszcie do wejścia lodowej jaskini, wyglądał jak bałwan. Brakowało mu tylko kapelusza i nosa z marchewki.

Wsparty o ścianę Gabriel nie omieszkła tego skomentować, Kłamca był jednak zbyt przemarznięty, by silić się na odpowiedź. Skostniałą ręką otrzepał śnieg z ubrania i kilka razy odetchnął głęboko. Zrobił parę przysiadów, wznosił ręce, by się przeciągnąć... i w tej samej nieomal chwili wielka śnieżna kulka trafiła go w twarz.

Kłamca zatoczył się, lewą ręką ścierając z twarzy śnieg, a prawą próbując dobyć broni. Miał tego dosyć, archanioł czy nie...

– Nie celuj tym we mnie! – Gabriel wznosił ręce i mocniej przywarł do ściany. – Na Trony, to nie ja!

– Więc kto? – Loki schował broń i omiół wzrokiem jaskinię. Na pierwszy rzut oka wydawała się mała, ot, zwykła wnęka w lodowcu. Kłamca jednak nie pierwszy raz widział iluzję. Zmrużył oczy, wyszeptał kilka słów i po chwili przed oczami miał już prawdziwy obraz tego miejsca.

Jaskinia była tak naprawdę wysokim lodowym tunelem opadającym gwałtownie ku skąpanemu w blasku placu. Po jednej i drugiej stronie skrzęcej błękitnej ścieżki ciągnęły się równo usypane śnieżne zasy, a nad nimi zwiślały, łypiąc złowrogo przypadkowymi błyskami światła, ogromne sople. *To zza któregoś z zasp z całą pewnością poleciała śnieżka* – pomyślał Kłamca. – *Jedyna możliwość.*

Cichy, stłumiony chichot potwierdził jego przypuszczenia.

– Są tu jacyś ludzie? – zapytał archanioła.

Ten pokręcił głową.

– To nie ludzie, ale i tak nie wolno ci nic im zrobić – zastrzegł Gabriel. – Gospodarz nie byłby zadowolony. Poza tym to był przecież niewinny dowcip. Zwłaszcza ty powinieneś umieć je doceniać, prawda?

Loki westchnął ciężko.

– Masz rację – przyznał niechętnie po chwili. – Powiniennem. Ciągłe obcowanie ze skrzydlatymi całkowicie zabija moje poczucie humoru.

– Coś w tym jest. – Archanioł odszedł dwa kroki od ściany i położył się na lodzie, formując skrzydła na kształt bobsleja. – Choć sądzę, że to bardziej sprawka Jenny niż nasza. Widzimy się na dole, Loki.

– Jasne! – Kłamca uśmiechnął się i raz jeszcze spojrzął na śniegowe zasy. – Będę zaraz za tobą.



Lodowa droga okazała się na tyle gładka, że marynarka Lokiego zniosła rolę sanek nie gorzej niż skrzydła Gabriela. Kłamca podniósł się z ziemi i otrzepał ze śniegu. I wtedy właśnie zobaczył cel ich podróży.

Ogromne, ciągnące się po horyzont skupisko ceglanych budynków otoczonych wysokim na kilka metrów murem było chyba największą fabryką na świecie. Albo raczej obozem pracy dla skazanych, bo – co zauważył po chwili Kłamca – oprócz kilkunastu dymiących kominów kompleks miał także równomiernie rozstawione wieżyczki i drut kolczasty rozciągnięty na ogrodzeniu.

Dokładnie na wprost przybyłych znajdowała się ogromna stalowoszara brama nabita nitami wielkości pięści, z całą pewnością otwierana hydraulicznie. Loki znał co prawda kilku spośród mitycznych olbrzymów, którzy mogliby dać radę tym wrotom, ale raczej żaden z nich nie pracował tu jako odźwierny. Nawet aniołowie nie byłiby takimi idiotami, by trzymać ich w środku i powierzać im pieczę nad drzwiami swego więzienia.

– Rany, kto tu mieszka? – zapytał Loki. – Święty Mikołaj?

Gabriel nie odpowiedział.

Kłamca spojrzał na niego wymownie.

– Żartujesz, prawda? To nie może być fabryka Mikołaja, bo i po co mielibyśmy tu przychodzić? Po plastikowy karabin z laserem? – Roztarł skostniałe dłonie. – To na pewno był pomysł Jeffersona? Bo do tej pory miałem go za rozsądnego gościa...

– Chodź już i nie gadaj tyle! – rozkazał archanioł. – Jeszcze chwila i sam się dowiesz.

– Dobrze, ale poczekaj. – Loki odwrócił się i ostrożnie podszedł do wylotu jaskini. Złożył ręce w trąbkę.

– Świetny żart z tą śnieżką! – wrzasnął na całe gardło. – Naprawdę! Brawo, chłopaki!

Archanioł skoczył w jego stronę, by zatkać mu usta, ale było już za późno. Krzyki Lokiego odbiły się echem od oblodzonych ścian, a zaraz potem zatrzęsała się ziemia i kilka spośród wielkich sopli zjechało pod stopy Kłamcy. Sądząc po stłumionych jękach zza zasp, niektóre spośród nich spadły również tam.

Kłamca uśmiechnął się do archanioła.

– No co? – zapytał, robiąc niewinną minę. – Nie chciałem, aby pomyśleli, że nie mam poczucia humoru.



Nic prostszego pod słońcem – pomyślał Bachus, stając za plecami piękności. – *To tylko śmiertelniczka jakich wiele. Żadna sprawa dla boga.*

Nie potrafił jednak opanować drżenia nóg ani tego dziwnego uczucia, jakby skóra skurczyła się w praniu. W tej chwili miał napięty chyba każdy mięsień. I jeszcze to wrażenie, jakby właśnie wyszedł z kąpieli i nałożył ubranie na niedokładnie wytarte ciało. Zimny pot przyklejał mu koszulę do pleców i mroził kark przy najmniejszym ruchu powietrza.

Po prostu dawno tego nie robiłeś – bóg wina pocieszał się jak mógł. – *Ale co mogło się w tej kwestii zmienić przez ostatnie pięćset lat? Zasada ta sama, tylko gadzety inne.*

Wziął głęboki oddech i zrobił krok do przodu.

– Przepraszam, można...? – Jego słowa zabrzmiały, jakby przejechał puszka po płycie chodnika. Odchrząknął, przykładając pięść do ust. – Chciałem zapytać, czy można się przysiąść.

Dziewczyna odwróciła głowę. Gdy dostrzegła Bachusa, uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ oczywiście – odparła nieco zmieszana. – Myślałam jednak, że ma pan lepsze miejsce.

Brodą wskazała na stolik, przy którym siedział Eros. Spocony bóg zerknął w tamtą stronę, zaraz jednak wzruszył ramionami.

– Jakość miejsca zależy od towarzystwa – odparł. – Tamto przestało mi odpowiadać.

Zauważył, że dziewczyna roześmiała się, i przeanalizował, czy może posunąć się o krok dalej. Nie jest dobrze, gdy już na początku przesadzisz z żartami.

– Poza tym zamówiłem butelkę Chateau Lemarche i mam zamiar się zrewanżować za moją marynarkę – zaryzykował. – No chyba że zgodzi się pani wypić je wraz ze mną, pozbawiając mnie amunicji.

Uśmiechnął się, uważnie obserwując jej reakcję. Czy potraktuje to jako żart? A może uzna, że ma do niej pretensje i znów zacznie przepraszać. Albo...

Dziewczyna roześmiała się i wyciągnęła rękę.

– Mary Ann – przedstawiła się. – Mary Ann Garrety.

– Bartolomew Andrew Chus. – Bóg wina uściskał dłoń dziewczyny i usiadł na krzeselku obok. Skinął na barmana. – Czego się pani napije?

– Jeszcze nie dopiłam, ale dziękuję – wskazała na stojący przed nią kieliszek martini. – Więc również używa pan dwojga imion, tak? Podobno tak robią zwykle mordercy. Słyszałam to w jakimś filmie.

Bachus wzruszył ramionami.

– Papieżom też się zdarza, więc trudno o regułę – odparł. – A co do mnie, to w moim zawodzie czasem liczy się szacunek, a nic tak nie wzbudza respektu jak imiona, których wymówienie zajmuje minutę.

Mary Ann odchyliła głowę i ponownie wybuchnęła śmiechem. Grubas w zachwycie przyglądał się jej odsłoniętej teraz szyi.

– Zastanawiałem się – powiedział, przełykając ślinę – czy widziała pani już film...

Umilkł, rozpaczliwie szukając w pamięci jakiegokolwiek tytułu. Praca sprawiła, że ostatnimi czasy zaniedbał się całkowicie, jeśli chodzi o kulturę.

– Kilka widziałam – odparła wciąż rozbawiona Mary Ann. – Jeśli jednak próbujesz właśnie zaprosić mnie do kina, ostrzegam, że za grosz nie znam słowackiego. Przyjechałam tu na urlop i...

– Myślę, że dam sobie radę z tłumaczeniem – Bachus wszedł jej w zdanie. – Albo wybierzemy jakiś film z Negerblackiem. Od kiedy zaginał, chyba co drugie kino ma jakieś przeglądy jego, wybaczyć dowcip, twórczości.

Obejrzał się na przyjaciela. Cała rozmowa szła nad podziw dobrze i miał głęboką nadzieję, że zawdzięcza to sobie, a nie jego sztuczkom.

Ten jednak nawet nie patrzył w ich stronę. Bóg wina podążył za jego wzrokiem i uśmiechnął się, dostrzegając zgrabną brunetkę w elegancko skrojonym kostiumie. Nie było wątpliwości, że dziewczyna ciałem i duchem należy już do Erosa.

Po raz pierwszy od naprawdę dawna Bachus nie zazdrościł przyjacielowi planów na wieczór. Jego zapowiadały się wystarczająco ciekawie.



Gdy dotarli do bramy, Kłamca kolejny raz wyczuł iluzję. Ta była dużo słabsza i wymagała prostszego zaklęcia, by ją przejrzeć. Po chwili jego oczom ukazały się pancerne drzwi z zasłoniętym wizjerem. Obok był domofon z dużym czerwonym przyciskiem.

Archanioł zawahał się.

– Tylko spokojnie, Loki. I najlepiej nic nie mów. Dawno tu nie byłem, ale sądzę, że podejście do wulgarnego języka, jak twój, raczej się nie zmieniło.

Kłamca wykonał gest, jakby zamykał usta na kluczyk, a potem wyrzucił go za ramię. Podeszedł do bramy i oparł się o nią, zakładając ręce na piersi.

Gabriel wdusił przycisk domofonu.

– Musisz poczekać, skrzydlaty wypierdku – rozległo się po chwili z głośnika – aż Falin skończy srać. Bo mnie nie chce się ruszać.

Zanim archanioł zdążył odpowiedzieć, szum w głośniku ucichł. Znaczyło to, że rozmówca już się rozłączył. Gabriel zdezorientowany spojrzał na Kłamcę, ale ten stał niewzruszony, tylko patrzył pustym wzrokiem w skrzyjący się w słońcu lód. Jeżeli nawet słyszał, nie dawał tego po sobie poznać.

Archanioł zastanawiał się przez chwilę, czy nie zadzwonić jeszcze raz, tylko tym razem użyć głosu zarezerwowanego dla posłań i zwiastowań, tak by strażnik wiedział, z kim ma do czynienia. Już nawet podniósł rękę, gdy nagle rozległ się zgrzyt i drzwi stanęły otworem.

W progu zobaczyli karła o potężnych ramionach i długiej rudej brodzie zatkniętej za gruby skórzany pas. Miał pobrużdżoną twarz ciemną jak razowy chleb, a oczy szare jak wiosenna mgła. Ubrany był w czarny uniform ochrony i czapkę z daszkiem, na której napisano żółtymi literami BRAMA.

– No już, włącz... – Blask bijący od lodu sprawił, że karzeł dopiero teraz spostrzegł, kto przed nim stoi.

Gwałtownie cofnął się o krok i schylił głowę. – Wybacz mi, o świątlisty. Myśleliśmy, że to faerie wróciły ze zwiadu. Zauważyliśmy, że coś się pojawiło na radarze, i posłaliśmy je, żeby się rozejrzały, no i...

Gabriel wznosił rękę, uciszając go.

– Rozumiem – powiedział. – Dość dawno nie byłem tu z wizytą, więc mogłeś nie wiedzieć, jak się zachować. Więcej jednak nie popełnij tego błędu.

Karzeł odetchnął głęboko.

– Dzięki ci za łaskawość, o świątlisty. Obiecuję, że już nigdy...

– Zatrzymaj swoje obietnice i wpuść nas do środka – mruknął Loki. Wciąż wpatrywał się w lód, ale w jego głosie znać było zniecierpliwienie.

Strażnik spojrzął w jego stronę i zeszywniał. Uśmiech zszedł z jego twarzy, a zastąpiło go napięcie. Archanioł dostrzegł tę reakcję.

– Jego nie musisz się obawiać. Nie jest aniołem, ale jest tutaj ze mną. To...

– Loki, syn olbrzymów, zabójca Baldra – wycedził karzeł przez zęby. – Najbardziej przeklęty spośród bogów Asgardu.

Kłamca powoli odwrócił głowę i wtedy po raz pierwszy spojrzął na odzwierne. Zmarszczone brwi i ściągnięte usta sugerowały, że usilnie stara się skojarzyć jego twarz. Bezskutecznie.

Pierwszy ze zdumienia wyrwał się Gabriel.

– Nie wiem, czy powinienem się cieszyć, że się znacie – powiedział dostojnym głosem. – Myślę, że będziecie mieli jeszcze czas porozmawiać, a tymczasem potrzebuję pilnie mówić z twoim panem. Loki jest moim gościem, zapamiętaj, strażniku!

Karzeł powoli skinął głową, cofnął się o krok, tak by przybyli mogli spokojnie wejść na teren fabryki. Ani przez moment nie spuszczał jednak wzroku z Kłamcy. A jego oczy płonęły nienawiścią.



Gdy położyła dłoń na jego dłoni, zadrżał.

– Nie – powiedziała.

– Nie masz ochoty? – zapytał Bachus wyraźnie zdumiony jej reakcją. Do tej pory wszystko wskazywało na to, że dobrze zaplanował ten wieczór. A teraz...

Mary Ann uśmiechnęła się do niego i cofnęła rękę.

– Oczywiście, że mam, głuptasie – odparła. – Nie przyszliśmy tu przecież bez powodu. Ale co to za frajda z kupionym biletem?

Bóg wina, wciąż zdumiony, schował portfel z powrotem do kieszeni i wyszedł z kolejki do kasy. Nie za bardzo rozumiał zasady jej gry, ale skoro tego właśnie chciała, nie zamierzał jej zawieść.

– Jak więc tam wejdziemy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale razem na pewno uda nam się coś wymyślić. – Popatrzyła na zegarek. – Tyle że jeśli mamy zdążyć, powinniśmy się pospieszyć. Seans już za osiem minut.

Bachus pokiwał głową. Stał, przez chwilę skubiąc górną wargę i zastanawiając się, co w tej sytuacji zrobiłby Kłamca. On z całą pewnością nigdy nie płacił za kinowe bilety.

Tyle że szef potrafi przyjąć dowolną postać – pomyślał. – A poza tym jest cholernym bogiem kłamstwa, a to niezwykle przydatna umiejętność w takich sytuacjach. A do czego może przydać się...

I nagle już wiedział.

– Zaczekaj tu – powiedział do Mary Ann, po czym potruchtał w stronę chłopca kasującego bilety. Zbliżył się do niego i wyszeptał parę słów, wskazując na grupę nastolatków, która chwilę wcześniej minęła bramkę i teraz zmierzała już ku wejściu na salę. Chłopak odwrócił się gwałtownie i pognął za nimi.

Grubas skinął na Mary Ann, by podeszła, po czym jak gdyby nigdy nic minęli bramkę i zanim pracownik wrócił na swoje miejsce, skręcili do najbliższej sali.

Dziewczyna nie mogła wyjść z podziwu.

– Jak to zrobiłeś? Co mu powiedziałeś? – dopytywała zdumiona.

– Nic takiego. – Bachus wzruszył ramionami. – Ja tylko uprzejmie doniosłem, że grupa nastolatków wnosi w kubkach na colę alkohol.

Mary Ann parsknęła śmiechem.

– I uwierzył? Boże, jacy ludzie są czasem naiwni! A skąd ty to niby miałeś wiedzieć?

– No właśnie, skąd? – Bachus również się roześmiał. Nie wiedzieć czemu znowu pomyślał o Kłamcy i jego metodach działania. – Aż dziw, że ludzie wciąż łapią się na najprostsze sztuczki.



– O Boże! – To było jedyne, co zdołała z siebie wykrztusić. Jej ciało wciąż drżało od niedawnej rozkoszy, a serce wciąż tłukło się jak oszalałe. – O Boże...

Eros założył ręce za głowę i z lekkim znużeniem przyglądał się swej zdobyczy. Właściwie w ubraniu wyglądała dużo lepiej, a cała frajda tego wieczoru skończyła się dla niego, gdy tym razem bez sztuczek zaciągnął dziewczynę do pobliskiego hotelu. Nie było to szczególnie trudne zadanie.

– To było... o Boże... – powtarzała jak zacięta płyta, wciąż jeszcze walcząc z nierównym oddechem. Ciemnobrązowe włosy lepiły jej się do czoła. – To było niesamowite.

Bóg miłości westchnął. A jakie niby miało być? Od wieków dawał bądź potęgował rozkosz i znał wszystkie tajniki tej sztuki. Pomijając nawet jego moce, a biorąc pod uwagę samo tylko doświadczenie, czyż mógł nie być najwspanialszym kochankiem świata?

I gdybym chciał – pomyślał – mógłbym spokojnie wyjść z tą dziewczyną Bachusa, a ona nawet by na niego nie spojrzała. Jedno słowo i nie widziałyby świata poza mną.

Właściwie nie wiedział, dlaczego tak pomyślał, ale gdy już przemknęło mu to przez głowę, zmuszony był przyznać, że tu właśnie tkwi przyczyna jego złego nastroju. Bo Bachus nie musiał stosować żadnych sztuczek. Po prostu podszedł i zagadał. Jak miliony ludzi na całym świecie. Jak wszyscy ci, którzy tłumaczą uczucie chemią i nie potrzebują już boga miłości, by umawiać się na randki.

– Jeszcze nigdy... – zaczęła dziewczyna, ale Eros nie miał ochoty tego słuchać. Dotknął jej kostki i wyszeptał zaklęcie.

W jednej chwili wyprężyła się w spazmie rozkoszy, jęcząc cicho. Bóg miłości wstał, włożył ubranie i wyszedł bezgłośnie. Robota, dla której tu przyjechał, wciąż czekała. Miał nadzieję, że pomoże mu zająć myśli.



– Skąd znasz tego strażnika spod bra...

– To on mnie zna, nie ja jego! – Loki posłał archaniołowi stanowcze spojrzenie, mając zamiar uciąć w ten sposób wszelkie dyskusje. Tym razem jednak nic z tego nie wyszło.

– Przypominam ci, Kłamco, że dla nas pracujesz – powiedział Gabriel. – I nie życzę sobie, byś miał przed nami takie tajemnice. Ten karzeł wyglądał, jakby przy pierwszej lepszej okazji chciał cię zabić.

Loki wzruszył ramionami.

– Tacy jak on zwykle nie czekają nawet na okazję – odparł. – Jest nią sama obecność potencjalnej ofiary. To karzeł, archaniele, relikwiarz świata, który zniszczyliście. Za co jestem wam oczywiście cholernie wdzięczny – dodał pospiesznie, widząc, że twarz Gabriela tężeje. – A co do tego, że wiedział, kim jestem? Powiedzmy, że tam, skąd pochodzę, byłem dość znany... i średnio lubiany.

– Znam twoją historię – stwierdził archanioł. – Nie wiedziałem jednak, skąd pochodzi ten karzeł. Mnóstwo się tu płacze istot mitycznych z różnych światów. Przestałem je rozróżniać.

– Tak, prawo zwycięzcy dzielić innych na swoich i przegranych. – Loki uśmiechnął się. – Aha, zapomniałem, są jeszcze straty wliczone. Prosty układ, podoba mi się.

Gabriel chciał coś dodać, ale zrezygnował. Poruszył skrzydłami, by lepiej ułożyć się na poduszkach.

Od blisko kwadransa siedzieli obaj na rozłożystej kanapie w przeszklonym biurze naprzeciwko bramy. Czekali, licząc, że siedzącej za biurkiem faerii o fioletowych włosach i srebrzystozielonych skrzydełkach

uda się w końcu połączyć z sekretariatem Mikołaja.

Z braku innych zajęć obserwowali przechodzące przez plac karły w roboczych strojach. Jedni ubrani byli w kombinezony, inni w czarne od smaru fartuchy. Niektórzy mieli na głowach górnicze kaski z latarkami. Wszyscy za to nosili długie brody podobne do tej, jaką miał strażnik przy bramie.

Pomiędzy karłami śmigały, łopocząc motylimi skrzydłami, wielokolorowe faerie z papierowymi teczkami bądź neserami w drobnych rączkach. Pomimo że bez trudu mogły wzlecieć wyżej, trzymały się na dokładnie takiej wysokości, by co rusz wpadać na karły i wykłócać się z nimi.

Ku zaskoczeniu Kłamcy brodacze zwykle wychodzili z tych starć przegrani, pokornie przyjmując okładanie papierowymi teczkami po głowach. Czekali, aż skrzydlatym awanturniczkom znudzą się wrzaski, po czym spokojnie ruszali przed siebie.

– Z tego, co widzę, wiele się w zwyczajach karłów zmieniło, od czasu gdy miałem z nimi styczność po raz ostatni. – Loki westchnął i podparł policzek kantem dłoni. Wciąż jeszcze pamiętał lanie, jakie sprawiły mu pokurcze z gwardii Odyna w dniu, w którym go pojмали. I z całą pewnością nie użyli do tego gałązek jemioli.

Wyciągnął z kieszeni pudełko wykałaczek. Włożył jedną z nich do ust i zerknął w stronę siedzącej za biurkiem faerii.

– Hej, panienko, macie tu jakieś kolorowe pisemka z krzyżówkami? Albo cholerną telewizję? – Brodą wskazał odbiornik zawieszony pod sufitem naprzeciw biurka. – Nie żebym się żalił, ale troszkę nudno.

– Loki! – syknął Gabriel. Każda chwila czekania dłużej nadwątlala powagę jego poselstwa, walczył więc o każdy jej okruszek. – Nie możesz w spokoju posiedzieć pięciu minut?

– Mogę, ale dziś w programie Jerrego Springera będzie o kobietach, którym objawiły się anioły i zaszły w ciążę. Strasznie jestem ciekaw, jak to się udało, zważywszy, że skrzydlaci nie mają sprzętu, prawda?

Wstał i nic sobie nie robiąc ze spojrzenia archanioła, podszedł do biurka. Tak jak się spodziewał, na blacie leżał pilot. Kłamca sięgnął po niego i włączył odbiornik.

Na ekranie zobaczyli trójwymiarowy, obracający się powoli model mężczyzny. Nad jego głową migał napis: *List numer 4000202, poziom życzeń 3, weryfikacja postępów*. Loki spróbował przełączyć program, ale spowodował tylko, że na ekranie pojawiło się więcej tekstu.

– Paweł Deptuch – przeczytał Kłamca. – Lat dwadzieścia jeden, obywatel Polski.

Podszedł bliżej, by przyjrzeć się umieszczonemu w rogu zdjęciu. Dostrzegł pociągłą, pokrytą kilkudniowym zarostem twarz o prostym nosie i ciemnych, brązowych oczach. Trudno powiedzieć, że chłopak był uśmiechnięty, ale w kącikach jego ust krył się cień rozbawienia. Albo drwiny.

– To tacy też piszą listy do Mikołaja? – mruknął zdziwiony Loki – Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co za...

Przerwał i zmarszczył brwi. Tuż pod zdjęciem znajdował się mały napis: *aktualne miejsce pobytu Bratysława, Słowacja*.

Kłamca odwrócił się i spojrzał na archanioła.

– To tak chcesz znaleźć Luigiego? – zapytał, nie kryjąc uznania. – Diabło sprytne.

– Nie diabło, ale dziękuję za uznanie – odpowiedział archanioł z uśmiechem. – Przekażę Jeffersonowi.

Faeria zza biurka odsunęła słuchawkę od ucha i przysłoniła dłonią mikrofon.

– Święty Mikołaj serdecznie pana zaprasza, archaniele – powiedziała cichym, melodyjnym głosem. – I przeprasza, że musiał pan czekać. Co do pańskiego towarzysza, to niestety nie może on wejść do biura przez wzgląd na zainstalowane w nim zabezpieczenia przeciwko istotom magicznym, ale za chwilę pojawi się przewodnik, by oprowadzić go po terenie zakładu.

Loki skinął głową i westchnął. Zwiedzanie fabryki – naprawdę, zawsze o tym marzył...



Co ja robię? – przemknęło przez głowę Bachusowi. – *Chyba już całkowicie mi odbiło.*

Mur, na który właśnie wszedł, miał niespełna dwa metry wysokości i był szeroki na dwie cegły. Ktoś średnio wysportowany mógłby spokojnie się po nim przespacerować, bez szczególnej trudności utrzymując

równowagę. Mógłby też, co było zamiarem Bachusa, bez kłopotu stać w jednym miejscu dość długo, by narwać bzu na pokazny bukiet.

Problem boga wina polegał na tym, że ostatni raz mógł nazwać się wysportowanym jakieś dwadzieścia pięć wieków temu. A to szmat czasu nawet jak na bóstwo.

– Złaż stamtąd, wariacie, bo zrobisz sobie krzywdę! – zawołała rozbawiona Mary Ann. – I tak nie będę miała co zrobić z tymi badylami.

– Skoro ja mogę narażać życie... – Bachus złamał i szarpnął pierwszą gałązkę. – ...to ty poświęcis się na tyle, by znaleźć jakiś wazon. A w hotelu jeszcze pięknie ci podziękują. Założę się, że w żadnym pokoju nie będzie tak ładnie pachnieć. No i jeszcze...

– Pożyczyć ci noża? – rozległ się nagle cichy szept spod drzewa.

Bachus omal nie spadł, ale w ostatniej chwili mocniej złapał gałąź i jakoś odzyskał równowagę.

Wyteżył wzrok. Ogród z drugiej strony muru był pogrążony w ciemności, tak więc dostrzegł tylko niewyraźną męską sylwetkę. *Ochroniarz!* – pomyślał. – *Tylko w takim razie dlaczego szepcze?*

Wtedy tajemniczy mężczyzna zapalił małą latarkę i oświetlił swoją twarz. Uśmiechał się złośliwie.

– Coś się stało, Barti? – zapytała Mary Ann zaniepokojona. – Co tam widzisz?

Bachus obejrzał się w stronę dziewczyny i zrobił nieszczęśliwą minę.

– Spadły mi klucze – powiedział. – Muszę tam zejść. Zaczekasz tu na mnie?

– Ależ skąd! – Dziewczyna parsknęła śmiechem. – Na taką ofiarę, co gubi klucze w czasie kradzieży?

Tylko bądź ostrożny, tam mogą być psy.

Bóg wina pokiwał głową, kucnął i zeskoczył na ziemię.

– Eros, do cholery – wycedził przez zęby. – Co ty tu robisz? Czego chcesz?

Ten wzruszył ramionami.

– Tak sobie tylko przechodziłem, wykonując NASZĄ pracę, i przypadkowo was dostrzegłem. Pomyślałem, że zapytam, jak ci idzie.

– Zanim się nie pojawiłeś, szło świetnie. – Bachus wstał i otrzepał ręce. – I zaraz znowu tak będzie, bo właśnie się stąd wynosisz, prawda?

Eros sięgnął ręką i zerwał gałązkę, powąchał kwiat.

– Strasznie wolno ci to idzie – powiedział. – Jak chcesz, to pomogę ci załatwić to szybciej i...

Błyskawiczny, celnie wymierzony cios w podbródek powalił go na ziemię. Bóg miłości stęknął.

Bachus pochylił się nad nim i pogroził pięścią.

– Nie waż się nawet sugerować czegoś takiego, rozumiesz? To porządna dziewczyna!

– Tylko proponowałem, nie gorączkuj się! – Eros wyciągnął przed siebie otwarte ręce, dając znak, że się poddaje. Wstał powoli i otrzepał ubranie. – Baw się zatem dobrze. Tylko pojaw się rano w hotelu, bo znalazłem dziś naszego Luigiego. Teraz nie za bardzo można się do niego dostać bez narażania postronnych, ale rano zrobimy na niego...

– Będę, idź już! – przerwał bóg wina. Odczekał, aż przyjaciel zniknie w ciemności, po czym wspiał się na mur. Stał na nim i ponownie zaczął rwać gałązki.

– Dałyś już sobie z tym spokój – poprosiła Mary Ann. – I czy mi się wydawało, czy ty z kimś tam rozmawiałeś?

– A owszem. – Bachus pokiwał głową i uśmiechnął się. – Z bogiem miłości... o tobie.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Proszę, proszę, jaki romantyk!



Zwiedzanie fabryki Mikołaja wlokło się Kłamcy niemiłosiernie. Służący mu za przewodnika i kierowcę gburowaty karzeł z brodą wyglądającą i śmierdzącą jak snopek gnijącego siana nie dość, że nie odpowiadał na żadne zaczepki, to jeszcze jedyne zdanie, jakie wypowiedział, brzmiało: I pod żadnym pozorem nie wolno schodzić z wózka w trakcie zwiedzania. Potem już tylko całą drogę nucił pod nosem pieśń o pojmaniu i uwięzieniu zabójcy Baldra. Loki nie miał pojęcia, że jest ona aż tak długa i pełna szczegółów.

W pierwszej kolejności zwiedzili wszystkie place załadunkowe, warsztaty i ogólnie dostępne baraki, jak stołówka czy świetlica. Potem przyszła kolej na przestronne magazyny z wysokimi na kilka metrów regałami pełnymi kartonowych pudeł różnych rozmiarów. Kłamca nie miał pojęcia, dlaczego ktoś chce, by to wszystko oglądał. *Nie mógł mi po prostu zaproponować, bym posiedział w świetlicy? – pomyślał, mocniej otulając się wypożyczonym futrem. – Ech, święci i ich cholerne rozumienie uprzejmości!*

Głośno jednak nie powiedział nic, robiąc dobrą minę do złej gry i czekając, aż w końcu trafią do głównej hali fabryki. Tam z pewnością musiało być cieplej. Niczego więcej nie oczekiwał.



Główna hala od wewnątrz wyglądała na wskroś nowoczesnie. Niewielu było na niej pracowników, za to pełno maszyn świecących milionami wielobarwnych światełek, metalowych koryt wypełnionych wiązkami kabli i elektronicznych tablic ze statystykami wykonanej pracy.

Nad taśmami produkcyjnymi, które obsługiwały przeważnie ubrane w białe fartuchy faerie, sunęły na ogromnych szynach wielkie, zdalnie sterowane chwytne ramiona przenoszące kosze pełne nowych, gotowych zabawek. Trafiały one później na akumulatorowe wózki, a te odwoziły je do magazynu.

Nieco głębiej, za oszklonymi ścianami, grupa gnomów w białych kitlach przeprowadzała eksperymenty na nowo zaprojektowanych lalkach barbie.

Karzeł zatrzymał się tuż przy jednej z takich oszklonych ścian i wysiadł z wózka. Bez słowa czy choćby jednego spojrzenia ruszył w stronę wejścia do tej sali prób. Loki po chwili wahania podążył za nim.

Zaczynał mieć dosyć tego pokurcza. Nie podobało mu się, że brodacz tak jawnie okazuje swą pogardę. Przecież on, Loki, był kiedyś jednym z Asów, którym te kurduple składały przysięgi i biły pokłony. A teraz na dodatek był cholernym gościem ich szefa, Świętego Mikołaja.

No tak – zreflektował się, jak głupia była to myśl, i uśmiechnął pod nosem. – Mnie z całą pewnością przekonałby taki argument.

Tymczasem karzeł przeszedł przez pomieszczenie, zupełnie lekceważąc pracujące w środku gnomy, i otworzył masywne metalowe drzwi. Odwrócił się i ręką wskazał Lokiemu, by tamten wszedł pierwszy.

Kłamca zerknął do środka. Oświetlony na czerwono korytarz o podłodze zbudowanej z połączonych ze sobą krat wyglądał jak wyciągnięty z jakiejś kosmicznej gry komputerowej. Na pewno nie jednej z tych, do których chciałoby się przenieść w rzeczywistości.

Mimo wszystko Loki zrobił krok do przodu, a potem chyba jeszcze jeden, choć tego akurat nie mógł być już pewny, bo mocny cios w tył głowy powalił go na ziemię, pozbawiając przytomności.



Gdy się ocknął, leżał nagi na zimnej kamiennej posadzce, oświetlony migoczącym blaskiem pochodni. Potwornie bolała go głowa, a na kostce prawej nogi czuł mocny uścisk. Gdy nią poruszył, zabrzączał łańcuch.

No to, kurwa, pięknie – pomyślał, próbując podnieść się na czworaka, jednak przeszywający ból w lewym boku powalił go z powrotem na ziemię. Loki walczył z samym sobą, by znowu nie zemdleć, a żołądek skurczył mu się, grożąc mdłościami.

Kłamca przywarł do posadzki, usiłując uspokoić oddech. Ból w boku musiał oznaczać przynajmniej jedno złamane żebro, starał się więc nabierać powietrza wolno i płytko.

Cholerny pokurcz!

Poza kręgiem światła coś się poruszyło. Najpierw był to pojedynczy dźwięk, zaraz jednak dołączyły do niego kolejne, dochodzące ze wszystkich stron. Najwyraźniej widzów zbierało się coraz więcej.

Najdelikatniej jak tylko mógł Loki odwrócił głowę i wyteżył wzrok. Po dłuższej chwili wydało mu się, że jest w stanie dostrzec sylwetki karłów, choć nie był pewien, czy nie jest to aby projekcja jego własnej wyobraźni usiłującej splatać mu figla.

Gdy jednak poleciała w jego stronę pierwsza śnieżka, przestał mieć wątpliwości. Kulił się, przyjmując

kolejne mroźne uderzenia.

– Zdrajca! – ryknął niski głos gdzieś z tłumu. – Pomiot skurwiałych olbrzymów!

Śnieżka krzykacza, prawie w całości składająca się z lodu, ugodziła Kłamcę prosto w zraniony bok. Loki zawył z bólu. Tłum odpowiedział entuzjastycznym rykiem.

– Morderca!

– Tchórzliwe bydłę!

Wyzwiska, a wraz z nimi mroźne kule padały coraz gęściej. Kłamca był pewien, że już dłużej nie jest w stanie wytrzymać. Przed oczami widział czerwone plamy, bok palił go żywym ogniem, a chłód sprawiał, że każde uderzenie odczuwał podwójnie boleśnie.

– I jak się teraz czujesz, zabójco Baldra?! – zawołał ktoś. – Czy nadal chcesz...

– Wystarczy!

I nagle wszystko ustało. Nie poleciała już ani jedna lodowa bryłka, nie rozległ się więcej żaden okrzyk. Wszystko ucichło w jednej chwili. W ciszy Loki usłyszał głośne kroki, a w chwilę później ubrana na czarno postać o twarzy przysłoniętej kapturem wkroczyła w krąg światła.

Kłamca nie był już nawet w stanie unieść głowy. Leżąc płasko, ograniczał ruchy. Łzy bólu płynęły mu ciurkiem po twarzy, sprawiając, że wszystko widział jakby za mgłą.

Postać stanęła tuż przed nim i pochyliła się, chwytając ofiarę za włosy. Szarpnęła, podciągając ją do góry.

– Witaj, Loki – powiedziała niskim, męskim głosem. – Jak to miło, że postanowiłeś nas odwiedzić.

Lewą ręką postać zsunęła kaptur, ukazując swą twarz. Niby podobną do wszystkich karlich twarzy, jakie Kłamca widział w życiu, ale z drugiej strony jakoś inną, dziwnie znajomą.

– Poznajesz mnie? – zapytał pokurcz, szczerząc się w nieprzyjemnym uśmiechu. – Jestem...

– Głoin... byłeś podczaszym Odyna – wystękał Loki, rozpoznając oprawcę. Przypomnił sobie wszystkie figle, jakie przez lata mu płatał, i skrzywił się na myśl o czekającej go przyszłości.

Karzeł skinął głową, nie przestając się uśmiechać. Puścił włosy Kłamcy, pozwalając, by jego głowa swobodnie uderzyła o posadzkę. Wstał i otrzepał ręce.

– Nasz gość już dość się dziś zmęczył – powiedział do ukrytych w ciemności pobratymców. – Zaprowadźcie go zatem do kwatery, a ja rano postanowię, co z nim zrobimy. Rozejść się.

Pomruk niezadowolenia przemknął przez szeregi, ale szurania i odgłosy kroków, które rozległy się zaraz potem, świadczyły, że karły wykonały jednak polecenie.



Gabinet Świętego Mikołaja przypominał kancelarię prawniczą rodem z amerykańskiego serialu. Na wprost wejścia znajdowało się ogromne dębowe biurko, zza którego wystawał fotel obity czarną skórą. Po lewej, pod ścianą, stała biblioteczka z rzędami równo ustawionych, jednakowo oprawionych książek, a dokładnie naprzeciw barek.

Na podłodze rozłożono puszysty jasnobrązowy dywan z obrazkiem przedstawiającym pierwszych ludzi polujących na mamuta.

Nigdzie nie było widać ani fotela, ani chociaż krzesła dla petentów, co oznaczało, że święty albo nie zwykł przyjmować gości, albo zupełnie zapomniał, czym jest kultura.

Gabriel zmarszczył brwi. Znał Mikołaja i zdziwiła go zmiana, jaka nastąpiła w tym miejscu od czasu jego ostatniej wizyty. Zapamiętał je zupełnie inaczej.

Gospodarz pojawił się po kilku minutach, wchodząc drugimi drzwiami, niewidocznymi z powodu zasłaniającej je biblioteczki. Niósł w rękach obrotowe krzesło.

Mikołaj różnił się bardzo od popularnego wizerunku, jaki znało każde niemal dziecko na świecie. Przede wszystkim miał śniadą skórę oraz wygląd i posturę dbającego o siebie czterdziestolatka. Ani śladu zbędnych kilogramów, za to wyraźne linie mięśni rysujące się pod napiętą koszulką. Nosił dobrze zadbaną brodę średniej długości, zdecydowanie czarną, choć w niektórych miejscach przetykaną pasemkami siwizny, oraz długie włosy związane w koński ogon. Na widok archanioła odetchnął z ulgą i odstawił

krzesło.

– Witaj, Gabrielu – powiedział, wyciągając rękę. – Ta cholerna faeria wprowadziła mnie w błąd. Byłem przekonany, że to Michał.

Archanioł uściśnił podaną mu dłoń.

– To dla niego to wszystko? Te zmiany? Kiedy byłem tu ostatnio, to pomieszczenie wyglądało jak pokój w akademiku. Pełno płyt na podłodze i plakatów na ścianach. A teraz... może spowaźniałeś? Święty Mikołaj przestał bawić się w Piotrusia Pana i wydorosłał?

Święty odchylił głowę i roześmiał się.

– Ależ skąd – odparł. – Ale Michał bywa tu dość często, a wiesz, jaki z niego tradycjonalista. Gdyby mógł, najchętniej zmusiłby mnie, bym postarzył swoje ciało, tak by wyglądało jak za życia. Wiesz, on uważa, że skoro to miejsce jest poniekąd więzieniem dla pogańskich wybryków natury, to ja, jako strażnik, muszę wyglądać jak święty z prawdziwego zdarzenia. Znaczący wychudły dziadyga, najlepiej jeszcze stale w szatach liturgicznych. Na to oczywiście nie pójdę, ale zgadzam się na małe ustępstwa, by go ugłaskać. Na przykład ostatnio zdjąłem ze ściany nowo zakupiony obraz Giger. Zapłaciłem za niego dwadzieścia tysięcy dolarów na internetowej aukcji, a teraz stoi w magazynie i obrasta kurzem. Ech...

– Założę się, że Michał docenił ten gest. – Gabriel uśmiechnął się. – Od jakichś kilku miesięcy nie znosi tego gościa i jego twórczości. Dokładniej od chwili, gdy Loki zmusił go, by wybrali się razem do kina na przegląd serii „Obcy”.

– I co, jak rozumiem, filmy nie spodobały mu się za bardzo? – zapytał święty. – A przy okazji, skoro wspominałeś o waszym nowym pupilu, czy są już jakieś postępy w sprawie tego gościa, który się podnie podszczywa? Czy wasz nordycki as już go odnalazł?

– Niestety, Kłamca bardzo się stara, ale to nie jest łatwe. Poza tym pracujemy teraz nad czymś innym. Współpraca z piekielnymi demonami, zamach na niebiańskiego agenta i seria ataków wymierzonych w świętych. Dużo jak na śmiertelnika, nieprawdaż?

Mikołaj pokiwał głową.

– Domyślam się już chyba, po co przybywasz. Cóż, jeśli masz zamiar go odszukać, moje archiwa są do twojej dyspozycji. – Ręką wskazał na drzwi, którymi wszedł. – Jak się nazywa delikwent?



Bachus stęknął i wyczerpany opadł obok na łóżko. Mary Ann wtuliła się w niego i pocałowała w ucho.

– Byłeś wspaniały – szepnęła. Miała słodki oddech.

– Ty też byłaś niesamowita – zrewanżował się. – I dziękuję.

Objął ją ramieniem i leżał tak przez dłuższą chwilę, bezmyślnie wpatrując się w sufit i upajając niedawnymi chwilami uniesień. Teraz był już pewien, że kocha tę kobietę. Był pewien, że to właśnie to.

– Powiedz mi, o czym myślisz – poprosił, czując, że to będzie dobre pytanie w takiej chwili. Taki mały dowód troski. Poza tym, cholera, naprawdę chciał wiedzieć.

– Cieszę się, że udało mi się jeszcze komuś zaufać po tym, jak mnie skrzywdzono – odparła dziewczyna. – Nie sądziłam, że kiedyś mi się to uda.

Bóg wina odsunął się od niej gwałtownie i usiadł.

– Jak to skrzywdzono?! – zapytał, patrząc jej w oczy. – Powiedz kto, a zapewniam, że pożałuje tego, co ci zrobił. Będzie żałował całymi cholernymi tygodniami...

Mary Ann uśmiechnęła się lekko i koniuszkiem wskazującego palca przejechała po piersi Bachusa, wciąż jeszcze mokrej od potu.

– Nazywa się Lokstar Val Hallen – powiedziała. – I poznałam go dwa lata temu w Monte Carlo...



Ile czasu będzie potrzebował Gabriel, żeby się zorientować, że mnie nie ma? I czy w ogóle ma szansę mnie znaleźć?

Kłamca wiedział, że szanse na to są nikłe. Karły były najlepszymi górnikami, jacy kiedykolwiek istnieli na świecie, i jeśli chcieli zbudować tunel, którego nikt nie znajdzie, to z całą pewnością go zrobili. I nawet całe zastępy Michała nie byłyby w stanie mu pomóc.

Jeżeli chcesz na kogoś liczyć – pomyślał Loki – to tylko na siebie.

Raz jeszcze rozejrzył się po klatce, w której został zamknięty. Nie było w niej nic, co dawałoby jakiegokolwiek możliwości działania. Z wyjątkiem siennika i przerdzewiałego garnka mającego służyć za nocnik wewnątrz więzienia było puste.

Więzień westchnął i stękając, zmienił pozycję. Nie mógł się zdecydować, co jest gorsze: siedzenie zbyt długo w bezruchu sprawiało mu ogromny ból, ale gdy zmieniał pozycję, odzywały się połamane żebra. Miał wrażenie, jakby przebijały mu skórę. .

– Nie tak gwałtownie, łgarzu – zawołał karzeł siedzący przy skale naprzeciw klatki. W dłoniach trzymał napiętą kuszę, a obok niego na niedźwiedziej skórze leżał ogromny bojowy topór. – Bom gotów pomyśleć, że coś podejrzanego majstrujesz.

– Tobie wydało się podejrzanym, że tworzę sobie iluzoryczne ubranie – odparł z wysiłkiem Loki. – No chyba że chciałeś pooglądać sobie mojego fiuta, co? Potem opowiesz żonie, że nareszcie rozumiesz, dlaczego...

– Nie sprowokujesz mnie, łgarzu! – roześmiał się strażnik. – Ostrzegali mnie, że będziesz próbował swoich starych sztuczek.

Kłamca w odpowiedzi wywrócił oczami jak medium z kiepskiego horroru.

Naraz z uwagą ściągnął brwi.

– Tak, archaniele – powiedział cicho. – Z całą pewnością pod ziemią. I dziwne, że sygnał okazał się tak mocny.

Karzeł nerwowo ścisnął kuszę.

– Przestań natychmiast, słyszysz?! – zawołał. – Co ty w ogóle robisz?

– Wzywam wsparcie – odparł Loki, wzruszając ramionami. Dużo go kosztował ten gest, ale nie dał po sobie tego poznać. – Nie myślałeś chyba, że aniołowie puszczają mnie tak samopas wszędzie, co? Mam nadajnik i łączność telepatyczną.

Ponownie wywrócił oczyma i uniósł głowę, mamrocząc coś w niezrozumiałym języku. Po chwili z nosa trysnęła mu krew. Mimo to nie przestawał mówić.

– Duchu Odyna, wybac mi nieposłuszeństwo! – Karzeł uniósł kuszę i wycelował. I niemal w tej samej chwili tuż przed jego twarzą przeleciała płonąca strzała i wbiła się w skałę.

– Ani drgnij, karle! – rozległ się niski głos, brzmący, jakby setka mężczyzn przemawiała jednocześnie. – I powiedz, dlaczego prześladujesz moją służbę?

Strażnik odwrócił głowę i zmrużył oczy. Kilka metrów od niego stał sześcioskrzydły anioł o kruczoczarnych włosach i twarzy doskonałej jak najwspanialsza rzeźba. Czarne, nieczułe oczy świetlistego przybysza lśniły nieskończonością. W rękach trzymał łuk.

Karzeł odruchowo wycelował kuszę i strzelił, ale bełt rozpląnął się w powietrzu z chwilą, gdy dotknął napierśnika anioła. Ten zaśmiał się tylko.

– Prześladując moją służbę, mnie prześladujesz... – powiedział, odrzucając łuk. Wzniósł rękę i naraz pojawił się w niej płonący miecz. Anioł ruszył do przodu. – A za to jest jedna kara. Uwolnij go!

– Nigdy! – W strażnika w jednej chwili wstąpił nowy duch, doskoczył do topora i z nim wycofał się pod drzwi klatki. Stał pewnie na rozstawionych nogach, wznosząc oręż. – Nie dostaniesz go, dopóki jest w tej grocie choć jeden karzeł zdolny utrzymać topór.

I nagle anioł zafalował i rozpląnął się w powietrzu. Zniknął też odrzucony łuk, a nawet płonąca strzała. Nie został po nich nawet ślad. Wtedy właśnie strażnik poczuł na szyi chłód stali.

– Nie nabiorę cię na stare sztuczki, karle – wycharczał Loki, dociskając sztylet do krtani pokurcza. Ten nie musiał nawet macać pasa, czuł, że to jego własne ostrze, wyszczerbione nieco o dwa palce powyżej jelca.

Kłamca czuł się paskudnie, krew ciekła mu teraz nie tylko z nosa, ale także z ust i oczu. Prawie nic nie widział, a do tego szumiało mu w głowie. Jednak mimo wszystko czuł, że znowu jest górą.

– Ale co powiesz na nowe? – Szarpnął ręką, podryzując strażnikowi gardło. Przez chwilę trzymał go jeszcze drugą dłonią, po czym puścił.

– Nigdy nie zadzieraj z bogiem – szepnął i bezwładnie runął na ziemię. Kolejny raz zapadł w ciemność.



Eros przeładował pistolet i raz jeszcze spojrzął na zegarek.

– Kurwa – zaklął.

Bachus nie przyszedł, nie dał też żadnego znaku, że może się spóźnić. Ani karteczki, ani telefonu, nawet pocałuj mnie w dupę. Po prostu go wystawił.

Bóg miłości włożył broń do kabury.

Trzeba było od razu zamknąć sprawę – pomyślał. – Napęłnić tę dziwkę obrzydzeniem do ochlejtusa. Wtedy nie byłoby tych wszystkich kłopotów. A teraz cała robota dla mnie.

Zabębnił nerwowo palcami po kierownicy i ponownie wlepił wzrok w dom, przed którym zaparkował.

Z tego, co zdołał się dowiedzieć, cel pojawił się tam wczoraj wieczorem u znajomych i miał też nocować. Gospodarze nie wiedzieli o jego procederze, poza tym byli dobrymi ludźmi i katolikami, więc skurczybyk sprytnie się ulokował. Eros miał tylko nadzieję, że to akurat zrobił nieświadomie. W końcu wszystko wskazywało na to, że jest coraz mniej ostrożny – powrócił do używanych już nazwisk i paszportów czy, jak teraz, odwiedzał znajomych. Może właśnie przyszedł czas, by fryzjer zaczął popełniać błędy.

Drzwi frontowe otworzyły się i wyszła zza nich elegancko ubrana kobieta. Tuż za nią z bramy wyłonił się mężczyzna średniego wzrostu ubrany w przeciwdeszczową kurtkę.

Eros zerknął na zdjęcie przyklejone do deski rozdzielczej. Nie było mowy o pomyłce. Odpalił samochód, a gdy tamci wsiedli do swojego auta, ruszył za nimi.



Paweł Deptuch zaczynał mieć poważnie dosyć tych wakacji. A już na pewno miał dość Słowacji.

Przyjechał tu w nadziei, że zrobi parę sensownych zdjęć na konkurs „Nasi sąsiedzi” – pomysł głupi jak wiele koncepcji polskiego ministerstwa kultury, ale z kuszącą nagrodą. Dziesięć tysięcy i publikacja albumu to nie w kij dmuchał.

Z początku zapowiadało się całkiem nieźle. Znajomy nakręcił mu tanie lokum, Magda, dziewczyna Pawła, powiedziała, że chętnie do niego dojedzie, jak tylko będzie mogła, a na dodatek w pierwszy dzień po przyjeździe znalazł sklep komiksowy pełen prawdziwych białych kruków.

Szybko jednak karta się odwróciła. *Tanie lokum* istotnie było niedrogie, ale należało do miejsc, gdzie normalni ludzie nie chodzą nawet za dnia, choćby im dopłacano. Z kolei Magdę rozłożyła choroba i musiała zostać w domu, a dzień po przyjeździe skradziono Deptuchowi portfel.

Mimo wszystko zdjęcia szły mu nieźle i nie miał jeszcze ochoty wyjeżdżać. Za trzymane przezornie w tylnej kieszeni spodni dwadzieścia euro wywołał pierwszy film i postanowił sprzedać zdjęcia jako widokówki. Wiedział, że ludzie lubią, gdy mają okazję kupić coś niepowtarzalnego.

Swój mały straganik ustawił niedaleko butiku, bo ten miał całkiem nieźle, szerokie schodki. Rozłożył koszulę, na niej fotografie i czekał na klientów.



– Dość już tej zabawy – burknął Eros i skręcił gwałtownie, zmieniając pas. Ktoś za nim zahamował z piskiem opon i nacisnął klakson, ale bóg miłości zupełnie na niego nie zważał. Wjechał na chodnik, niemal tuż przed Luigim, stając w poprzek i tarasując przejście. Zaledwie kilka centymetrów dzieliło maskę samochodu od schodków gustownego butiku.

Przez otwarte okno wystawił lufę glocka.

– Pozdrowienia z Niebios, Luigi! – zawołał.

Fryzjer zareagował nadszpedziewanie szybko, rzucając się w stronę schodów i łapiąc siedzącego na nich przerażonego chłopaka. Z kieszeni wyszarpnął pistolet i przyłożył zakładnikowi do głowy.

– Zabiję go! – zawołał. Jego głos brzmiał nieco histerycznie. – Przysięgam na pierdolone Niebiosa, że rozwalę mu łeb.

Eros uśmiechnął się i cały czas celując, otworzył drzwi samochodu. Wysiadł, ani na chwilę nie odrywając spojrzenia od twarzy fryzjera.

– Jak masz na imię, młody? – zapytał po słowacku, a widząc, że chłopak nie zna tego języka, powtórzył po angielsku.

– Paweł – przedstawił się zakładnik. – I ja naprawdę nie chcę umierać.

– Kto tu mówi o umieraniu? – zdziwił się bóg miłości. Nareszcie pojął, jak robi to Loki. Grunt to mieć pomysł na każdą okazję i ani na chwilę nie tracić poczucia humoru. No i, rzecz jasna, umiejętnie stosować swoje talenty. – Nie zabijesz Pawła, Luigi, prawda? Tylko spójrz na niego. Na jego miłą twarz, młode, silne ramiona... Czujesz zapach jego włosów? Czy nie chciałbyś, zanurzając w nich swoje palce, niespiesznie zacząć je strzyć? Jak możesz zabić kogoś, kogo już zacząłeś kochać?

Fryzjer zamrugnął oczami, po czym przeniósł wzrok na zakładnika i gwałtownie odsunął pistolet od jego szyi. Ze wstrętem odrzucił broń i pobiegł się w stronę wylotu ulicy.

Eros uniósł glocka i strzelił kilka razy, ale nie udało mu się trafić. Wepchnął pistolet do kabury i rzucił się w pogoń.

Paweł patrzył przez chwilę za nimi, po czym pochylił się, by pozbierać zdjęcia.

– Jak ktoś kupi – zawołał po angielsku – to opowiem, co czuje zakładnik wariata!

Znaleźli się chętni.



Kłamca nie miał pojęcia, ile czasu leżał nieprzytomny, ale nie mogło to trwać szczególnie długo, skoro nadal był w jaskini sam, tylko z ciałem strażnika. Przypuszczał, że karły musiały jakoś zaplanować zmiany warty. A to oznaczało, że nie powinien zwlekać.

Podczołgał się kawałek do krat i sięgnął ręką do pasa karła, odpinając klucze. Potem z trudem otworzył drzwi klatki.

Przez chwilę łapał oddech, walcząc ze sobą, by nie zwymiotować. Był tak wycieńczony, że mogłoby go to dobić.

Potem ostrożnie przestąpił przez zwłoki i zgięty wpół, zataczając się, ruszył w stronę wyjścia z grotu.

Zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie wygrał. Tunele z całą pewnością pełne były karłów, a on nawet nie umiał stwierdzić, którądy powinien iść. Mimo to szedł. Bo zatrzymanie się oznaczało pewną śmierć.

Po najtrudniejszych w życiu jakichś trzydziestu krokach znalazł się w tunelu wysokim może na półtora metra, za to szerokim na ponad cztery. Ściany ozdobiono runami, a co kilka metrów rozmieszczono pochodnie, tak że żaden kawałek korytarza nie pozostawał zacieniony.

Cudownie – pomyślał Loki. – Gdyby to chociaż były lampy elektryczne, przecięłbym kabel i spokój, a tak? Jak na cholernym talerzu.

Oparł się ręką o ścianę i powoli, powłócząc nogami, ruszył przed siebie.

Nie zdążył przejść pięćdziesięciu metrów, gdy nagle tuż przed nim z bocznych tuneli wyłoniły się dwa karły. Oba uzbrojone w topory.

– Proszę, proszę – odezwał się głos za plecami Kłamcy. – Kto by pomyślał, że jesteś taki hardy, zdrajco. Znać, że płynie w twych żyłach krew olbrzymów. A teraz bądź łaskaw grzecznie położyć się na ziemi.

Loki spełnił to polecenie z pewną ulgą, czuł już bowiem, że nogi uginają się pod nim. Przywarł policzkiem do ziemi, kątem oka obserwując stopy karłów przed sobą.

Ci postąpili do przodu.

I nagle rozległ się świst, a w chwilę później dwa ciała z łoskotem runęły na ziemię. Ktoś podbiegł

i szarpnął Lokiego za ramię.

– Wstawaj, musimy uciekać!

Kłamca, lekceważąc ból, podniósł głowę i spojrzał w twarz Gloina.

– Ty? Ale dlaczego?

– Później. – Karzeł raz jeszcze szarpnął go za ramię. – Zaraz pojawią się następni.

Pomógł Lokiemu wstać i wciągnął go w boczny tunel. Tam nacisnął jedną z run, potem następną i jeszcze jedną. Gdy wstukał całą sekwencję, ściana przesunęła się, ukazując im małe pomieszczenie – kabinę windy.



Eros wszedł do apartamentu i trzasnął drzwiami. Tak niewiele brakowało! Dosłownie kilku metrów lub jeszcze jednej cholernej kuli. Jednak Luigi zdążył zatrzymać taksówkę i tyle go było. Teraz pewnie zrobi się ostrożniejszy.

Przeszedł do sypialni i zatrzymał się w progu. Na łóżku siedział Bachus.

– Gdzieś ty, kurwa, byłeś?! – ryknął bóg miłości. – Mieliśmy robotę, pamiętasz? Udałoby się, gdybyś był. Ale nie, ty wolałeś gzić się z tą swoją...

– Miałeś rację – powiedział grubas. Siedział ze spuszczoną głową i wpatrywał się w swoje złożone dłonie.

– ...głupią dziwk... coś ty powiedział? – Eros zamrugał. W jednej chwili uleciała z niego cała złość. Przeszedł przez pokój i usiadł obok przyjaciela. – Co się stało?

– To, że miałeś cholerną rację, miłość nie istnieje. – Bóg wina odwrócił się i spojrzał Erosowi w oczy. – Mam nadzieję, że się cieszysz, bo znowu wyszło na twoje.

– Nie bądź śmieszny. I mów, co się stało.

– Wzięła mnie za mafiosa – zaczął Bachus. – Od tego się zaczęło. Uznała, że skoro jestem ubrany tak a nie inaczej i do tego daję słone napiwki, to muszę pracować pieniądze. Miałem też wtedy spluwę i ona zauważyła kaburę.

No i jej zdaniem przypominam takiego jednego bossa z serialu o mafii. Podała mi nawet tytuł, „Rodzina Soprano”.

– No dobra, wzięła cię za gangstera i co z tego? – nie rozumiał Eros. – Może po prostu kręcą ją źli goście. Zdarza się.

– Tylko że jej nie chodziło o uczucie. Ona szukała zemsty i próbowała upolować gościa, który zrobi dla niej wszystko. A konkretniej, załatwi faceta, który kiedyś zrujnował jej karierę.

Bachus ponownie zwiesił głowę. Parsknął pod nosem.

– A wiesz, co jest najzabawniejsze? – zapytał. – My znaleźliśmy tę dziewczynę. Co prawda tylko z opowieści, ale jednak. Pamiętasz, jak szef opowiadał o akcji w Monte Carlo, gdy przemienił się w modelkę? Potem uwiódł jakiegoś bogacza, zaciągnął go do łazienki i pokazał ptaszka, przypominasz sobie? Zaśmiewaliśmy się z tego do rozpuku.

Eros potrząsnął głową.

– To ona? I chodziło jej o szefa? – nie dowierzał. – Rany, jaki ten cholerny świat mały!

– To nie tak – westchnął bóg wina. – Jest na nim po prostu kilku bohaterów, a reszta to statyści, którzy służą celom prawdziwych gwiazd. Takie, rozumiesz, straty wliczone w koszty przez rozrutnego Boga aniołów. Jak ja teraz czy ona wtedy...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Jak chcesz, mogę sprawić, że przestanie cię boleć – zaproponował w końcu Eros.

– Dzięki, ale nie. To nie pozwoli mi zapomnieć. – Bachus wstał i przeciągnął się. – A póki co czas chyba, bym wziął się do roboty, czyż nie?



Loki leżał okrwawiony na podłodze i wpatrywał się tępo w karła. Winda sunęła bezgłośnie i powoli, ale ku górze.

– Nie patrz tak na mnie, zdrajco – powiedział Gloin. – Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem.

Kłamca nie odpowiedział.

– Byłem jednym z tych, którzy przywiązywali cię do skały, wiesz? – Jego niespodziewany wybawiciel oparł się o ścianę i założył ręce za siebie. – Możesz nie pamiętać, nie byłeś wtedy w dużo lepszym stanie niż w tej chwili, ale ja nadzorowałem twoje uwięzienie. I byłem z tego dumny, wiesz?

Spojrzał na Lokiego, ale ten wciąż milczał. Oddychał przez usta, z każdym wydechem puszczając kilka krwawych baniek.

– Żeby nie było między nami niejasności – kontynuował Gloin – nienawidzę cię. Nienawidzę z całego serca, tak jak reszta moich braci. W przeciwieństwie do nich uważam jednak, że musisz żyć. Bo chcesz tego czy nie, jako przybrany syn Odyna jesteś ostatnim z Asów. A zatem i ostatnią naszą nadzieją.

Winda zazgrzytała i zatrzymała się na moment, zaraz jednak ruszyła dalej.

Karzeł pogłaskał jedną ze ścian, po czym przykucnął koło Kłamcy.

– Ta winda jest najstarszą ze wszystkich, które postawiliśmy, gdy nas tu przywieziono – powiedział. – Jestem chyba ostatnim, który o niej pamięta. Nie uważasz, że byłoby zabawnie, gdyby się teraz zerwała i zabiła nas obu? Czy nie byłby to znak od twojego nowego Pana? Boga bez imienia?

– Jego... jego nie ma – wyszeptał z wysiłkiem Kłamca. – Odszedł.

Gloin tylko wzruszył ramionami.

– Czy robi to komuś jakąś różnicę? – zapytał, nie kryjąc ironii. – Kiedy nas tu przywieźli, powiedzieli, że to miejsce stanie się naszym nowym domem. Obiecali nam schronienie i pracę oraz poszanowanie dla naszej inności i kultury. A potem wytatuowali nam to...

Rozchylił koszulę, pokazując mieniący się na jego piersi znak trójkąta z okiem.

– Nałożyli też obroże na szyje jak psom, grożąc, że jeśli oddalimy się za bardzo lub wystąpimy przeciwko świętemu, nasze głowy eksplodują. I wcisnęli nas tu pomiędzy inne rasy. Umieliśmy ciężko pracować, więc pozwolono nam zająć się tym, co kochamy, ale nic poza tym. Jesteśmy tu na samym dnie.

Winda zatrzymała się, jednak mimo to Gloin ani drgnął. Nie patrzył już na Lokiego. Wyglądał, jakby myślami był daleko stąd. Gdy przemówił, jego głos brzmiał obco.

– Nie chcę od ciebie obietnic, Kłamco, bo niejedną już złamałeś. Chcę tylko, byś pamiętał, kim jesteś i skąd pochodzisz. Bo kiedyś w końcu zrozumiesz, że stałeś się jedynie zabawką w rękach skrzydlatych. A wtedy my... cóż, będziemy na ciebie czekać.

Pomógł Lokiemu wstać. Nacisnął przycisk i poczekał, aż drzwi otworzą się do końca. Wtedy wyszli.



– Tak, to na pewno ten – stwierdził archanioł, przyglądając się twarzy na monitorze. Spojrzał na Mikołaja. – Co teraz?

Święty wzruszył ramionami.

– Teraz to już drobiazg – wyjaśnił. Głową wskazał na siedzącego przy komputerze gнома. – Grach połączy się teraz z satelitą, który poda nam namiary z dokładnością do trzech metrów. Miejsce pobytu będzie aktualizowane co cztery sekundy, co chyba powinno wystarczyć twoim agentom, czyż nie?

Gabriel pokiwał głową, rozglądając się po pełnej sprzętu pracowni. Był pełen podziwu dla tego, co działo się wokół niego. Rzędy komputerów, dziesiątki lśniących monitorów i przy każdym gnom pukający nerwowo w klawiaturę.

Pokraczne stworki wyglądały głupio z długimi włosami i w hawajskich koszulach, zupełnie jakby wyciągnięto je z jakiegoś filmu o hakerach, ale wszystko wskazywało na to, że pracowali bez zarzutu.

Mimo to archanioł nie mógł pozbyć się wątpliwości. Czy to aby na pewno dobra droga? A może to Michał miał rację? Czy nie cierpi na tym tradycja, a co za tym idzie – powaga Najwyższego?

– Mam, szefie! – zawołał gnom. – Znalazłem go. – Postukał długim paluchem w róg monitora, gdzie pojawił się napis *aktualne miejsce pobytu*.

– Macie tu jakiś telefon? – zapytał Gabriel.
Mikołaj parsknął śmiechem.
– To najnowocześniejsze centrum informatyczne świata, a ty pytasz, czy mamy telefon?
Skrzydlaty skinął głową.
– O to właśnie zapytałem. A ty, zamiast odpowiedzieć, grzeszysz pychą, o święty. Chyba powinienem zawiadomić o tym Michała, bo to może być wina tej całej nowoczesności, prawda?
Twarz Mikołaja stężała. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął telefon komórkowy. Bez słowa podał go archaniołowi.



Eros odłożył słuchawkę i wyrwał z notesika zapisaną karteczkę.
– Dzwonił Gabriel. Namierzili Luigiego.
Bachus poprawił mocowanie kabury i wyprostował krawat.
– Świetnie, bo mam już dosyć tego siedzenia w jednym miejscu. Daleko?
Bóg miłości pokręcił głową.
– Nie zdążył opuścić Bratysławy. Jest w takim jednym podrzędnym hoteliku na przedmieściach. Pewnie się pakuje.
Podszedł do krzesła, zdjął z niego czarną marynarkę. Włożył ją i przejrzał się w lustrze.
– Wiesz, te identyczne ciuchy to naprawdę był świecny pomysł. Gdyby nie to, że jesteś taki gruby, moglibyśmy uchodzić za bliźniaków.
Gruby bóg wzruszył ramionami, a na jego twarzy po raz pierwszy tego ranka pojawił się uśmiech.
– A kto by chciał być twoim bliźniakiem, złamasie?



Pół godziny zajęło im dotarcie do właściwego hotelu. Eros miał nadzieję, że nie przybyli za późno. Wyciągnął kluczyk ze stacyjki i wysiadł.
– Tylko pamiętaj – pouczył gramolącego się z drugiej strony Bachusa. – Wiem, że jesteś w beznadziejnym nastroju, ale nie podnoś go sobie żadnymi monologami, dobra? Żadnych kawałków z Biblii i tym podobnych numerów. Wchodzimy, strzelamy i wychodzimy. Jasne?
Bóg wina skinął głową i niemal w tym samym momencie z hotelu wyszedł Luigi. Dostrzegł Erosa i odruchowo spróbował z powrotem uciec do środka, ale trzymane w rękach walizki sprawiły, że się zablokował.
– Poznajesz mnie? – zapytał Eros. – Bo ja dobrze sobie ciebie...
Huk wystrzału zagłuszył jego dalsze słowa. Fryzjer zgiął się wpół, a na jego koszuli zaczęła rosnąć czerwona plama. Bachus podszedł i poprawił strzałem w głowę.
– Żadnych gadek, pamiętasz? – zapytał, po czym schował broń i wszedł do samochodu.
Zdumiony bóg miłości rozejrzał się wokół. Na ulicy było coraz więcej gapiów, a recepcjonista z całą pewnością wezwał policję. Nie było na co czekać.
Wskoczył za kierownicę, odpalił samochód i ruszył z piskiem opon.
– Rany, stary! – powiedział, pędząc ku drodze wylotowej z miasta. – Ostro poszedłeś. Naprawdę dopiekła ci ta mała. Dzwon do Gabriela.
Bachus wyciągnął telefon i wybrał numer z karteczki Erosa.



– No i zrobione – powiedział archanioł, oddając Mikołajowi telefon. – Szkoda, że wciąż jeszcze zdarzają się ludzie, którzy zatracają swą duszę, współpracując z demonami.
– Po takim przykładzie z całą pewnością będzie ich mniej – stwierdził święty.

Archanioł pokiwał głową.

– Na pewno o jednego.

Telefon ponownie zadzwonił. Mikołaj odebrał.

– Tak?... Oczywiście, już schodzimy. – Rozłączył się i spojrzał na Gabriela. – W holu jest twój towarzysz. Nagi i cały we krwi. Nie mam pojęcia, jak to się...

Ale archanioł już go nie słuchał. Wybiegł z sali komputerowej i popędził ku windzie na dół.



Gdy wpadł do holu, Loki siedział w fotelu, a grupa gnomów właśnie opatrywała mu rany. Na widok archanioła Kłamca uśmiechnął się.

– Żałuj, że nie byłeś ze mną na zwiedzaniu fabryki – powiedział. – Świetna zab... – skrzywił się i zaniósł okropnym kaszlem. Na podłogę poleciało kilka kropli krwi.

Archanioł podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Powiedz mi, kto cito zrobił i dlaczego?

Loki przestał kaszleć i na krótką chwilę zapatrzył się przed siebie. Za szklaną szybą biura nisko latające faerie przepychały się między zmierzającymi do pracy karłami. Któryś się wyrócił, inny tylko się zachwiał, rozsypując, co tam niósł, i teraz wściekle wymachiwał rękoma. A pod samym murem wsparty o ścianę stał Gloin. I patrzył.

Kłamca nie mógł widzieć stąd jego twarzy, ale nie musiał. I tak wiedział, co wyrażała.

– Zostałem porwany – powiedział Loki. – Można powiedzieć, że chciano mnie zabić za dawne krzywdy.

– Karły? – Gabriel zaczął rozglądać się za Mikołajem, ale święty najwyraźniej jeszcze nie zszedł. – Zaraz przekażę komu trzeba o tym buncie.

– Dziękuję. – Kłamca zdobył się na uśmiech. – Ale wiesz, gdyby to były karły, chyba nie byłoby mi aż tak strasznie wstyd.

Głową wskazał odwróconą faerię unoszącą się za biurkiem i parzącą herbatę.

– Tylko błagam, nie pytaj, jak to zrobiły.

Skrzydlaty nie zapytał.



Jenny doskonale spisywała się jako opiekunka. A miała przy Kłamcy sporo roboty, bo mimo że Rafael zrobił, co mógł, i poskładał go w środku, to jednak zabronił mu wstawać, by wszystko mogło się dobrze pozrastać.

Przygotowywała więc posiłki, zmieniała pościel, myła go i podawała środki przeciwbólowe. A gdy przychodził wieczór, siadała na boku łóżka i wspólnie oglądali filmy albo rozmawiali o drobiazgach.

Poniekąd nawet się cieszyła, że Loki został unieruchomiony, bo teraz miała go dla siebie i nie spędzała wieczorów na myśleniu, czy aby właśnie teraz nie wypełnia się jego przepowiednia.

O powód obrażeń nie pytała, licząc, że kiedy przyjdzie czas, Loki sam jej o tym opowie.

I nie pomyliła się.

Opowiadał długo, mówiąc jej o wszystkim. O tym, jak przyjęto go do Asów i jak wielu potem wypominało Odynowi tę decyzję. Mówił o Baldrze i jego przechwałkach, a potem jak znalazł sposób, by go uśmiercić... i wykorzystał go. Niczego nie ubarwiał, nie pomijał drastycznych szczegółów, jak te, gdy został przywiązany do skały wnętrznościami syna i jak Sygin uratowała go przed szaleństwem wiecznej agonii.

Z każdym kolejnym słowem Jenny coraz bardziej zdawała sobie sprawę, jak mało o nim wie. Czowała zazdrość, gdy słyszała, jak mówił o żonie, ale doceniała też jego szczerość. Wiedziała, że gdy skończy, ona musi odpowiedzieć mu tym samym.

– I wtedy Gloin powiedział, że nie chce, abym cokolwiek obiecywał. Tylko żebym pamiętał, kim jestem, gdy przyjdzie czas.

– Czas na co, Loki? – zapytała.

Kłamca westchnął.

– Głoin uważa, że jestem jedynie zabawką w rękach aniołów, którą skrzydlaci wyrzuca, jak już im się znudzi. Myślę, że chodziło mu o chwilę, gdy zdam sobie z tego sprawę.

Jenny sięgnęła po leżącego na stoliku Kłamczucha i przez chwilę wodziła palcem wokół śladu po kuli.

– Pióra nic ci nie dadzą, kochanie – powiedziała w końcu po dłuższej chwili milczenia. – Nie uda ci się zostać aniołem.

Loki spojrział na nią i po chwili parsknął śmiechem.

– A kto ci powiedział, że chcę zostać aniołem, wariatko? Stracić te wszystkie sypialniane numery na rzecz pary skrzydeł? Odbiło ci?

Podniósł rękę i przygarnął ją do siebie.

– Żeby pióro miało moc, musi zostać ofiarowane. I ja je dostałem. Teraz nikt nie może z nich skorzystać. A piór jest przecież ograniczona ilość, prawda? Kiedyś w końcu im się skończą.

Lewą ręką sięgnął pod poduszkę i wyciągnął paczkę wykałaczek. Jedną z nich włożył do ust.

– Wiesz, kochanie – powiedział, uśmiechając się do własnych myśli – może i jestem reliktem przeszłości i zapomnianym bogiem martwej religii, ale wiem, że nie zawsze trzeba wygrywać, żeby zostać zwycięzcą. Czasem wystarczy, że inni przegrają.

Podniósł leżącego na kołdrze pilota i włączył telewizor. Akurat leciała „Armia Boga” – jego ulubiony film.

Jakub Ćwiek

Urodzony w roku premiery „Blade Runnera” i ekranizacji „Conana Barbarzyńcy”. Pierwszą próbę literacką popełnił w wieku lat siedmiu. Wtedy jednak nie myślał jeszcze o publikowaniu.

Zainteresowania rozwijał w rodzinnych Głucholazach aż do rozpoczęcia studiów, kiedy to, znalazłszy się w Katowicach, przystąpił do Śląskiego Klubu Fantastyki. Do dziś uważa to za jedną z najlepszych życiowych decyzji, podobnie zresztą jak wstąpienie w związek małżeński. Który jak dotąd zaowocował obecnością Żuzi i Samuela.

Z Fabryką Słów wydał: „Liżąc ostrze” (2007), „Ciemność pfonie” (2008), „Gotuj z papieżem” (2009), publikował w dwóch fabrycznych antologiach.

Wreszcie „Kłamca”. Trzy bestsellerowe tomy opowieści o Lokim – nordyckim bogu i anielskim specu od mokrej roboty – „Kłamca 1”, „Kłamca 2. Bóg marnotrawny” i „Kłamca 3. Ochłap sztandaru”, stały się dla Jakuba przepustką do pierwszej ligi pisarzy polskiej fantastyki.

Dwukrotnie nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdła.

COPYRIGHT © by Jakub Ćwiek
COPYRIGHT © by Fabryka Słów sp. z o.o., Lublin 2006

WYDANIE IV

ISBN 978-83-7574-834-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT ORAZ GRAFIKA NA OKŁADCE Piotr Cieśliński

REDAKCJA Marcin Wroński

KOREKTA Magdalena Putek

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO
WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

W ŚWIECIE ANIOŁÓW DLA DAWNYCH BÓGÓW NIE MA MIEJSCA



Loki, eks-bóg kłamstwa, obecnie najemnik na anielskim żołdzie, grzęźnie w kłopotach. Większość ocalałych z pogromów bóstw i demonów wie już o jego istnieniu. Zna metody walki „niebiańskiego cynгла”. Niektórzy wciąż mają z nim niewyrównane rachunki. W dodatku archaniołowie też nie mają czystych intencji.

Czyżby karta odwróciła się od Kłamcy?

Fantoni medialni



SCIENCE FICTION

fabrykaslow.com.pl

Polecamy



Wyłączny
dystrybutor



JAKUB CWIEK
KŁAMCA
BÓG MARNOTRAWNY

